ROZMOWA Z LIDEREM KONFEDERACJI

Sławomir Mentzen chce referendum w sprawie „Fit for 55” i aut spalinowych

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 26/533 26 CZERWCA–2 LIPCA 2023
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Warzecha o wyzywaniu się przez polityków PiS i Platformy od ruskich agentów

POLSKIE ŚLADY NA ŚWIECIE, CZYLI „DO RZECZY” NA WAKACJE: STATUA CHRYSTUSA W RIO DE JANEIRO

Historia Pawła Kukiza – przestroga dla antysystemowców

Jaka piękna katastrofa

REWOLUCJA LGBT POŻERA „SZKŁO KONTAKTOWE” W TVN24

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
Nakład: 52 000 egzemplarzy

KRZYSZTOF DAUKSZEWICZ

PIOTR JACOŃ

ROBERT GÓRSKI

eprasa.pl b9f5122a9a

Wystawa

POWSTALI 1863-64

Tykocin 30.06-9.07
Małogoszcz 14-18.07
Sandomierz 22-31.07

Kolejne lokalizacje:
www.powstanie1863-64.pl

wstęp wolny

Wystawa dofinansowana ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

MUZEUM HISTORII POLSKI

Organizator

160. ROCZNICA POWSTANIA STYCZNIOWEGO

Bank Pekao Fundacja

Darczyńca

POLSKIE RADIO

TVP TELEWIZJA POLSKA

Patroni medialni

DZIEJE.PL PORTAL HISTORYCZNY

GOŚĆ NIEDZIELNY

POLSKA PRESS GRUPA

nasza HISTORIA

eprasa.pl b9f5f2ba9a

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Tusk ocali Kościół

Nie wiadomo, jaki będzie wynik nadchodzących wyborów, z dużą dozą prawdopodobieństwa można jednak przewidywać, że jeśli wygra je opozycja, to Polskę czeka swego rodzaju antykatolicka krucjata. Ani polityczni przywódcy anty-PiS, ani wspierające ich autorytety nawet tego nie ukrywają. Dla wielu z nich katolicyzm i Kościół to prawdziwy i najważniejszy wróg. To, co katolickie i polskie, musi ulec dekonstrukcji. W miejsce Polaka katolika ma pojawić się Polak Unijczyk. Wydawało się, że w tej konkurencji, powiedzmy, okazywania wrogości do katolicyzmu trudno będzie przebić Sławomira Nitrasa i jego koncept „opiłowywania katolików z przywilejów", ale kilka dni temu postanowił mu dorównać Jacek Jaśkowiak, prezydent Poznania. Mamy w Polsce pierwszego osobistego nieprzyjaciela Bożego Ciała. Hurra, ale postęp!

A było tak: najpierw proboszcz i dyrektor zawarli umowę, by na terenie należącym do jednej z poznańskich szkół pojawiły się dwa ołtarze. W normalnej sytuacji nikt by nie zwrócił na to uwagi, jednak ponieważ mamy do czynienia z narastającą antyreligijną psychozą, decyzja o postawieniu ołtarzy wywołała aferę. Natychmiast obudziła się grupka antykatolickich fanatyków, która postanowiła zaprotestować, ufna we wsparcie medialnego ramienia rewolucji, czyli miejscowej „Gazety Wyborczej". To na jej łamach jedna z oburzonych pań żaliła się, że fakt zgody na postawienie ołtarzy Bożego Ciała na terenie szkoły to dowód na nietolerancję. „Takimi działaniami dajemy uczniom jasny przekaz: religia katolicka jest najważniejsza". Cóż, pani nie przychodzi do głowy, że Boże Ciało to od wieków (w Poznaniu od XIV w.) jedno z najważniejszych polskich świąt, że pokolenia Polaków broniły go i widziały w nim nie tylko święto religijne, lecz także patriotyczne i narodowe. Tak, także w Poznaniu i Wielkopolsce. To im właśnie, ich wierze, woli, odwadze i uporowi, pani protestująca, „kilkoro oburzonych rodziców", a także podżegająca ich redakcja „GW" zawdzięczają to, że mogą używać polskiego języka i mieszkać w niepodległym, wolnym państwie. (Tak, wiem, ten ostatni argument jest chybiony, bo przecież państwo znajduje się pod okupacją PiS). To jest zresztą pytanie, czy ta polskość spleciona z katolicyzmem jest w ich oczach zaletą. Przecież gdyby nie opór minionych pokoleń Wielkopolan, „kilkoro oburzonych rodziców" i miejscowi redaktorzy „GW" należeliby nie do polskiej, ale do niemieckiej wspólnoty, czyli właściwie byliby już Europejczykami. A tak trzeba świecić oczami przed całym światem.

Dobrze to wyraził Jacek Jaśkowiak, prezydent miasta i lider Platformy. „Dla wielu osób, łącznie ze mną, przejawy typowej w Polsce ludycznej religijności stają się coraz bardziej rażące. Przez przybyszów z zagranicy bywają nawet odbierane jako wydarzenia z kategorii sztuk performatywnych. Myślę, że w najbliższym czasie taki stosunek do widoków, do których przyzwyczaił nas m.in. abp Jędraszewski, będzie coraz bardziej powszechny i ostatecznie znikną one z krajobrazów miast". Słowa te zawierają, można by powiedzieć, podręcznikową niemal definicję lewicowo-liberalnego kołtuństwa. Prezydenta Jaśkowiaka procesje „rażą". A fe, jakie to nieestetyczne, ta niesiona pod baldachimem monstrancja z Ciałem Chrystusa, te szeregi dziewczynek sypiących kwiaty, ministranci i harcerze. Co powiedzą „przybysze z zagranicy"? Na szczęście już wkrótce te niemiłe „widoki znikną z krajobrazów miast". Prezydent pozuje na postępowego estetę, to, co mówi, przypomina jednak bardziej prowincjonalnego kmiotka z kompleksem niższości.

Podobnie myślą inni. Profesor Radosław Markowski, jeden z najgłośniejszych zagończyków anty-PiS nazywa Kościół „największym instytucjonalnym złem w tym kraju". Największe instytucjonalne zło – to wersja profesora, humanisty. Znany muzyk jazzowy John Porter używa bardziej dosadnego języka: „Kościół katolicki – nie tylko w Polsce – to jedna wielka mafia". Religijność Polaków to „duża hipokryzja. To fałsz. Jeden wielki fałsz". Takimi antykatolickimi tyradami obdarowują odbiorców wielkie liberalne media. Skądinąd to komiczne, że kreując iście pogromową, antykatolicką histerię, ciągle mówią o różnorodności i tolerancji.

Oprócz radykałów są jednak w Platformie też ludzie troski, którzy nie tyle chcą, by Kościół zniknął, ile by się odrodził. Jedyny problem polega na tym, jak ogłosił Donald Tusk, że „coraz częściej ludzie widzą ten znak równości postawiony przez złych ludzi. PiS = Kościół, Kościół = PiS". Tusk ma na to receptę: „Jeśli chcemy, a przecież wierzący chcą tego, żeby kondycja chrześcijaństwa była jak najlepsza, to trzeba jak najszybciej PiS odsunąć od władzy". Ot, i wszystko.

Najpierw Tusk rozpętuje antykościelną nagonkę, a następnie występuje w roli zatroskanego wybawiciela i obiecuje Kościołowi odrodzenie. Wystarczy, że do władzy dojdą politycy pokroju prezydenta Poznania i platformerscy konserwatyści, którzy zachwalają dobrodziejstwa swobodnej aborcji. Wygra PO i wtedy będzie taki Kościół, którego nawet pan Jaśkowiak nie będzie się wstydził. ©℗

eprasa.pl b9f5f2ba9a

TEMAT TYGODNIA

14 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
WZMOŻENIE POZA KONTROLĄ
Wojenki wewnątrz bańki anty-PiS

18 ZUZANNA DĄBROWSKA
POTŁUCZONE SZKIEŁKO

KRAJ

20 PIOTR SEMKA
PIS SIĘ ZBIERA
Kaczyński wchodzi do gry

24 JAN FIEDORCZUK
KUKIZ'23: EPITAFIUM DLA ANTYSYSTEMOWCA

28 ROZMOWA ZE SŁAWOMIREM MENTZENEM
WSZYSTKICH NIE PRZEKONAM

31 ROZMOWA Z ROBERTEM KOSTRO
OPOWIEŚĆ O POLSKIEJ WOLNOŚCI

34 ŁUKASZ ZBORALSKI
WAKACYJNA PUŁAPKA

KULTURA

36 PIOTR GOCIEK
OBRAZ MISTRZA
Tajemnice Johannesa Vermeera

38 ROZMOWA Z KAROLINĄ PREWĘCKĄ
PAPCIO CHMIEL OD KUCHNI

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 ŁUKASZ WARZECHA
WALKA NA RUSKIE ONUCE
Kto nie klaszcze, ten z Putinem?

48 PAWEŁ CHMIELEWSKI
UKRAINA TO NIE NIEMCY

50 WOJCIECH GOLONKA
BURISMA GATE

53 JERZY KARWELIS
EKSPERYMENT NA LUDZIACH

HISTORIA

56 ŁUKASZ CZARNECKI
POLSKA MIŁOŚĆ BALZAKA
Miłość i pieniądze

ŚWIAT

60 MACIEJ PIECZYŃSKI
ROZRYWKA W OKOPACH
Tak się bawią żołnierze na froncie

64 OLIVIER BAULT
KONSERWATYŚCI WSZYSTKICH KRAJÓW, ŁĄCZCIE SIĘ!

68 JAN BOGATKO
AFD DRUGĄ SIŁĄ NIEMIEC?

EKONOMIA

70 ROZMOWA Z YASUNORIM OGAWĄ
PREZES EPSONA: NOWA REWOLUCJA PRZEMYSŁOWA JUŻ TRWA
Wyznaczyliśmy megatrendy, które zmienią biznes do 2030 r.

„DO RZECZY" NA WAKACJE

74 RADOSŁAW WOJTAS
CHRYSTUS Z GÓRY CORCOVADO
Polskie ślady na świecie

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (59), PRZYBYLSKI (63), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), NOWAK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl b9f5f2ba9a

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Brukselo)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło.**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Z. Furman/Wprost/East News; Wojciech Stróżyk/Reporter; TRICOLORS/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Polska specjalność eksportowa Kapuś", Rafał A. Ziemkiewicz, „DRz" nr 25/2023

Gratuluję autorowi. Dziękuję za trafny tytuł i nazwanie rzeczy po imieniu. Słowo „kapuś", „donosiciel" niedługo będzie uznane za przejaw mowy nienawiści i zniknie z języka polskiego, jak wiele innych słów niosących ze sobą ocenę moralną.

Pierwsze próby rugowania słowa „donosiciel" już były. W czasie pandemii eksperci medyczni i media nawoływały do zgłaszania osób nieprzestrzegających sanitarnych obostrzeń – organizujących przyjęcia, imieniny w większym gronie i łamiących przepisy (często absurdalne, jak osławiony zakaz wstępu do lasów i na cmentarze). Donosicieli określano wdzięcznym mianem „sygnaliści", pozbawionym pejoratywnego znaczenia.

To kolejny przejaw psucia języka, o którym pisał G. Orwell: „Jest oczywiste, że wyjściową przyczyną psucia się języka są poglądy polityczne i ekonomiczne, a nie zły wpływ tego czy innego użytkownika. Ale skutek może sam z kolei stać się przyczyną wyjściową i wywołać ten sam skutek w intensywniejszej formie. [...] Język staje się brzydki i nieścisły, dlatego że głupio myślimy, ale z kolei niechlujstwo języka sprzyja głupiemu myśleniu [...]. Skoro myślenie psuje język, to język może też psuć myślenie".

Z pozdrowieniami dla Redakcji
Barbara Kęcińska-Lempka

Historia pewnego zdjęcia

Szanowni Państwo, piszę ten list, bo podobno nie ma przypadków, a są znaki. Takim znakiem dla mnie jest okładka „Do Rzeczy" z 19–25 sierpnia 2019 r. Jestem pilnym czytelnikiem Waszego pisma, ale przegapiłem tę okładkę. Podczas ostatnich świąt moja starsza siostra mieszkająca w Częstochowie spędzała je u młodszej we Wrocławiu. Na paczce papierów przygotowanych w czasie przedświątecznych porządków zobaczyła tę okładkę, a na niej naszą Mamę. W środku jest pani Czesława Caba, nauczycielka z Radomska, po jej lewej ręce siedzi nasza Mama Janina Ruszkowska, po mężu Woźniak, nauczycielka w szkole pod Piotrkowem. Panie przyjaźniły się od zerówki. Mieszkały w Piotrkowie przy obecnej ulicy Wojska Polskiego, Mama pod 50, a po drugiej stronie ulicy pani Czesława. Pani Caba, po mężu Krakowska, miała syna, który został ambasadorem Polski w Seulu. Interesują mnie pozostałe osoby i źródło pochodzenia zdjęcia.

Z poważaniem
Krzysztof Woźniak

Od redakcji

Szanowny Panie Krzysztofie, o zdjęciu wiemy tyle, ile zamieściła w opisie agencja fotograficzna, z której pozyskaliśmy tę fotografię. „Fot. Karol Szczeciński/East News Grupa młodych mieszkańców Łodzi na gdyńskim nabrzeżu na tle statku wycieczkowego »Małgosia«, Gdynia 1939". Kto wie, może nasi Czytelnicy będą mogli dopowiedzieć pozostałą część historii? Czekamy na Państwa listy oraz e-maile także w tej sprawie.

eprasa.pl b9f5f2ba9a

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

A znaczków żal

Wakacje się rozkręcają, wybaczcie mi, drodzy czytelnicy, mały odskok od politycznej tematyki. Przypadkowo zobaczyłem w telewizji komedię z epoki PRL „Skradziona kolekcja". Przypomniała mi o tym, jak ogromną rolę w czasach PRL odgrywało zbieranie znaczków. Szacowny pan Jan Kowalski, posiadacz jednej z najbardziej efektownych kolekcji znaczków w Warszawie, musi iść do szpitala i bojąc się, że jego mieszkanie zostanie okradzione, oddaje na przechowanie swoje skarby pani Joannie. Mniejsza o całą zwariowaną fabułę znikania i odnajdowania kradzionych kolejno kolekcji, w filmie tym pokazana jest rzeczywistość Polski z końca lat 70., gdzie hobby zbierania znaczków jest bardzo powszechne. Przed sklepami filatelistycznymi ustawiają się długie kolejki, a wyspecjalizowani złodzieje włamują się do mieszkań kolekcjonerów, mając już umówionych paserów.

Jak to bywa z takimi filmami, które zanurzają nas w zapomnianej już rzeczywistości, zgrabna komedyjka „Skradziona kolekcja" kazała mi zastanowić się, dlaczego aż tylu ludzi miało na punkcie znaczków hopla. W warunkach Polski Ludowej pewną rolę musiał odgrywać czynnik odcięcia od Zachodu. Listy opatrzone wspaniale wydrukowanymi znaczkami mieniącymi się najróżniejszymi kolorami były znakiem, że istnieje gdzieś lepszy, bardziej efektowny świat. Ale znaczki uważano też za lokatę kapitału. Na specjalnych giełdach filatelistycznych rozmaici krezusi znaczkowi z miną zblazowanych lordów przyjmowali propozycję wymian lub też kupna cudzych kolekcji. Moi starsi bracia zbierali znaczki i mieli własne klasery. Mój śp. Tata uznawał, że jest to coś tak naturalnego w przypadku ok. 12-letniego chłopca, że sprezentował mi specjalny klaser z zakupionymi paroma kolekcjami „na zachętę". Ofiarowany z dobrego serca prezent przyjąłem, ale znaczkowy czar zupełnie na mnie nie działał. Byłem chyba już reprezentantem nowej generacji, która do filatelistyki nie miała jakiegoś nabożnego stosunku. Filatelistyka odrodziła się jeszcze na chwilę w latach 80., kiedy to kolekcjonerzy rzucili się na znaczki wydawane przez podziemną Solidarność. Ale także ten rozdział w dziejach filatelistyki polskiej jakoś mną nie wstrząsnął.

Moja znajoma mówi, że wciąż istnieją sklepy filatelistyczne, ale ja jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, gdzie znajdują się one na mapie Warszawy. Pytani o to moi koledzy informują, że nastąpiła pauperyzacja filatelistyki. Kolekcje, które jeszcze w latach 80. kosztowały krocie, dziś z racji braku nabywców można kupić za grosze. Owszem, są jeszcze kręgi epigonów filatelistyki, które ekscytują się tą czy inną rzadką edycją. Ale temat znaczków jest martwy, bo już mało kto pisze listy i wysyła je za pomocą poczty.

Martwić się z tego czy cieszyć? Myślę, że ani to, ani to. Po prostu pogodzić się, że jest to taki sam element przemijania, jak zmieniające się fryzury czy fasony garniturów. Pewnie mój felieton dla ludzi z młodszego pokolenia też będzie się jawić jako opowieść o jakimś dawno zaginionym świecie. I będzie w tym sporo racji. ©℗

FOT. HANDOUT/OCEANGATE EXPEDITIONS/AFP/EAST NEWS

NOWE OFIARY „TITANICA"

22 czerwca ratownicy odnaleźli szczątki małej łodzi podwodnej „Titan", skonstruowanej do prowadzenia komercyjnych ekspedycji do wraku „Titanica" (ośmiodniowa wycieczka kosztowała ćwierć miliona dolarów od osoby). Na pokładzie zginęło pięć osób. Brytyjski „Titanic" zatonął w 1912 r. Katastrofę przeżyło tylko 730 osób z 2,3 tys. na pokładzie. Wrak statku na głębokości 3800 m odnaleziono w 1985 r. Szczątki niewielkiego „Titana" znajdują się zaledwie 500 m od wraku „Titanica". ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl b9f5f2ba9a

ALIOR BANK

KONTO JAKŻE OSOBISTE

SOCZYSTYCH WAKACJI PEŁNYCH KORZYŚCI ZA 0 ZŁ

- PROWADZENIE KONTA
- OBSŁUGA KARTY
- WSZYSTKIE KORZYŚCI NA KONCIE

PROMOCJA

www.aliorbank.pl

PROMOCJA OBOWIĄZUJE PRZEZ PEŁNE 3 MIESIĄCE OD OTWARCIA KONTA

W ramach oferty specjalnej „Konto Jakże Osobiste – oferta wakacyjna" nie pobieramy opłaty za prowadzenie konta, obsługę karty płatniczej debetowej oraz za wybrane przez Ciebie korzyści na koncie. Pozostałe opłaty są zgodne z Taryfą Opłat i Prowizji Alior Banku SA dla Klientów Indywidualnych. Oferta specjalna na ww. warunkach dotyczy każdego uczestnika, który skorzystał z oferty specjalnej, przez okres 3 pełnych miesięcy liczonych od dnia zawarcia umowy z bankiem. Z oferty specjalnej można skorzystać od 1.06.2023 r. do 31.08.2023 r. przez otwarcie Konta Jakże Osobistego. W dniu przystąpienia do oferty specjalnej uczestnik nie może być posiadaczem lub współposiadaczem innego Konta Jakże Osobistego w banku. Szczegóły oferty specjalnej są dostępne w Regulaminie oferty specjalnej „Konto Jakże Osobiste – oferta wakacyjna". Po upływie 3 miesięcy od objęcia uczestnika ofertą specjalną nie pobierzemy opłaty 10 zł za prowadzenie konta, jeśli w danym miesiącu kalendarzowym na konto wpłynie jednorazowo min. 1500 zł z innego banku lub z konta firmowego w naszym banku (jako wpływ nie są traktowane przelewy z rachunków Kantoru Walutowego Alior Banku należących do klientów indywidualnych i biznesowych) lub jeśli nie masz ukończonych 26 lat. Nie pobierzemy opłaty 5 zł za obsługę karty do konta, jeśli od ostatniego dnia poprzedniego miesiąca do przedostatniego dnia danego miesiąca wykonasz nią transakcje bezgotówkowe na łącznie min. 300 zł lub nie masz ukończonych 18 lat. Dwie korzyści będą bezpłatne, każda kolejna to koszt 3,50 zł miesięcznie. Szczegółowe zasady dot. wszystkich korzyści zawarte są w Regulaminie Korzyści do Konta Jakże Osobistego. Szczegółowe zasady regulujące korzystanie z konta oraz karty znajdują się w Regulaminie rachunków oszczędnościowo-rozliczeniowych, oszczędnościowych i terminowych lokat oszczędnościowych oraz w Regulaminie kart płatniczych Alior Banku SA. Zastosowane w niniejszym materiale pojęcia oznaczają zgodnie z wykazem usług reprezentatywnych: prowadzenie konta – prowadzenie rachunku płatniczego, obsługa karty do konta – obsługa karty płatniczej debetowej. Stan na 1.06.2023 r.

eprasa.pl b9f5f2ba9a

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Powstanie jak zdrowie

Rafał Trzaskowski, który zwykł zabiegać o sympatię skrajnej lewicy, kreując na wroga środowiska narodowe i na różne sposoby próbując uniemożliwiać, a przynajmniej utrudniać rzekomym „faszystom" ich patriotyczne imprezy, poniósł kolejną przegraną – niby symboliczną, ale bolesną szczególnie, bo na polu uważanym przez PO za swoje, w Sądzie Najwyższym. Ostatecznie zadecydował on, że organizowany przez grupę związaną w Robertem Bąkiewiczem rocznicowy Marsz Powstania Warszawskiego jest „zgromadzeniem cyklicznym" – a więc odbędzie się, podobnie jak kolejne Marsze Niepodległości, choćby Trzaskowski nie wiem, jak tupał, grzmiał i zabraniał.

Decyzja Sądu Najwyższego oburzyła oczywiście „Gazetę Wyborczą". W pełnym zajadłości komentarzu oskarżyła ona „neosędziów", że przez nich powstanie warszawskie stało się własnością „faszystów", którzy będą czcić je odpalaniem rac i okrzykami o „białej rasie".

Pomijając kłamliwość tego komentarza (nigdy na żadnym marszu nie było nic o „białej rasie", w ogóle jedynym „faszystowskim" elementem, który udało się ludziom Trzaskowskiego wypatrzyć jako uzasadnienie bezprawnego rozwiązywania manifestacji, była koszulka jednego z uczestników z przekreślonymi (!) symbolami swastyki oraz sierpa i młota) – a co u licha „Gazecie Wyborczej" do powstania warszawskiego? Sam mam do tej tradycji niejednoznaczny stosunek, ale bez wątpienia jest elementem tożsamości patriotyczno-romantycznej, owych „dusznych oparów polskiego mesjanizmu", które zawsze były wychowankom Czerskiej obce i wstrętne. Równie dobrze moglibyśmy my oburzać się, że Lewica zawłaszcza tradycję Róży Luksemburg i symbolikę I Międzynarodówki!

Pies ogrodnika? Mnie nasuwa się skojarzenie z innym zwierzątkiem: z kameleonem. W ostatnich dniach „opozycja demokratyczna", strojąc się w biel i czerwień, próbuje kolejnego już rebrandingu: na „opozycję patriotyczną". Powstanie, którego obchodzenie zawsze dotąd dyskredytowała i ośmieszała, nagle stało się jej drogie – gdy je straciła… ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Polska na celowniku

Kończąc swą książkę o „Strategicznej samotności Polski", Marek Budzisz pisze, że w wyniku wojny „Polska i Ukraina w sensie geostrategicznym" stały się już „jedną całością" i że skoro „Rosja nie zrezygnuje z próby »neutralizacji« czy pacyfikacji Ukrainy […], jest tylko kwestią czasu, kiedy […] będzie musiała skierować działania również przeciw Polsce".

To bardzo celna diagnoza. Sytuacja Polski przypomina dziś tę z końca lat 30. XX w. Hitler wówczas, wychodząc od stałego przekonania, że uruchomienie ekspansji na Wschodzie wymaga uprzedniego pokonania Francji, doszedł do wniosku, że jakakolwiek realizacja tych planów zakładać musi najpierw eliminację Polski (bo nie można mieć złudzeń, że Polska nie włączy się do wojny, która wybuchnie na Zachodzie). W ten sposób załamywały się nadzieje zmarłego parę lat wcześniej marszałka Piłsudskiego, który uważał, że nawet „łudząc despotów", należy opóźniać zaangażowanie Rzeczypospolitej w wojnę europejską, tym bardziej jeśli ma w sposób nieuchronny wybuchnąć.

Ciągle też działa niezmienna geopolityczna reguła. W chwilach zagrożenia pokoju szczególnego znaczenia nabierają państwa leżące na obszarach napięć. Zainteresowanie, jakie budzą, sprawia (przede wszystkim na nich samych) wrażenie gwałtownego wzrostu znaczenia.

Przypomniało mi się to, gdy usłyszałem jednego z naszych polityków opowiadającego z zachwytem, że udało się w czasie obecnej wojny zrobić z Rzeszowa Peszawar Zachodu (pakistański Peszawar stał się po najeździe sowieckim na Afganistan głównym zapleczem powstańców). Tak się składa, że angażując się w działania na rzecz ocalenia Asii Bibi, rozmawiałem w ciągu wielu lat z różnymi dyplomatami pakistańskimi. Żaden nie był zachwycony tym, co z Pakistanu uczyniła wojna afgańska. Mimo że Peszawar udało się w tamtych czasach zrobić Rzeszowem Wschodu. ©℗

eprasa.pl b9f5f2ba9a

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O komunizmie wiecznie żywym

Włoscy wyborcy rozliczyli się z szeroko pojętą lewicą w wyborach parlamentarnych, a niedawno w komunalnych. Postępowcy ponieśli druzgocącą klęskę. Zamiast zastanowić się nad przyczynami i zreformować, wypowiedzieli rządowi Giorgii Meloni wojnę totalną. Polega ona na tym, że jeśli rząd mówi, że coś jest białe, to opozycja krzyczy, że jest czarne.

Ulicami Włoch ciągną marsze protestacyjne. Ostatnio w Rzymie. Imprezę zorganizował kontestacyjny Ruch Pięciu Gwiazd. Stawili się ekoterroryści, komuniści z przewagą jaskiniowych i szefowa największej opozycyjnej Partii Demokratycznej – Elly Schlein. Hasłem była walka z prekariatem, czyli niepewnością pracy. Ale był to tylko pretekst.

Na wiecu z mównicy padły słowa budzące grozę. Politycy Ruchu, w tym Conte, namawiali do wprowadzenia w życie teorii ekonomicznej i praktyk Robin Hooda: „Zabrać bogatym i dać biednym", a także do realizacji ekonomii realnego socjalizmu: zasiłek dla każdego, czyli dzielenie się biedą po równo. Założyciel Ruchu, komik Beppe Grillo, wezwał do wyjścia na ulice w kominiarkach i zrobienia porządku.

Z kolei szef Ruchu Conte i komuniści zabrali się za politykę zagraniczną: „Zamiast zbroić Ukrainę, trzeba dążyć do pokoju", „Nie dla wojny". Padły ostre słowa o tym, że Italia jest w tej chwili sługą amerykańskich imperialistów, a Stany Zjednoczone to podżegacze wojenni. Jak na 1 maja na placu Czerwonym za Stalina. Jeszcze dalej poszła włoska skrajna lewica: „Włochy muszą wystąpić ze strefy euro, Unii Europejskiej i z NATO". Naturalnie wzywano Giorgię Meloni, najpopularniejszego obecnie polityka Włoch poza prezydentem, do złożenia rezygnacji.

Wszystko to dzieje się w kraju, który spośród głównych państw Unii zanotował największy wzrost gospodarczy. Spadły podatki, wzrosły zatrudnienie i pensje. Jedyną realną przyczyną tych ekscesów, transmitowanych usłużnie przez włoskie telewizje, wydaje się to, że zdaniem kontestatorów naród pobłądził i wybrał źle. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl b9f5f2ba9a

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

W KAŻDEJ MAGDZIE SĄ DWA WILKI

Magda Gessler lubi, kiedy wokół niej coś się dzieje. Co, to już nie tak ważne, jak sam fakt, by się działo. A to rzuci talerzem na wizji, a to wstawi wywołujące burzę zdjęcie, pod którym internauci nie mogą się nadziwić, jak to usta restauratorki są naturalnie aż tak duże. Generalnie show must go on i Gessler o tym wie. W tzw. Miesiącu Dumy środowiska LGBT (plus kolejne literki, niech państwo wybaczą, nie nadążam) Magda postanowiła wywołać aferkę związaną z tematyką „równościową". W wywiadzie dla portalu Pomponik postawiła tezę dotyczącą homoseksualizmu mężczyzn. – Powiem to bardzo odważnie: coraz więcej mężczyzn wybiera opcję męsko-męską przez to, że się boją kobiet, dlatego że kobiety czują się bardzo samotne i osaczają mężczyzn oraz nie potrafią absolutnie być kobiece, bo są już tak zniecierpliwione, że zapomniały o sztuce uwodzenia, sensualności. Tu nie chodzi o porno, seks, tu chodzi o zwyczajną, słodką, kobiecą sensualność – oceniła gwiazda „Kuchennych rewolucji". Wypowiedź Gessler spotkała się z krytyką internautów, nie obyło się też bez komentarza naczelnego homoaktywisty RP, Barta Staszewskiego. – Magda Gessler palnęła babola i promuje niebezpieczne bzdury. Nie boję się kobiet, uwielbiam je i od zawsze wiedziałem, że jestem gejem – stwierdził Bart. Niedługo po tym na instagramowym profilu Gessler pojawił się nowy post. Co prawda, nie nawiązała do wypowiedzi dotyczącej „osaczania mężczyzn", ale zaznaczyła, jak ważna jest dla niej tolerancja. „Tolerancja to słowo, którym wytapetowałabym sobie cały dom. Dzięki temu ludzie mogą się odradzać na nowo" – przekonuje restauratorka. Celebrytka ma szczęście, że tak szybko się zreflektowała. Cancel culture to bardzo niebezpieczne zjawisko...

FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

PROSTO Z MOSTU

„Skasowania" nie obawa się chyba aktor Sebastian Fabijański. Powody mogą być trzy – jest postacią postrzeganą za tak skompromitowaną w świecie show-biznesu, że jest mu zwyczajnie obojętne i może otwartym tekstem mówić, co myśli – na każdy temat; jeszcze nie uświadomił sobie, co powiedział, a gdy to zrobi, dokona natychmiastowego wycofania się na wcześniejsze, z góry ustalone pozycje; po prostu ma w głębokim poważaniu, co kto o nim sądzi i bez pardonu dzieli się swoimi poglądami. Ale, ale, o co chodzi? Już wyjaśniam. Seba, znany z dość jednak niezrozumiałych ruchów życiowych, był pytany, czy weźmie udział w Paradzie Równości (przeszła ulicami Warszawy 17 czerwca). – Jestem totalnie tolerancyjny dla wszelkich mniejszości, dla ludzi, którzy szukają swojej tożsamości, dla ludzi, którzy szukają swojego miejsca na tym świecie, którzy się szamocą, naprawdę mam bardzo dużo wyrozumiałości dla nich i jestem tolerancyjny – zapewnił w rozmowie z Wirtualną Polską. Chwilę później przyznał jednak, że „jest coś niepokojącego w idei, instytucji pod tytułem LGBT". – Ja mam wrażenie, że ktoś tam próbuje, na bazie i płaszczyźnie szlachetnych bardzo intencji, uzyskać jakieś mocne korzyści. Używana jest do tego bardzo delikatna sfera – sfera seksualna, ale wcale bym się nie zdziwił, choć nie jestem fanem teorii spiskowych, gdyby to był jakiś mocniej i grubiej zakrojony plan – przekonuje Fabijański. Seba, stąpasz po grząskim gruncie. Bardzo grząskim.

INSTRUKTAŻ ANTYRZĄDOWEGO BUNTU

„Przedwyborcze odmęty szaleństwa". Nie da się określić tego inaczej, a jest – niech państwo uwierzą – coraz gorzej i lepiej nie będzie. Im bliżej wyborów, tym bardziej absurdalnie. Co tydzień będę odnotowywać najbardziej gwiazdobzdurową wypowiedź okołowyborczą, co by potomni mieli udokumentowane na piśmie, w jakim stanie mentalnego odlotu znajdowali się niektórzy. Kino Muranów zorganizowało Post Pxrn Film Festival Warsaw, festiwal filmowy poświęcony postpornografii (sic!) oraz seksualności. Z tej okazji pisarka, „ekofeministka" Agnieszka Szpila, opublikowała na portalu „Krytyki Politycznej" wulgarny i skrajnie obsceniczny manifest. „Bunt przeciwko rządowi możecie wyrazić, masturbując się flagą Polski lub proporczykiem z polskim godłem. Trzonek świetnie ulokuje się w spragnionej pieszczot d.pie. Jeśli ten kraj gwałci cię analnie, wyr...aj go tak samo" – czytamy. Dalej Szpila przekonuje, by gwałtu na „tym kraju" dokonywać „z miłością" i „pasją". „Wtedy wygrasz to etycznie i politycznie" – zapewnia czytelników. Aktywistka zastanawia się dalej nad kwestią oddawania moczu, przekonując, że może to być czynność o wydźwięku politycznym. „Ojczyznę, zwłaszcza spływającą toksyną jak nasza, trzeba podlewać moczem. Nie dla hańby narodowej, a dla użyźnienia tego, co uschnięte, co przez wieki zeschło na wiór" – czytamy. Szpila przekonuje, że uprawnianie seksu w czasie „konserwatywnej zarazy" ma sens tylko wtedy, „kiedy stoi za nim coś więcej". Powinien to być – według pisarki – akt polityczny, którego celem ma być „oczyszczenie tego bagna z konserwatywnego syfu, który zatruwa to społeczeństwo. Z patriarchatu, ze sterczenia tego, co i tak od dawna uwiędłe". A nie mówiłam? Odmęty szaleństwa. ©℗

eprasa.pl b9f5f2ba9a

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, eksplorując przestrzeń miejską w Krakowie, natknęliśmy się na ulicę Konfederacką i jesteśmy przerażeni, jak bardzo fashysm wdarł się w naszą codzienność, a my go nie dostrzegamy i mijamy go, jak gdyby nigdy nic.

Otósh dlaczego do tej pory władze Krakowa nie zmieniły nazwy tej ulicy, zwłaszcza wiedząc, iż mamy rok wyborczy i że ktoś niezdecydowany, kto będzie głosował w wyborach, pod wpływem spaceru zagłosuje na fashystów? Albo jeszcze komuś, nie daj Unio, do głowy przyjdzie ulokować tam lokal wyborczy?

Jakoś nie kojarzymy, iżby w Krakowie znajdowała się ulica Obywatelska lub ulica Platformiana albo chociaż ulica Koalicyjna. Jest co prawda ulica Geremka, ale daleko, na obrzeżach, chcieliśmy tam nawet mieszkać. No ale sami wiecie, jakie są ceny w wielkich ośrodkach, no nie?

W każdym razie zrobiliśmy krótki research i okazało się, iż nazwa Konfederacja nie odnosi się tylko do wiadomej partii w tym kraju, lecz także do pospolitych ruchawek polskiej warcholskiej szlachty wymierzonej przeciw postępowemu królowi Stasiowi. Nie mamy pewności więc, do czego odnosi się nazwa ulicy, ale serio można wymyślić lepszą nazwę, choćby po to, iżby nie mieszać młodzieży w głowach.

Kaczafi wraca do rządu, a więc boimy się i mamy refleksję, iż totalnie zachowuje się jak kot: raz wchodzi, raz wychodzi, nie może się zdecydować, czy chce być w środku czy na zewnątrz. Każdy, kto mieszka z kotoosobą, wie, o czym mówimy.

Natomiast zastanawiamy się, co oznacza ten kolejny powrót Kaczafiego do rządu. Czy jest to zapowiedź ostatecznego siłowego przejęcia władzy czy zwiastuje rychłą rozprawę z opozycją, czy też może ma przeprowadzić wewnętrzne czystki wśród niewiernych pisowców?

Sami wiecie, iż ostatnio trochę więcej zajmowaliśmy się kulturą i lajfstajlem niż polityką, ale czujemy, iż kolejne miesiące będą decydujące dla przyszłości, zwłaszcza iż idą wybory i jeśli wygra je pis, to gospodarka tym razem już na pewno upadnie, a lotniska zostaną zablokowane przez wykształconą młodzież z wielkich ośrodków, która będzie uciekała z tego kraju na Zachód.

Poza kulturą i lajfstajlem interesuje nas także incydentalnie reprezentacja tego kraju w piłce nożnej, iż jest to zjawisko, które wymagało odrębnej pogłębionej analizy socjologicznej. Może nawet i zaprzyjaźniona Julka z feminokolektywu, identyfikująca się jako wiedźma, mogłaby postawić jakiś horoskop, bo to, co się wydarzyło w meczu z Mołdawią, przechodzi nie tylko ludzkie pojęcie, lecz także granice tego, co umownie możemy nazwać rzeczywistością.

Przypomnijmy dla tych z was, którzy niekoniecznie lubią oglądać milionerów kopiących świński pęcherz: reprezentacja tego kraju przegrała 3:2 z reprezentacją Mołdawii, a więc jednego z najbiedniejszych krajów Europy.

Pomyślcie więc sobie, co musieli poczuć Niemcy, z którymi ten kraj wygrał kilka dni wcześniej, a dla których my jesteśmy przecież taką, zachowując proporcje, Mołdawią.

Czy więc nie okazuje się, iż nasze zwycięstwo nad Niemcami nie było nadmiarowe, zbędne, niepotrzebnie podburzające emocje, eskalujące nastroje ksenofashystoffskie? Może wystarczy tego rodzaju manifestacji, które dzielą, a nie łączą.

W zamian proponujemy kolejną porażkę, tym razem z Wyspami Owczymi, iżby pokazać, że podchodzimy do tematu z pokorą, na spokojnie, bez tej wiecznej husarskiej potrzeby wymachiwania szabelką. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Prawdziwy wojownik

Tu, Jarku, przygotowałem ci gabinecik, oczywiście ten sam, co zawsze.
Dziękuję, Jacku.

O, i zbroję wstawiłem, tę, co zawsze. A wiesz, że Mateusz to chciał się jej pozbyć?
Ale tak zupełnie?

No nie.
Chciał do muzeum oddać. I wtedy już byś tu jej nie miał, a wiem, jak ją lubisz. Ja ją uratowałem!
A co mu strzeliło, żeby mi zbroję wyrzucać?

To taka dziwna historia...
Bo tu kiedyś Mariusz przyszedł, niby na spotkanie z Matim, tak łaził, potem zniknął.
I nagle patrzymy, a tu rycerz w zbroi zasuwa korytarzem.
Raban się zrobił, SOP przybiegł.
No a to Mariusz właśnie był.
Zwariował?

Tłumaczył, że chciał się poczuć jak prawdziwy wojownik.
Ech... Weź no tam szmatkę, przetrzyj przyłbicę, przykurzona jest. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„PiS uczciwie wyborów nie wygra".

***TOMASZ LIS**, publicysta, na Twitterze*

eprasa.pl b9f5f2ba9a

dwaj panowie g

Witamy z powrotem w rządzie Jarosława Kaczyńskiego SWP. Zwrot ten, jak wiadomo, oznaczał Szeregowego Wicepremiera. Ale w związku z nową sytuacją jest już nieaktualny. Zastępujemy go zwrotem „Jarosław Kaczyński SNP". Czyli Szeregowy Nadpremier.

Cel roszady jest jasny: odpowiednio wysoka wygrana w wyborach. W kręgach PiS panuje przekonanie, że da się to zrobić jedynie hasłem „Bezpieczeństwo!". A dla elektoratu symbol jest jeden – Jarosław. Na wszelki wypadek przypominamy jednak, że hasło „Silny człowiek na trudne czasy" zostało już wcześniej wykorzystane w kampanii prezydenckiej przez Mariana Kowalskiego.

Powrotowi Kaczyńskiego SNP do rządu towarzyszyła cała seria czasem dość zaskakujących argumentów i porównań. Liczni PiS-owcy powtarzają np. frazę, że obecność JK „usprawni rząd". Czy to znaczy, że dotąd rząd był niesprawny? I że teraz będzie „pełna koordynacja"? To znaczy, że dotąd nie było koordynacji? Ale i tak najbardziej spodobał nam się Marek Suski ze swoim hasłem „To renesans rządu". No bo wiecie, co było przed renesansem. Średniowiecze. A i tak wszyscy wiedzą, że chodzi o to, by Mateusz polubił Zbigniewa i odwrotnie.

Powrót Kaczyńskiego SNP do rządu sprawił, że wielu zapomniało o zmianie szefa sztabu wyborczego z Tomasza Poręby na Joachima Brudzińskiego. My nie, więc wyjaśniamy. Naczelnik nie był zadowolony, zauważając samozadowolenie, reaktywność i ślepotę na brak efektów. Na przykład „Programowy Ul" kosztował masę kasy, a – jak się okazało – elektoratu nie zainteresował. Kaczyński postanowił więc wymienić Porębę. Za parę tygodni. A ten postanowił nie czekać i sam podał się do dymisji.

Wszystkie te zmiany mają być nowym otwarciem kampanijnym, ale lista byłaby niepełna bez koncepcji referendum w sprawie przyjmowania migrantów. Nie zastanawiajcie się, czy będzie. Będzie. Nie zastanawiajcie się kiedy. Będzie razem z wyborami.

Jednocześnie odnotowujemy, że przedwyborcze wysiłki PiS wspiera już cała Europa. Na przykład w lipcu na ostatnim posiedzeniu europarlamentu wałkowany będzie ponownie pakt migracyjny. Słusznie, czekamy na płomienne wystąpienia, ujęcia do wyborczych klipów na referendum w Polsce nie zrobią się same.

Tymczasem wśród zielonych braci i wyznawców Szymona Płaczliwego 2050 narasta przekonanie, że ten pomysł z koalicją wyborczą świnek z kurkami (copyright Piotr Zgorzelski) skończy się źle. Bo słupki zamiast rosnąć – spadają. Nasze wiewiórki wręcz mówią, że Kosiniak niebawem może pożegnać się z funkcją szefa Peezelu, i to razem z Kamyszem.

Apropos Szymka Płaczliwego Hołowni. Kolęduje u niego najdłuższy polski mecenas zwany Koniem w sprawie jedynki na liście do Sejmu. Wszystko dlatego, że pewne jest już, że nie wystartuje na senatora z obwarzanka podpoznańskiego. Dlaczego wielki Roman zwraca się do Szymona? Bo ten ma u niego dług wdzięczności. Wszak to właśnie Roman wymyślił Szymka jako polityka. Problem polega na tym, że w całej Polsce 2050 jedynie Szymek cokolwiek zawdzięcza Romanowi.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

A jeszcze gorzej jest w Peezelu, gdzie nikt nie zawdzięcza mu nic.

Wracając do rządu. Robota w resortach powoli zamiera. Ministrowie i wiceministrowie rozjechali się po swoich okręgach wyborczych. Cała harówka spadła na tych wiceministrów, którzy kandydować nie mają zamiaru. I to oni przez najbliższe miesiące będą rządzić w Polsce. Powód do dumy, prawda. Ale i lekkie ryzyko. Pomyślcie tylko, ile palpitacji serca może nastąpić, kiedy tymi wiceministrami zacznie bezpośrednio dyrygować Szeregowy Nadpremier Jarosław Kaczyński.

Tymczasem w Najwyższej Izbie Kontroli. W firmowym intranecie do niedawna istniało forum pracowników izby, na którym anonimowo mogli oni wyrażać opinie. Niedawno jednak na forum zaczęto krytykować samego Żelaznego Mariana Banasia. Poszło o film poświęcony pracy dzielnych kontrolerek wyprodukowany przez Izbę. W stylu sowieckiej agitki, jakiej nie powstydziłby się sam Mosfilm. Oj, nie spodobała się krytyka Marianowi! Krytyka bowiem może być, ale wicie, rozumicie, nie można jej mylić z krytykanctwem. Zlikwidowano więc anonimowość forum. Teraz można krytykować wyłącznie pod nazwiskiem. Słuszną linię ma nasza Izba.

Ale u Żelaznego Mariana dzieją się też ciekawsze rzeczy. O ile kiedyś PeŁo gardłowała w sprawie szefa NIK nieustannie i domagała się konsekwencji, o tyle dziś wybaczono mu interesy kamieniczne czy kontakty z nieciekawymi ludźmi. I tak Marian stał się najlepszym przyjacielem PeŁo. Cezary Tomczyk oraz dwaj posłowie znani jako papużki nierozłączki lub – dosadniej – głupi i głupszy są zaś niemal stałymi lokatorami siedziby NIK przy Filtrowej.

Jak słyszeliśmy, najcięższe działa Naczelna Izba Kontroli szykuje nie na teraz, ale dopiero na wrzesień. Dział będzie kilka. Kolejne raporty Izby mają ukazywać Zjednoczoną Prawicę jako bandę złodziei i malwersantów. Głupi i głupszy największe nadzieje wiążą z raportem dotyczącym TVP. Problem polega na tym, że większości jego bohaterów już w TVP nie ma. ©℗

eprasa.pl b9f5f2ba9a

WYDAWNICTWO m

Pobierz naszą aplikację

A gdyby tak poszukać śladów mistyki... w codzienności?

DARMOWA DOSTAWA

przy zakupie *Nie mam czasu* lub innej książki z serii „Duchowość w codzienności”

Kod Rabatowy **CZAS**

GOŚĆ NIEDZIELNY · Echo Katolickie · STACJA7.PL · JAGODPEPPERMINT

*Kod rabatowy ważny do 30.06.2023 r. Rabat na darmową dostawę zostanie naliczony automatycznie po wpisaniu kodu rabatowego w koszyku.

eprasa.pl b9f5f2ba9a

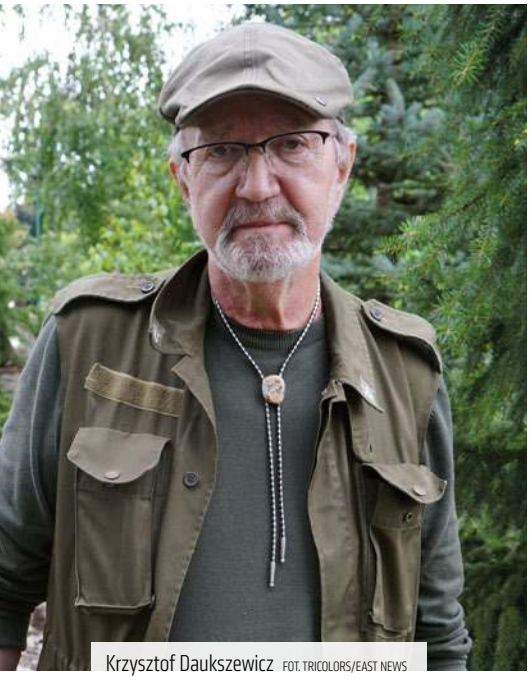
Krzysztof Daukszewicz FOT. TRICOLORS/EAST NEWS

Piotr Jacoń FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

Robert Górski FOT. MATEUSZ GROCHOCKI/DDTVN/EAST NEWS

Wzmożenie poza kontrolą

Rafał A. Ziemkiewicz

Konflikty pomiędzy autorytetami anty-PiS nie zmieniają zasady, że wróg to „polityczni przestępcy", „faszyści", wobec których wszystkie zasady przyzwoitości, a nawet prawa obywatelskie nie obowiązują. Groteskowym ubocznym efektem tego aksjomatu jest okładanie się przy podobnych bójkach insynuacją związków z PiS albo podobieństwa do PiS

Błaha z pozoru wpadka Krzysztofa Daukszewicza, którą on sam skwitował od razu dosadnym „pie....nąłem głupotę", spowodowała na lewicowo-liberalnych salonach nienotowany dotąd zamęt. Oto dwa autorytety tego środowiska ogłosiły się ofiarami siebie nawzajem. Piotr Jacoń, którego autorytet wynika z tego, że jest dziennikarzem wiodącego medium anty-PiS, TVN24, a w dodatku ojcem transpłciowego dziecka i szermierzem ruchu LGBT, oskarża Daukszewicza o przysporzenie jemu i jego transrodzinie nieopisanych cierpień transfobiczną zniewagą, której się tamten był dopuścił, pytając na antenie „jakiej jest dzisiaj płci". Daukszewicz z kolei, autorytet z racji licznych szyderczych i obelżywych uwag na temat PiS, które napisał, zaśpiewał i wygłosił w ostatnich latach, oskarża Jaconia, że napuścił na niego pełnych nienawiści fanatyków, których zmasowany hejt zniszczył jego karierę i życie rodzinne – a co więcej, dla własnej korzyści zaszkodził świętej sprawie walki z PiS, przedstawiając jako zbrodnię transfobii słowa, które były przecież tylko pomyłką (Daukszewicz chciał zakpić nie z Jaconia, choć tak wyszło, tylko z Kaczyńskiego. A cóż może być bardziej politycznie poprawne niż uderzenie Kaczyńskiego?).

Każde z tych oskarżeń, gdyby skierowane zostało przeciwko komuś spoza grona autorytetów lewicowo-liberalnej bańki, miałoby w niej moc niszczącą, wykluczającą i degradującą wskazanego sprawcę do kategorii „żadnych tam rozmów, dialogów chrześcijańskich, faszystom trzeba przyp…dolić!". Ale tu oto skierowane zostały przeciwko sobie przez świątków obdarzonych podobnym immunitetem. Jak ocenić, co jest zbrodnią większą: „transfobia" czy „pisizm"? Dla zarządu kontrolowanej przez Amerykanów TVN, jak można się domyślać, zmuszonego kierować się promowanymi przez administracje Bidena ideologicznymi obsesjami „woke", oraz dla lewicowych aktywistek pokroju Magdaleny Środy czy Renaty Kim nie ulegało kwestii, że wykluczeniu powinien podlegać Daukszewicz. Dla kierują-

eprasa.pl b9f5f2ba9a

cych się moralnym imperatywem „obrony demokracji" kolegów Daukszewicza z programu i komentatorów w rodzaju Tomasz Lisa – że to szkodzący tej obronie Jacoń powinien zostać surowo pouczony, co wolno wojewodzie. Jedne autorytety liberalne lewicy stanęły za pierwszym, inne za drugim, większość zapomniała języka w gębie, nie potrafiąc wybrnąć z dysonansu poznawczego.

Głosem tych ostatnich można nazwać dr. Krzysztofa Grzegorzewskiego, medioznawcę z UŁ, który na należącym do Agory portalu plotkarskim spróbował pogodzić strony sporu w sposób dla wszystkich akceptowalny – wskazując jako winnego PiS. To nie Jacoń odpowiada za hejt na „transfoba", ale pisowscy trolle, którzy masowo podszywając się pod zwolenników ruchu LGBT, zarzucili Daukszewicza obelgami, żeby go sprowokować do tego, do czego niestety dał się sprowokować, ze szkodą dla flagowanego antypisowskiego programu „satyrycznego".

PUŁAPKA MORALNEGO WZMOŻENIA

Czy „oświecone elity", jak zwykł o sobie myśleć „żelazny elektorat" PO, kupią tę narrację – trudno przewidzieć. Niewątpliwie w ten czy inny sposób sprawa Daukszewicz vs. Jacoń rozejdzie się w końcu po kościach, choćby dlatego, że większość środowisk liberalnych zdaje sobie sprawę, iż na tym sporze zyskują ich wrogowie. Tyle tylko, że zaraz zdarzy się coś podobnego. Ba, więcej – podobne wojenki wewnątrz antypisowskiej „bańki" powtarzają się już od pewnego czasu, tylko jak dotąd rzadko docierały w tak spektakularny sposób do opinii publicznej. Kiedy kolektyw Stop Bzdurom Margota-Szutowicza urządzał agresywne demonstracje pod siedzibą „Gazety Wyborczej", z hasłami w rodzaju „J.bie tu terfem", był to, mimo całego wysiłku włożonego niewiele wcześniej przez media i autorytety w napompowanie popularności „niebinarnego macho", bunt grupki zbyt niszowej, by zdołał zaburzyć dobre samopoczucie obozu. Podobnie, kiedy na portalu feministycznym sam Adam Michnik z oberautorytetu stał się „naczelnym polskim dziadersem" i klerykałem, krzewiącym kult „pedofila z Wadowic", środowisko machnęło na ten eksces ręką.

A nie powinno, gdyż były to pierwsze sygnały problemu, który środowisko to samo na siebie ściągnęło, opierając całą narrację plemiennej wojny z PiS na mechanizmie, który Douglas Murray określił mianem „moralnej paniki", a u nas jeszcze przed nim (bo też w Polsce samo zjawisko wyprzedziło rozkwit „cancel culture" na Zachodzie) nazywane bywało „moralnym wzmożeniem". Kreowanie się na ofiary nienawiści, przypisywanie wrogowi, że jest prześladowcą, agresorem, oprawcą, połączone z odebraniem prawa do krytyki, gdyż każda krytyka, powodując dyskomfort krytykowanego, jest prześladowaniem, a więc przemocą, a więc faszyzmem – to, jak pokazują sukcesy ruchów LGBT czy BLM, bardzo skuteczny sposób obezwładniania przeciwnika. Nikt przecież nie chce być pozbawionym serca okrutnikiem, który ponosi odpowiedzialność za samobójstwa dzieci, śmierć ciężarnych kobiet albo gehennę tonących w Morzu Śródziemnym migrantów czy choćby tylko za „masowe" wycinanie drzew albo mordowanie dzików.

Oparcie całej strategii walki zakwestionowanych elit z PiS właśnie na moralnym wzmożeniu, poza tym, że skłaniał do tego ich głęboko zakorzeniony instynkt, miało dla obozu lewicowo-liberalnego tę znakomitą zaletę, że pozwalało całkowicie unieważnić wszelkie kwestie merytoryczne. Przede wszystkim zaś moralne wzmożenie, szybko prowadzące do histerycznie natężonych emocji, uniemożliwiało zwolennikom liberalnej lewicy zadawanie jej liderom pytań, których ci bali się panicznie: Dlaczego Polacy, którzy w latach 90. byli pod nieprzepartym urokiem autorytetów tego obozu, w drugiej dekadzie bieżącego wieku gremialnie przestali ich słuchać? Dlaczego Bronisław Komorowski i PO przegrali wybory, choć dysponowali absolutnie wszystkimi atutami i przewagami? Czy aby nie popełniliśmy jakiegoś zasadniczego błędu i nie powinniśmy czegoś w sobie zmienić na lepsze?

Prosta, manichejska wizja: dobro walczy ze złem, nie ma między nimi kompromisu czy bytów pośrednich, kto odchodzi od nas, kto choćby ma wątpliwości, tym samym staje po stronie populistów, faszystów, zbrodniarzy i ludobójców (czujni agitatorzy anty-PiS nazwali taką herezję „symetryzmem" i przystąpili do jej tropienia z analogiczną zajadłością, z jaką bolszewicy tropili różnego rodzaju „odchylenia nacjonalistyczne" i „błędy trockizmu"). Na krótki dystans – samograj. Na dłuższy, okazało się, jednak pewne zagrożenie.

Zagrożenie polega na tym, że kiedy jedynym kryterium przynależności do „opozycji demokratycznej" i hierarchii w niej obowiązującej stało się artykułowanie niezłomnej nienawiści do PiS, zaczęła ona ściągać do siebie różnego rodzaju szumowinę. Każdy, kto z różnych względów stracił szansę zrobienia kariery gdzie indziej, mógł rozpocząć nowe życie jako autorytet dla liberalnej lewicy – jeśli tylko wykazywał się radykalizmem. Gdy Eliza Michalik, ongiś dziennikarka „Gazety Polskiej" i „Gościa Niedzielnego", albo były ideolog „pampersów" Cezary Michalski zademonstrowali gotowość – mówiąc językiem liberalnych elit – „j…nia PiS" bez żadnych zahamowań, mogli być spokojni, że nikt nie będzie ich rozliczał z czasów, kiedy zajadle zwalczali lewicę, feminizm czy autorytety „Gazety Wyborczej". „Opozycja totalna" zaczęła przypominać statek z ballady Wojciecha Młynarskiego, którego dno obkleja „substancja lepka i pachnąca wrednie". Na mostku kapitańskim nikt się tym jednak nie martwił, uważając, że radykałowie, nawet kompletni wariaci, czy hejterzy szukający pomsty na PiS za odrzucenie, którego tam doznali, przydadzą się do najbrudniejszej propagandowej i bojówkarskiej roboty. Przede wszystkim moralne wzmożenie, szybko prowadzące do histerycznie natężonych emocji, uniemożliwi zadawanie elitom własnego obozu pytania, którego te bały się panicznie, a potem się je bez trudu weźmie na sznurek i zaspokoi byle czym. Zupełnie zapomniano w „obozie demokratycznym", że każda rewolucja ma skłonność do pożerania po pewnym czasie swoich dzieci.

SAME OFIARY

Być może Roman Giertych wytoczy mi za tę metaforę kolejny ze swoich sławnych procesów, ale właśnie on zasługuje na wskazanie jako wybitny okaz owej „substancji", która okleiła „demokratyczną" nawę i (znowu nawiążę do wspomnianej piosenki) krzyczy: „Hej, płyniemy!" głośniej niż ci, którzy ją zwodowali. W cieniu zderzenia moralnych

eprasa.pl b9f5f2ba9a

wzmożeń w „Szkle kontaktowym" pozostaje inna charakterystyczna „inba", która mniej więcej w tym samym czasie podzieliła „opozycję demokratyczną": wspomniany Roman Giertych przystąpił do „kancelowania" sympatyzującego z opozycją socjologa, szefa Polskiej Grupy Badawczej, Łukasza Pawłowskiego. Pawłowski jest jednym z tych, którzy na portalu gazeta.pl, u Grzegorza Sroczyńskiego (któremu już wcześniej zapowiedział Giertych, że w ramach rozliczeń z pisowskimi „symetrystami" zostanie po zwycięstwie „sił demokratycznych" zniszczony), usiłowali z pozycji eksperta przekonać opozycję, że radykalizacja przekazu wcale jej dobrze nie służy, a „jedna lista" i podporządkowanie wszystkich Tuskowi, które usiłują wymusić lewicowo-liberalna autorytety, to nie jest sposób na odsunięcie PiS od władzy, tylko przeciwnie, na jego trzecią kadencję.

Dla „twardego" anty-PiS, którego Roman Giertych stał się czołowym prowodyrem (nie wymagało to wielkiej przebiegłości, wystarczało stale dociskać pedał radykalizmu i nienawiści) to niewybaczalne herezje, więc Giertych publicznie zadał Pawłowskiemu „lepperowskie pytanie", ile pieniędzy bierze od PiS, po czym zaczął rozpowszechniać linki do publikacji hejterskiego portalu prowadzonego przez związanego z nim Jana Pińskiego (którego w czasach, gdy współrządził z PiS, zrobił był szefem pionu informacyjnego TVP), jakoby Pawłowski był kupiony przez obecną władzę do szkodzenia opozycji, czego „dowodem" jest to, że na pytanie o źródła swych dochodów odmawia odpowiedzi. Oskarżenie miało spory rezonans, bo w ramach budowania swej pozycji w obozie Tuska Giertych stworzył w ostatnim czasie „sieć na wybory" – ruch internetowych fanatyków anty-PiS, którzy pod jego batutą po całych dniach wypisują zgodne z przekazem dnia posty i „plusują" wymyślone przez Giertycha hashtagi w stylu „#PiSprzegra" albo „#KaczynskiMordercaKobiet", żeby wypromować je w codziennych „trendach" mediów społecznościowych.

Pawłowski, protestując przeciwko nagonce, nazwał tę grupę „farmą trolli" i „hejterami", na co Giertych zagroził mu procesem, jeśli natychmiast nie odwoła i nie przeprosi. Pawłowski jednak nie przeprosił, wybrał kontratak. „Postawmy się hejtowi i agresji w sieci, inaczej nas pogrąży, stłamsi i odczłowieczy" – zaapelował do sympatyków liberalnej lewicy; „każdy przyzwoity człowiek powinien zrobić wszystko, by osoby takie jak Roman Giertych nigdy nie zostały posłami czy senatorami".

Podobnie jak w sprawie Daukszewicza i Jaconia, także tutaj obie strony występują w roli ofiary, bo Giertych z kolei przedstawia jako męczeństwo, że Pawłowski dopuścił się nazwania jego grupy „hejterami", a przecież on, Giertych, i jego społecznościowa sieć właśnie walczą z hejtem! Bo przecież każda walka z PiS to walka z hejtem, który doprowadził do śmierci Pawła Adamowicza itd.

Konflikty pomiędzy autorytetami anty-PiS nie zmieniają bowiem zasady, że, oczywiście, wróg to „polityczni przestępcy", „faszyści", wobec których wszystkie zasady przyzwoitości, a nawet prawa obywatelskie nie obowiązują – jak uporczywie tłumaczą to „swoim" profesorowie Markowski czy Górecki. Groteskowym ubocznym efektem tego aksjomatu jest okładanie się przy podobnych bójkach insynuacją związków z PiS albo podobieństwa do PiS. Daukszewicz i Jacoń, w tle oskarżeń, który kłamie, że przeprosił albo że nie był przeproszony, przyklejają siebie nawzajem do Kaczyńskiego i Czarnka. Lewicowy bloger, atakując na łamach „Krytyki Politycznej" Tomasza Lisa za to, że zwalczając Lewicę i Hołownię, pomaga PiS (aż chce się dialektycznie uściślić: będąc subiektywnie wrogiem PiS, obiektywnie stał się jego sprzymierzeńcem), sięga po najstraszniejszą obelgę, którą zdolny jest wymyślić: Lis stał się kimś takim jak Ziemkiewicz!

Lewicowo-liberalna opozycja stała się zakładnikiem takich ludzi jak Giertych, „Babcia Kasia" czy hałaśliwie eksterioryzujące swoje problemy psychiczne „aktywiszcza" LGBTQIA itd.

Nawet ludzie, których chciałoby się traktować poważniej, nie potrafią zauważyć problemów we własnym obozie inaczej niż po długiej serii rytualnych zapewnień, że to oczywiście PiS zaczął, PiS jest gorszy, wszystko przez PiS… Ale, wiecie, rozumiecie, nienawiść pojawiła się także po naszej stronie, konstatują np. w „Polityce" Sławomir Sierakowski i Przemysław Sadura. Niestety, przejęliśmy populistyczne nawyki od Kaczyńskiego i, niestety, niestety, ta agresja zaczęła być kierowana także przeciwko naszym, czego przykładem to, co spotkało Hołownię…

ZAKŁADNICY „AUTORYTETÓW"

Obiegowa mądrość powiada „lepiej późno niż wcale", ale w tym wypadku nie ma ona zastosowania: późno czy później, nie ma już znaczenia, bo do wyborów zostało tylko kilka wakacyjnych miesięcy i w tym czasie, nawet gdyby nie wiem jak opozycja chciała (a wcale nie widać, że chce), nie da się odwrócić ostatnich ośmiu lat. A skutkiem tych ośmiu lat jest to, że lewicowo-liberalna opozycja stała się zakładnikiem właśnie takich ludzi jak Giertych, „Babcia Kasia" czy hałaśliwie eksterioryzujące swoje problemy psychiczne „aktywiszcza" LGBTQIA itd. Platforma może cała, jak na Marszu Tuska 4 czerwca, oflagować się w barwy narodowe, chowając głęboko bannery tęczowe oraz unijne, może się pooklejać serduszkami (Który to już symbol anty-PiS, nawiasem mówiąc? Oporniki, wieszaki, czarne parasolki, banany, białe róże, błyskawice… trudno nadążyć), a Tusk może codziennie ogłaszać, że on i jego przystawki to „grono patriotów", podczas gdy PiS to Putin, ale dla przeciętnego Polaka opozycja to tylko „je.ać PiS", to chamstwo, wulgarność i zapowiedzi brutalnej zemsty, bez oglądania się na jakiekolwiek zasady.

Pół biedy zresztą, czym jest ona dla przeciętnego Polaka. Najważniejszym skutkiem drogi wybranej po 2015 r. jest, że tym właśnie jest ona dla siebie samej, dla swego „żelaznego elektoratu", który – co Giertych doskonale wyczuł i rozgrywa – skutecznie wytresowany został przez „demokratyczne" media i autorytety w duchu nienawistnego sekciarstwa. A to, jak historia dowiodła wiele razy, zawsze prędzej czy później prowadzi do tropienia i karania odstępców w obrębie samej sekty.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b9f5f2ba9a

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!

tygodnik.dorzeczy.pl/dodatki-specjalne

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

Fundusz Sprawiedliwości

funduszsprawiedliwosci.gov.pl

Ministerstwo Sprawiedliwości

eprasa.pl b9f5f2ba9a

Krzysztof Daukszewicz (z lewej) i Tomasz Sianecki

FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

Potłuczone szkiełko

Zuzanna Dąbrowska

Fala odejść z emitowanego od prawie dwóch dekad na antenie TVN24 „Szkła kontaktowego" to dla stacji duży problem. Chodzi nie tylko o podziały w redakcji, lecz także o poważną rysę na wizerunku Wiertniczej

Nie musimy być kochani, wystarczy, że się z nami liczą – tak o programie, przy okazji jego 18. urodzin, mówił jeden z prowadzących – Tomasz Sianecki. „Szkło kontaktowe" mające być luźną formą żartobliwego podsumowania politycznego, z wyraźnym naciskiem na krytykę PiS, stało się przez lata jednym z flagowych programów TVN24. Wygląda jednak na to, że cieszący się niezmienną popularnością program po aferze wokół sporu na linii Krzysztof Daukszewicz – Piotr Jacoń może przestać być wyznacznikiem liberalno-lewicowych trendów (przynajmniej tych telewizyjnych).

Podczas jednego z majowych wydań programu prowadzący Krzysztof Daukszewicz oraz Tomasz Sianecki wyśmiewali się z różnych wypowiedzi polityków Prawa i Sprawiedliwości, w tym ze słów prezesa Jarosława Kaczyńskiego. W pewnym momencie prowadzący połączyli się z dziennikarzem Piotrem Jaconiem, który prywatnie jest ojcem dziecka „trans". – A jakiej płci on dzisiaj jest? – zapytał satyryk Daukszewicz. Jacoń nie krył konsternacji, opuścił wzrok, a swoją kwestię wypowiedział niezwykle poważnie, z karcącym spojrzeniem. – Jakiś taki strasznie zasadniczy był pan Piotr – stwierdził Sianecki. – Chyba ja pier…..łem głupotę – zreflektował się wówczas Daukszewicz. Bardzo szybko spadła na niego fala krytyki i oskarżenia o „dziaderstwo". Poparcie dla Jaconia wyraził na Twitterze newsroom TVN24. Choć Daukszewicz chciał uderzyć w polityków partii rządzącej, to przypadkowo wyraził to, co wciąż, mimo ideologicznej rewolucji spod znaku gender, wydaje się myśleć duża część przedstawicieli i zwolenników opozycji – płcie są dwie, reszta to odstępstwo od normy, choć niekiedy „spektrum płci" może był poręcznym narzędziem w walce politycznej.

ZASZCZUTY SATYRYK

„Nie ma nic gorszego (bo nic bardziej skutecznego) niż transfobia, homofobia, rasizm czy antysemityzm, które są roześmianym językiem pogardy. Dobrze się bawicie? Popatrzcie na moją twarz. Tak wyglądamy, gdy wy pękacie ze śmiechu" – pisał oburzony Jacoń po wpadce Daukszewicza. „Incydent nie zmienia faktu, że TVN24 jest jedyną stacją w Polsce, która regularnie i mądrze potrafi stawać po stronie osób LGBTQ+. [...] Tym boleśniej widać, ile jest do zrobienia" – podsumował. Daukszewicza odsunięto, na jego miejsce w roli prowadzącego pojawił się komik Mariusz Kałamaga.

Choć przekonywano, że sprawa została załagodzona w rozmowie, to nie jest to czasowe zastępstwo, ale wymiana. Krzysztof Daukszewicz nie wróci, co ogłosił na Facebooku: „Uważam, że po tym, co przeżyłem ja i moja rodzina w ciągu ostatnich tygodni, nic już nie będzie takie samo". Swoją deklaracją tekściarz otworzył swoistą puszkę Pandory, dwa dni później okazało się bowiem, że ze „Szkła...", w geście solidarności, odchodzi Robert Górski. Daukszewicz opublikował wiadomość, którą otrzymał od kabareciarza znanego m.in. z Kabaretu Moralnego Niepokoju i serialu „Ucho Prezesa".

„Tą drogą, w ramach solidarności z Krzysztofem i w ramach niezgody na podobieństwo TVN24 do TVP Info, jako gość »Szkła« bardzo dziękuję za gościnę. Stacja niszczy niewinnego człowieka i dlatego nie chcę tego wspierać swoją obecnością. Dziękuję, Tomku i Wojtku. Będę was miło wspominać, podobnie jak pozostałych, których poznałem dzięki »Szkłu«" – napisał Górski. To nie koniec. Swoje odejście z programu TVN24 ogłosił również Artur Andrus. To szczególnie ciekawe, ponieważ Andrus w 2017 r. rozstał się z radiową Trójką w atmosferze skandalu. Kierownictwo postawiło mu wtedy ultimatum – albo Polskie Radio, albo TVN24. „To jest dla mnie wybór pomiędzy tym, czy ja mogę coś o sobie

eprasa.pl b9f5f2ba9a

decydować czy nie. Dotychczas przez 12 lat moja współpraca z TVN24 jakoś nie przeszkadzała poprzednim zarządom, dało się to godzić" – przekonywał Andrus, informując o decyzji.

W końcu milczenie przerwał Piotr Jacoń. Dziennikarz opublikował swoje stanowisko na Instagramie. „Wróciłem z urlopu. Trwał miesiąc – planowaliśmy go od dawna. Okazało się, że w tym czasie zniszczyłem rodzinę Pana Krzysztofa" – rozpoczyna ironicznie. Ujawnił SMS, który wysłał mu Daukszewicz: „Panie Redaktorze, może już Pan wracać do pracy. Niech się Pan nie boi, mnie w TVN24 już nie ma. Jednego ksenofoba na Pana drodze mniej. Zostali jeszcze Kaczyński i Czarnek. Z nimi będzie ciężej, ale życzę sukcesu. PS Co sprawia przyjemność, kiedy z ofiary człowiek zamienia się w kata? Ciekawi mnie to. Życzę sukcesów i na tym polu". Na koniec Jacoń zaapelował: „Miesiąc temu napisałem: szukajmy sojuszników, a nie wrogów. Podtrzymuję".

W minioną środę pojawiło się jeszcze jedno oświadczenie „wyklętego" satyryka. „Ze »Szkła kontaktowego« odszedłem, ponieważ zaproponowano mi, żebym się w nim pojawiał mniej więcej tak, jak Jerzy Iwaszkiewicz z »Uszanowaniem Państwu«. Powiedziałem, że odchodzę, ponieważ taka obecność w programie mnie nie interesuje. Dzisiaj czuję się tak silny, jak Mołdawia po meczu z Polską, więc po przeczytaniu wszystkich ataków na moją osobę oświadczam, że jeszcze się nie urodził taki pan Jacoń, który by ze mnie zrobił trans i homofoba" – zaznacza Krzysztof Daukszewicz. W jego ocenie cała sytuacja została tak bardzo przekręcona na jego niekorzyść, iż „pojawi się pewnego dnia narracja, że feralnego dnia w »Szkle Kontaktowym« to Jarosław Kaczyński pierd...., głupoty o transpłciowości powoływał się na wypowiedź Krzysztofa Daukszewicza".

SZKLANE DOMINO

Sprawa jest rozwojowa. Chodzi nie tylko o kolejne wypowiedzi stron zaangażowanych w konflikt, lecz także o atmosferę w redakcji TVN24. „Generalnie są dwa obozy. Jeden uważa, że sprawa była od początku za bardzo rozdmuchana i zawieszenie Daukszewicza było bez sensu, bo on w swoim nieudanym żarcie nawiązywał do wypowiedzi Kaczyńskiego, a nie chciał urazić Jaconia. Według drugiego Daukszewicz robi z siebie ofiarę i niepotrzebnie czytał hejt, który dotyka większości osób publicznych. Najgorsze w tym jest to, że panowie nie myślą o kolegach i koleżankach z pracy w tym wzajemnym przerzucaniu się kolejnymi wypowiedziami i następuje efekt kuli śnieżnej, która rośnie w zatrważającym tempie. Przedszkole i żenada" – stwierdza informator plotkarskiego portalu Plotek. Jak czytamy, przynajmniej jeszcze jedna osoba rozważa odejście ze „Szkła kontaktowego". Medioznawca dr Krzysztof Grzegorzewski stwierdził w rozmowie z serwisem, że na medialnym sporze w TVN24 „zyskują przede wszystkim osoby związane z rządzącą władzą". – Sądzę, że to nie Jacoń stoi za całą falą nagonki i hejtu. Jest wiele osób, którym zależy, aby tę ekipę skłócić, żeby uderzyć w TVN24, w Jaconia i w satyryków – a zwłaszcza w Daukszewicza. Daukszewicz wobec każdej władzy był bezkompromisowy, ale PiS przyłożył szczególnie, i to parokrotnie – mówi ekspert.

Z programu nie odchodzi – o czym zapewnił – Tomasz Sianecki, wieloletni prowadzący, który był obecny w studiu podczas feralnej dla Daukszewicza audycji.

Choć Daukszewicz chciał uderzyć w polityków partii rządzącej, to przypadkowo wyraził to, co wciąż, mimo ideologicznej rewolucji spod znaku gender, wydaje się myśleć duża część przedstawicieli i zwolenników opozycji – płcie są dwie, reszta to odstępstwo od normy

Sianecki pytany w styczniu, „w czym tkwi fenomen" programu, mówił tak: „Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Wydaje mi się, że duży wpływ na to miał fakt, że pokazujemy politykę bez zadęcia, patrzymy na nią z przymrużeniem oka". Ocenił, że to też efekt odpowiedniego doboru ekipy. „Udało nam się dobrać takich, a nie innych ludzi. Różne osoby przewinęły się przez studio »Szkła« przez te lata, niektórzy zostawali na stałe, inni byli tylko przez chwilę. Powstał taki skład prowadzących i komentatorów, którzy bardzo dobrze się ze sobą rozumieją" – wskazał. Dziś, gdy zespół sypie się jak kostki domina, tamta analiza wydaje się wręcz komiczna.

ZMIANA KANAŁU

To nie koniec problemów „Szkiełka" (tak program nazywają najwierniejsi fani). Jak wynika z danych Nielsen Media, na które powołuje się branżowy serwis Press, podobny format TVP Info – program „W tyle wizji" – przegania swojego konkurenta z TVN24. W ostatnich miesiącach oglądalność obu programów zaczęła spadać. Jeszcze w styczniu br. „Szkło kontaktowe" miało przewagę nad „W tyle wizji". Program TVN24 śledziło wówczas średnio 636 tys. widzów, a TVP Info – 600 tys. W lutym nastąpiła zmiana: widownia „Szkła..." wynosiła już średnio 603 tys., w marcu 563 tys., a w kwietniu jeszcze mniej – 542 tys. Z kolei konkurencyjny program w TVP Info w lutym i marcu zyskał widzów (odpowiednio 610 tys. i 614 tys.). W kwietniu „W tyle wizji" utrzymało przewagę nad „Szkiełkiem".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b9f5f2ba9a

PiS się zbiera

Piotr Semka

Wchodząc do rządu, Kaczyński przypomniał wszystkim, że to on jest gwarantem równowagi wpływów w partii i rządzie. Teraz PiS może się już skupić na wymyślaniu kampanii, w której ta partia będzie musiała zmagać się z bardzo różnymi przeciwnikami

„Początek końca", „Walka o schedę po naczelniku", „Objęcie nadzoru nad masą upadłościową po rządzącej partii". Tak wejście Jarosława Kaczyńskiego do rządu oraz wyznaczenie Joachima Brudzińskiego na szefa sztabu skomentowali politycy opozycji. Czy jednak uznanie ostatnich wydarzeń za walkę o sukcesję po Kaczyńskim ma sens? Jeśli oba wydarzenia coś znaczą, to raczej przypominają, że – jak to w dziejach największej polskiej prawicy już często bywało – „stary dobry Jarek" wyzerował wpływy w rządzie, przeszedł na ręczne sterowanie i jak zwykle wszystko wziął w swoje dłonie.

OSTATNI MOMENT

Wejście do akcji gromowładnego Zeusa z Nowogrodzkiej nastąpiło po serii niepowodzeń propagandowych PiS. Najpierw rozpoczęto mało czytelny dla przeciętnego wyborcy szał pt. „Komisja do spraw zbadania rosyjskich wpływów", potem ustawę tę maksymalnie rozwodniono, by wreszcie stworzyć wrażenie, że rządząca partia nie wie, co dalej z tym pasztetem robić. Parę razy już pisaliśmy na łamach „Do Rzeczy", że cały ten polityczny gambit mógł mieć na celu wzmocnienie Donalda Tuska kosztem jego rywali: Szymona Hołowni i Władysława Kosiniaka-Kamysza. Jest bardzo prawdopodobne, że mogło tak być. Jednak zawsze wtedy, gdy PiS prowadzi jakąś makiawelistyczną rozgrywkę, porusza się po grząskim gruncie. Znacznie silniejszy jest, gdy odwołuje się do głęboko ugruntowanych przekonań zwykłych Polaków.

Niebagatelne też są dla Polski niedobre skutki kolejnego alarmu ogłoszonego przez opozycję pod hasłem: „Polska wchodzi na drogę putinizacji politycznej".

eprasa.pl b9f5f2ba9a

FOT. MARCIN OBARA/PAP

Oczywiście większość tych opinii jest odbiciem głosów eurodeputowanych PO czy publicystów „Gazety Wyborczej", ale tworzą one szum informacyjny, który nie polepsza sytuacji rządu Mateusza Morawieckiego na Zachodzie.

Kolejnym problemem, już związanym z postacią Tomasza Poręby, nominalnego szefa kampanii PiS, był brak reakcji na spory marsz Platformy w Warszawie 4 czerwca. Poręba przekroczył cienką czerwoną linię już nieco wcześniej, wypuszczając kiepski klip, w którym próbowano połączyć istotnie mogący kojarzyć się jak najgorzej tweet Tomasza Lisa na temat „komór" z wizerunkiem bramy śmierci w Auschwitz-Birkenau. To, że Poręba nie rozumiał, iż sięganie po wizerunek niemieckiego obozu zagłady do stosunkowo błahej politycznej potyczki wywoła krytykę, było już rzeczą zdumiewającą. A gwoździem do trumny kariery Poręby jako szefa sztabu było wdanie się na Twitterze w słowne utarczki z krytykującymi jego styl kampanii Adamem Bielanem i Marcinem Mastalerkiem utożsamianym z Pałacem Prezydenckim.

Wszystko to zaczęło tworzyć wrażenie zadyszki PiS, tym bardziej że Poręba ogłosił swoją dymisję z funkcji szefa sztabu na Twitterze w piątek wieczorem, a Rafał Bochenek poinformował, że zastąpi go Joachim Brudziński dopiero w poniedziałek 19 czerwca. Takich błędów w polityce informacyjnej się nie robi. Jeden z polityków PiS komentuje tę zmianę: „W aktualnej sytuacji PiS szefem kampanii musi być ktoś z bardzo silnym autorytetem, a jednocześnie umiejący łączyć w sztabie różne frakcje Zjednoczonej Prawicy. A Kaczyński sięga po Brudzińskiego jako swoją żelazną miotłę. Z informacji, które dochodzą z Nowogrodzkiej, wynika, że Brudziński trzyma się parytetów i w jego sztabie są np. Patryk Jaki od Ziobry, przedstawiciele Morawieckiego, czyli rzecznik Piotr Müller oraz Tomasz Matynia, dyrektor Centrum Informacyjnego rządu, a także Adam Bielan oraz przedstawiciele Kancelarii Prezydenta".

Tak czy inaczej przeciwnicy Poręby wskazują, że oprócz konwencji „Programowy Ul" niewiele udało się uzyskać. Czy teraz będzie lepiej? Zobaczymy. Wejście Kaczyńskiego do rządu i podanie się do dymisji przez wszystkich czterech wicepremierów było też lekcją pokory dla Mariusza Błaszczaka czy np. Jacka Sasina. Kaczyński przypomniał wszystkim, że to on jest gwarantem równowagi wpływów w partii i rządzie. Teraz PiS może się już skupić na wymyślaniu kampanii, w której ta partia będzie musiała zmagać się z bardzo różnymi przeciwnikami.

NIC NIE JEST DROBIAZGIEM

W tej kampanii każde wydarzenie zamienia się w element rywalizacji na linii Tusk – Kaczyński. Czy to gwizdy wobec Jacka Sasina na igrzyskach europejskich w Krakowie, czy to próby wskrzeszenia emocji strajku kobiet z powodu tragedii kobiety w ciąży z jednego z polskich szpitali, czy to wreszcie akcja radnego Koalicji Obywatelskiej w Świnoujściu na rzecz nazwania nowego tunelu pod Świną imieniem Unii Europejskiej. Obie strony analizują, jaki jeszcze elektorat można zmobilizować na swoją rzecz.

Właśnie z tego powodu Platforma postanowiła oskarżyć PiS o spowodowanie śmierci w Nowym Targu 33-letniej ciężarnej pani Doroty. Na razie te próby wskrzeszenia klimatu masowych demonstracji sprzed prawie dwóch lat niespecjalnie się Platformie udały. Jednak wiece Tuska wyciągnięte na świeże powietrze są stosunkowo duże i pozwalają Platformie mieć poczucie, że złapano wiatr w żagle. Tyle że sondaże nie drgnęły, wbrew buńczucznym zapowiedziom, że „tej siły już nic nie powstrzyma".

Nie brakuje natomiast zapału Donaldowi Tuskowi do coraz ostrzejszego obrażania politycznych przeciwników. Politycy PiS opowiadają, że od paru tygodni zaczęło się nowe zjawisko. Podchodzenie do nich fanatycznych zwolenników PO i głośne obrażanie. PiS-owcy są w ciężkiej sytuacji, bo wiedzą, że jakiekolwiek wdanie się w pyskówkę niechętne media przedstawią jako arogancję członków elity władzy.

Wejście Kaczyńskiego do rządu raz jeszcze przypomniało, że to tylko autorytet Jarosława Kaczyńskiego potrafi wyrwać partię z bierności czy powstrzymać zbytnie ambicje poszczególnych ministrów. A prezes ma już coraz mniej siły. Dobrze było to widać w trakcie uroczystości wręczenia nominacji wicepremierowskiej, podczas której prezes Kaczyński wyraźnie musiał włożyć wiele wysiłku, by ustać, gdy prezydent Andrzej Duda wygłaszał swoje wyjątkowo długie przemówienie.

Uspokajające wieści dobiegają z obozu Suwerennej Polski Zbigniewa Ziobry. Wynika z nich, że rozmowy na temat miejsc dla ziobrystów na listach Zjednoczonej Prawicy ruszyły z miejsca i – jak ostrożnie komentują politycy SP – Jarosław Kaczyński wydaje się pójść na kompromis ze swoimi niesfornymi koalicjantami. „Główne problemy sobie już wyjaśniliśmy i można powiedzieć, że jesteśmy po słowie" – mówi jeden z liderów Suwerennej Polski.

eprasa.pl b9f5f2ba9a

Decyzja o przeniesieniu planowanej jeszcze za szefostwa nad sztabem Tomasza Poręby konwencji PiS z Łodzi do Bogatyni, położonej blisko kopalni Turów, pokazuje, że nowa faza kampanii ma być jak najbliższa realnych problemów zwykłych ludzi. Trafnym pomysłem jest też idea referendum w sprawie przyjęcia narzucanego Polsce paktu solidarności imigracyjnej. Opozycja zirytowana tym pomysłem oskarża PiS o cyniczne granie sprawą uchodźców na potrzeby kampanii politycznej. Jednak – jak trafnie odbijają tę piłeczkę politycy PiS – to Komisja Europejska, przeforsowując nowy pakt, wprowadziła problem imigrantów do porządku dziennego.

Ten temat to przykład sytuacji, gdy PiS stoi na stosunkowo mocnym gruncie. Wysłane z Komisji przecieki, że Polska mogłaby starać się o specjalne zwolnienie z opłat, to typowe koło ratunkowe rzucone Platformie w niełatwej dla niej sytuacji. Duża część Polaków doskonale rozumie, że każda łaska czy ustępstwo ze strony Komisji Europejskiej mogą być w każdej chwili cofnięte. Tak czy inaczej sprawa imigracji będzie ważnym tematem tych wyborów i Platforma nie ma na to dobrej recepty.

ZANIKAJĄCA TRZECIA DROGA

Oprócz niezwykle żywotnego i agresywnego Tuska PiS w największym stopniu niepokoi okrążanie tej partii z prawej strony przez Konfederację. „Jeśli jakaś partia jest niedoszacowana w sondażach, to na pewno jest to ugrupowanie Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka" – mówi jeden z polityków PiS. „Najbardziej boimy się, że jakaś część młodzieży zagłosuje na Konfederatów, ot choćby dla »beki«".

Chociaż obawy PiS-owców przed konfederackim rywalem nieco osłabły, kiedy w jednej z debat radiowych Ryszard Petru dał Mentzenowi niezłe wciry. Okazało się, że czymś innym jest puszczać swoje filmiki na TikToku, które przy kręceniu można powtarzać aż do uzyskania dobrego efektu, a czym innym jest starcie z przeciwnikiem oko w oko w radiowym studiu. Jednak Konfederacja szykuje na sobotę 24 czerwca swoją konwencję, która podobno ma być niezwykle efektowna [to wydanie „Do Rzeczy" oddawaliśmy do druku przed weekendem – przyp. red].

Znacznie mniej PiS musi obawiać się duetu Hołownia – Kosiniak-Kamysz. Koalicja trzeciej drogi gaśnie w oczach. Jej przykład pokazuje, że współczesne ugrupowanie polityczne, które nie ma swojego zaplecza medialnego, jest w warunkach ostrej wymiany ciosów zupełnie bezradne. Tak było, gdy Hołownia zaproponował debatę na temat przyszłości edukacji z udziałem przedstawiciela PiS. Większość mediów liberalnych podjęła narrację, że Polska 2050 to piąta kolumna Kaczyńskiego, i Hołownia nie miał prawie możliwości wyjaśnienia swojego stanowiska zwykłemu wyborcy.

Obawy PiS-owców przed konfederackim rywalem nieco osłabły, kiedy w jednej z debat radiowych Ryszard Petru dał Mentzenowi niezłe wciry

Hołownia unika już deklarowania, że występuje przeciwko całej klasie politycznej. Trafne są słowa Rafała Kalukina w „Polityce": „Postępujący minimalizm [haseł Hołowni – przyp. P.S.] [...] daje się zauważyć. Hołownia coraz rzadziej próbuje się legitymizować obietnicą wielkiej pokoleniowej zmiany. Coraz częściej za to uzasadnia swoją rację bytu na scenie wyborczej pragmatyzmem. Tylko czy tak zdobędzie wyborców, którzy raczej nie pofatygują się do urn wyborczych, aby wsadzić na fotel premiera Donalda Tuska?".

Nie najlepsze nastroje panują też po lewej stronie sceny politycznej. Jakub Majmurek, publicysta „Krytyki Politycznej", trafia w sedno, zadając pytanie: „Czy Lewica jest nudna?". Istotnie lewica nie budzi prawie żadnych emocji. Część jej haseł ukradł Donald Tusk, a reszta, jak np. rozmaite postulaty feministek, jest dla dużej części Polaków wciąż egzotyczna. Tak było z posłanką Lewicy, Małgorzatą Prokop-Paczkowską, która w trakcie telewizyjnej dyskusji nie bardzo rozumiała, dlaczego atak na dzieci dokonany przez uzbrojonego w nóż migranta w Annecy we Francji wzbudza tyle emocji. Jest jeszcze Zandberg. Niby fajny, a tak naprawdę nudny. Jak pisze Jakub Majmurek: „Lewica potrzebuje czegoś, czym w kampanii zaskoczy wyborców. Komunikacyjnego posunięcia, które wywoła komentarze. Czegoś, co przez samą swoją formę wzbudzi zainteresowanie ludzi, do których dziś Lewica nie dociera".

Wyborcy Lewicy widzą, jak lekceważąco Tusk traktuje partię Czarzastego i Biedronia. Jak donoszą media, kaperownicy z Platformy starają się przeciągnąć do swojego obozu troje popularnych lokalnie polityków i polityczek Lewicy, czyli Katarzynę Kotulę, Monikę Falej i Tomasza Trelę. Ta wilcza metoda podbierania konkurencji popularnych polityków w zamian za pewne miejsce biorące na razie nie jest przez Włodzimierza Czarzastego publicznie komentowana. Jednak na pewno zabija wiele zapału do głoszenia hasła paktu na rzecz wspólnego rządzenia.

NIC PEWNEGO

W samym obozie PiS ścierają się dwie tendencje. Pierwsza mówi, że rządzące ugrupowanie powinno ignorować coraz bardziej agresywne zaczepki Tuska. Polemizują z nimi inni politycy PiS, którzy wskazują, że na pewne zaczepki nie można nie reagować. Pytanie tylko, jak to robić i z jakim marginesem zręczności. Wszystko to wymaga niesłychanego wyczucia, jak wymierzyć siłę ciosu, jak ubrać to w elegancką formę.

Najlepiej działający sztab to połączenie młodych, którzy sypią świeżymi pomysłami, i starszych polityków, którzy mają doświadczenie i wiedzą, co może zagrać w kampanii, a co może oburzyć większość niezdecydowanych, i mądrze kontrują twórczość młodych. Tymczasem w sztabie PiS nie widać zbyt wielu młodych, którzy potrafią wcielić się w sposób myślenia ludzi urodzonych w obecnym stuleciu. Robiący za młodych Michał Moskal, szef młodzieżówki PiS, czy rzecznik Rafał Bochenek bardziej kojarzą się z partyjnymi aparatczykami niż święcącymi swoje dni triumfu w kampanii 2005 r. młodszym o 22 lata Adamem Bielanem i Misiem Kamińskim. Jedyna pociecha dla PiS-owców to to, że w realnym otoczeniu kampanijnym Tuska też nie widać zbyt wielu młodych ludzi poniżej trzydziestki. Cokolwiek zestarzała nam się ta nasza polska polityka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b9f5f2ba9a

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

NA TROPIE WOŁYŃSKICH DOŁÓW ŚMIERCI

Odnaleźć i pochować ofiary banderowców

Zagłada Ostrówek i Woli Ostrowieckiej – szokujące kulisy jednej z największych zbrodni UPA

Ścięcie Samuela Zborowskiego – zemsta Jana Zamoyskiego na znienawidzonym rodzie?

Starcie tytanów na łuku kurskim – po tej klęsce Niemcy już tylko ustępowali Sowietom

Towarzyszka „Ola" z dynamitem – była kierowniczką składu amunicji bojówki PPS, przewoziła broń i kochała się w Józefie Piłsudskim

Epopeja Haralda Srogiego – jego usiana trupami droga do tronu Norwegii liczyła tysiące kilometrów

Rywalizacja o półprzewodniki – przewaga uzyskana na starcie wyścigu nie została przez Amerykanów oddana do tej pory

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl b9f5f2ba9a

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

Kukiz'23: Epitafium dla antysystemowca

Jan Fiedorczuk

„Kto walczy z demonami, winien uważać, by samemu nie stać się jednym z nich" – słynna sentencja Friedricha Nietzschego wydaje się doskonałym epitafium dla politycznej kariery Pawła Kukiza. Buntownik, który tak zażarcie walczył z „systemem III RP", ostatecznie stał się tegoż systemu podporą. Historia rockmana polityka powoli się domyka, a projekt Kukiz'15 po ośmiu latach można uznać za zakończony

Mimo że w historii III RP nie brakowało charyzmatycznych buntowników, to jednak nikt dotychczas nie wypadł w roli antysystemowca tak autentycznie jak Paweł Kukiz. Postulat sanacji polityki, rezygnacja z subwencji, odmowa założenia partii – to wszystko były nośne hasła, które uwiarygadniały antyestablishmentowy przekaz rockmana. W samej jego postaci było też coś porywającego, co odróżniało go od dotychczasowych liderów partii protestu.

Jak jednak doszło do tego, że w ciągu kilku lat z trybuna ludowego i symbolu obywatelskiego buntu Kukiz przeistoczył się w jednego z bardziej znienawidzonych polityków na polskiej scenie? Jak z antysystemowca stał się koalicjantem PSL, a następnie Prawa i Sprawiedliwości? Jak to się stało, że pogromca partyjniactwa sam założył partię, a jego fundacja przyjęła od rządu kilka milionów złotych?

Upadek Pawła Kukiza jest dlatego tak spektakularny i malowniczy, gdyż w przeciwieństwie do cyników, którzy gromadzili w przeszłości elektorat buntu (Petru, Palikot, Biedroń), on autentycznie wierzył w głoszone przez siebie hasła. Aby zrozumieć fenomen tej wizerunkowej katastrofy, trzeba się cofnąć do politycznych narodzin Kukiza buntownika.

NARODZINY BUNTOWNIKA

– Przysięgam, że nigdy was nie zdradzę. Przysięgam, że nikt nigdy nie jest w stanie mnie kupić. Nie ma takiej opcji – krzyczał ze sceny Paweł Kukiz chwilę po ogłoszeniu wyników pierwszej tury wyborów prezydenckich w 2015 r. – Wygramy jesienią, zmienimy konstytucję i przywrócimy Polskę obywatelom – kontynuował w emocjonalnym wystąpieniu.

Ten wieczór i będące jego następstwami kolejne tygodnie to ewidentny szczyt kariery politycznej Kukiza. W prezydenckim wyścigu zdobył 20 proc. poparcia, a przed drugą turą los prezydentury był de facto w jego rękach. Bronisław Komorowski, by się przypodobać piosenkarzowi, naprędce zorganizował nawet referendum, w którym pytano m.in. o sztandarowy postulat Kukiza, czyli jednomandatową ordynację wyborczą. I mimo że do wyborów parlamentarnych, które miały miejsce kilka miesięcy później, dowiózł poparcie na poziomie zaled-

eprasa.pl b9f5f2ba9a

wie 8 proc., to i tak był to pokaźny kapitał społeczny, który pozwolił mu sformować trzeci co do wielkości klub parlamentarny.

W 2015 r. „systemem", z którym walczył Kukiz, było środowisko Platformy Obywatelskiej czy też – szerzej – układ partyjno-biznesowy, który opanował politykę i gospodarkę po przemianach ustrojowych, a którego polityczną ekspozyturą stała się PO. PiS nawet jeżeli w tym systemie partycypował, to zawsze z boku, traktowany nieco jak brzydkie kaczątko III RP, dlatego też hasła antysystemowe wycelowane głównie w PO dla samego PiS były w gruncie rzeczy neutralne albo wręcz korzystne.

Do narodzin Kukiza buntownika doszło jednak na długo przed pamiętnymi wyborami prezydenckimi. Początek tej historii jest związany z postacią prof. Jerzego Przystawy – fizyka i wykładowcy na Uniwersytecie Wrocławskim, który większy rozgłos zdobył jako inicjator Ruchu Obywatelskiego na rzecz jednomandatowych okręgów wyborczych. To on miał Kukiza przekonać do idei JOW-ów, które odpartyjnią polską politykę i zwrócą obywatelom ich prawa.

Niemal dekadę temu w „Do Rzeczy" Kukiz pisał o tej sprawie w następujący sposób: „Gdyby nie Profesor, dziś z pewnością byłbym kimś zupełnie innym. Pewnie uległbym, jak miliony z nas, propagandzie pomagdalenkowych partyjno-urzędniczych klanów, że żyjemy w systemie idealnym, demokratycznym, że wszystko jest w zasięgu naszej woli, że jest dobrze i będzie jeszcze lepiej!". Następnie zaś, w tym samym tekście, deklarował: „Obiecuję, że nie spoczniemy dopóty, dopóki nie wystawimy Tobie pomnika, którym będzie zmiana ordynacji wyborczej, Profesorze. Tak nam dopomóż Bóg".

Przełomowy okazał się rok 2005, gdy Platforma Obywatelska zebrała ponad 750 tys. podpisów pod projektem wprowadzenia JOW-ów. Po dojściu do władzy ekipa Tuska jednak zapomniała o własnym postulacie, a karty z podpisami zmielono. Stąd narodził się nieco już zapomniany ruch Zmieleni.pl, który współpracował z prof. Przystawą na rzecz zmiany ordynacji. Tutaj też zaczyna się antytuskowy resentyment Kukiza.
– Ja już nigdy nie uwierzę Tuskowi. Nigdy. Nie ma takiej możliwości – deklarował przed laty w rozmowie z Onetem. PiS nigdy nie obiecywał wprowadzenia JOW-ów, a Platforma – owszem. Dlatego Kukiz popierał niegdyś partię Tuska i czuł się przez PO wykorzystany i porzucony. Tym samym zamknął sobie drogę do PO, która znalazła się dla niego po tej samej stronie co postkomuniści.

Im bliżej było do wyborów parlamentarnych w 2019 r., tym wyraźniej było widać, że Kukiz nie przekroczy progu wyborczego. Wówczas powstała zapewne najbardziej paradoksalna koalicja w dziejach III RP – sojusz antysystemowca z PSL

Wróćmy do 2015 r. Kim wówczas był Kukiz? Nie był konserwatystą z prawicy, nie był rewolucjonistą z lewicy. Z rozbrajającą szczerością przyznawał, że nie ma programu wyborczego (gdyż służą one jedynie do oszukiwania wyborców), a wyborcy de facto nie wiedzieli, jakie ma poglądy na politykę zagraniczną czy społeczną. Kukiz był trybunem ludowym, buntownikiem, romantycznym szaleńcem i niepokornym idealistą. Kimś, kto zbierał głosy oburzonych stanem polskiej polityki i wykraczał poza bratobójczą wojnę PiS-PO (nikogo przecież nie interesowała zmiana ordynacji wyborczej). Było w tym jednak też coś więcej. Kukiz sytuował się w opozycji do całego politycznego mainstreamu. Kwestionował ćwierćwiecze polskich zmian systemowych.

POSPOLITE RUSZENIE

Również pierwsze lata sejmowej działalności ruchu Kukiz'15 nie zwiastowały katastrofy, która miała nadejść. Jeszcze w 2017 r. ugrupowanie było trzecią siłą w parlamencie i cieszyło się stabilnym poparciem na poziomie 10 proc., w niektórych sondażach przeganiając nawet przeżywającą wówczas kryzys Platformę Obywatelską.

Wchodząc do Sejmu, Kukiz przyjął nietypową dla polskiej polityki praktykę i (tak jak obiecał swoim wyborcom) nie założył partii politycznej oraz odmówił wzięcia subwencji partyjnej, czego później miał bardzo żałować. Ruch Kukiz'15 pozostał luźną formacją, którą spajały niechęć do mainstreamu III RP oraz postać charyzmatycznego lidera. W jej ramach szybko zaczęły formować się ideowe „odnogi". Kukiz wprowadził do Sejmu przedziwną mieszankę samorządowców, aktywistów, narodowców i korwinistów, którzy zaczęli organizować się we frakcje. Jeszcze w 2015 r. powstało Stowarzyszenie na rzecz Nowej Konstytucji, niedługo później powołane zostało Stowarzyszenie Rolników i Konsumentów oraz stowarzyszenie Endecja. Oprócz tego funkcjonowały grupa „woJOWników", skupiająca się na zmianie ordynacji wyborczej, czy Stowarzyszenie Republikanie. Te wszystkie organizacje i formacje funkcjonowały niejako równolegle względem siebie. Wszystko to bardziej przypominało pospolite ruszenie niż przemyślaną strategię.

W praktyce ta formuła okazała się nie do utrzymania. Wkrótce z klubu zaczęli uciekać kolejni posłowie (szukając ratunku głównie w Prawie i Sprawiedliwości), a z działalności poszczególnych „odnóg" niewiele wynikało. Krytyczny okazał się dopiero rok 2018, gdy sondaże ugrupowania zaczęły znacząco spadać. O ile wybory samorządowe jeszcze nie były kompletną klęską (w wyborach do sejmików województw Kukiz'15 uzyskał 5,6 proc.), o tyle niecałe 3,7 proc. w wyborach do europarlamentu było alarmującym symptomem spadającego zainteresowania ruchem.

Zarządzanie mozaiką kilkudziesięciu posłów okazało się nie lada wyzwaniem organizacyjnym, z którym Kukiz sobie coraz gorzej radził. Jedną z głośniejszych afer był incydent z Markiem Jakubiakiem i Jackiem Wilkiem na Twitterze. Jakubiak (który był wówczas nadal posłem Kukiz'15) wyrażał żal z powodu odejścia z ruchu Adama Andruszkiewicza i Jakuba Kuleszy, a z kolei Wilk rozprawiał o możliwości współpracy z Jakubiakiem. Kukiz zamieścił wówczas na Twitterze serię wulgarnych wpisów, w których obrażał wszystkich swoich byłych współpracowników. „I taki bacik po pupci... Widzę to! Wilk w ekstazie (w pończochach), łajany przez Jakubiaka w kadzi, a obok

eprasa.pl b9f5f2ba9a

masturbujący się Korwin przy odbycie Kornela. Kto będzie najładniejszy – dostaje wodociągi w Radomiu" – to najsłynniejszy komentarz z nocnej serii wpisów. Jak następnie sam Kukiz przyznał, przerosły go problemy w jego klubie. „Nie jestem cynikiem, by to wszystko po prostu po mnie spłynęło, więc sam popłynąłem..." – napisał na Facebooku.

Sposób, w jaki Kukiz zarządzał klubem, dość dobrze oddaje sytuacja, która miała miejsce tuż przed wyborami samorządowymi, gdy na jednym ze spotkań wyborczych lider formacji publicznie odciął się od Marka Jakubiaka – kandydata ruchu na prezydenta Warszawy. – Moja sympatia nie jest mocno nakierowana na naszego kandydata, mam również inne osoby, którym mocno kibicuję dla dobra Warszawy – mówił do wyborców Kukiz'15.

PAKT Z SYSTEMEM

Kukiz od początku swojej kariery chciał pozostać autentyczny – dlatego nie założył partii, nie brał subwencji i odmawiał instytucjonalizacji swojego ruchu. To idealistyczne podejście nie przystaje jednak do brutalnego świata polityki. Krzysztof Mazur z Klubu Jagiellońskiego zauważył, że głosząc hasła demokratyzacji życia publicznego, ale jednocześnie odmawiając upartyjnienia swojego ruchu, Kukiz paradoksalnie stworzył strukturę quasi-wodzowską, gdzie wszystkie decyzje spoczywały na nim samym. Dla doświadczonego gracza udźwignięcie takiej sytuacji byłoby nie lada wyzwaniem, ale dla nowicjusza obdarowanego rockowym temperamentem sytuacja była nieporównanie trudniejsza i musiała w dłuższej perspektywie zaowocować nawarstwiającymi się problemami, secesjami i skandalami.

Im bliżej było do wyborów parlamentarnych w 2019 r., tym wyraźniej było widać, że Kukiz nie przekroczy progu wyborczego. Wówczas powstała zapewne najbardziej paradoksalna koalicja w dziejach III RP – sojusz antysystemowca z PSL. Sojusz opłacalny, gdyż umożliwił obu formacjom przekroczenie progu wyborczego, ale jednocześnie oznaczał wejście w konszachty z kwintesencją systemu III RP. Sam Kukiz w poprzednich latach określał PSL mianem „mafii" oraz „zorganizowanej grupy przestępczej", co mu zaczęto bezlitośnie wypominać.

Problemem jest jednak nie tylko egzotyczna koalicja. W drugiej połowie kadencji zaczęło się coś zmieniać w samym ruchu. Kukiz nie tylko wszedł w pakt z systemem, lecz także zaczął zupełnie inaczej postrzegać własną formację. Ideowe „odnogi" były już jedynie dawnym wspomnieniem niewinnych początków. Endecja uległa zupełnemu rozkładowi, Stowarzyszenie Republikanie weszło de facto w skład Zjednoczonej Prawicy, a o skrzydłach narodowym i korwinistycznym nie pozostało nawet śladu, gdyż oba po opuszczeniu Kukiz'15 porozumiały się, tworząc Konfederację (w skład której weszli też inni byli posłowie ruchu: Piotr Liroy-Marzec oraz Marek Jakubiak). Finałem tej ścieżki było powołanie partii K'15 w 2020 r., przed czym Kukiz bronił się rękami i nogami od lat.

Od tej pory Kukiz już wyraźnie grawitował w stronę Zjednoczonej Prawicy, co zostało uwieńczone oficjalnym porozumieniem obu partii w połowie 2021 r. – Kaczyński obiecał wprowadzić wiele postulatów Kukiza, a ten miał z kolei wesprzeć obóz władzy po tym, jak większość sejmowa zaczęła się chwiać na skutek wewnętrznych turbulencji w rządzie. – My poprzemy szereg ustaw ważnych dla programu Kukiz'15 [...], a nasi koledzy będą wspierać Polski Ład i będą wspierać to wszystko, co jest potrzebne, żeby ten układ polityczny, który jest dziś w polskim parlamencie, trwał – mówił Jarosław Kaczyński. Sam Kukiz natomiast nie krył zadowolenia, deklarując, że oto po raz pierwszy pojawiła się realna szansa na wprowadzenie „zmian ustrojowych, które naprowadzą Polskę na drogę państwa w pełni demokratycznego".

Owocem tej współpracy była nowelizacja ustawy medialnej (tzw. lex TVN). Projekt, który zakładał doprecyzowanie przepisów dotyczących przyznawania koncesji radiowo-telewizyjnej stacjom należącym do kapitału zagranicznego, wywołał prawdziwą furię w szeregach opozycji i mediów liberalnych. Największy hejt jednak spadł wówczas nie na Kaczyńskiego i jego akolitów, tylko właśnie na Kukiza, który poparł ustawę. Radosław Sikorski stwierdził wówczas, że Kukiz jest „albo kompletnym durniem, który nie rozumie, co się dzieje, albo sprzedajną szmatą". Podobnych wypowiedzi było mnóstwo. Radni KO domagali się, by tzw. wolne media przestały zapraszać Kukiza, a sama Platforma wypuściła spot, na którym „przypadkowi" przechodnie obrażali Kukiza za głosowanie z rządem. „Robienie w ch. ja", „skurw…ństwo", „sprzedajna ku.wa" – można było usłyszeć w oficjalnym spocie PO. Jeżeli do tego momentu Kukiz się jeszcze wahał, czy dobrze robi, idąc z PiS, to teraz już właściwie nie miał wyjścia – sama PO zmusiła go do wspierania Kaczyńskiego.

W niedawnej rozmowie z Interią Kukiz stwierdził, że „Donald Tusk oddałby Polskę za czapkę śliwek, a Jarosław Kaczyński oddałby za Polskę życie". Ta wypowiedź wydaje się najlepszym podsumowaniem miejsca na politycznej scenie, na której obecnie znalazł się Kukiz. Ogłoszenie decyzji o wspólnym starcie w wyborach parlamentarnych 2023 było już czystą formalnością.

Kilka tygodni temu gruchnęła z kolei wieść, że fundacja Kukiza Potrafisz Polsko! otrzymała od rządu ponad 4 mln zł dotacji. Stowarzyszenie za te pieniądze powołało Instytut Demokracji Bezpośredniej, którego zadaniem jest popularyzowanie idei referendów oraz edukacja obywateli, a sam Kukiz zarzeka się, że zwróci do budżetu państwa wszystkie niewykorzystane środki. Sama sytuacja pokazuje jednak, jak długą drogę przeszedł naczelny antysystemowiec III RP, który niegdyś odmawiał pobierania partyjnych subwencji, a PiS nazywał bandą bolszewików.

KUKIZ'23: ŁABĘDZI ŚPIEW BUNTOWNIKA

W oficjalnych wystąpieniach Kukiz broni nagłego zwrotu w stronę PiS. Kilka miesięcy temu rockman przekonywał, że Kaczyński to jedyny polityk, który „zrealizował prawie wszystkie zobowiązania względem mnie". W rozmowie z Radiem Zet Kukiz stwierdził wprost, że „oprócz sędziów pokoju, zmiany ordynacji wyborczej i referendów" większość jego postulatów z 2015 r. została już wdrożona w życie. Prawda wygląda jednak nieco inaczej. Krótki przegląd zapowiedzi sprzed ośmiu lat pozwala wskazać wiele niezrealizowanych postulatów: likwidacja partyjnych subwencji, zmiana konstytucji, wprowadzenia konstytucyjnego wymogu zbilansowanego budżetu,

eprasa.pl b9f5f2ba9a

Bez względu na to, czy muzyk wejdzie kolejny raz do Sejmu, projekt Kukiz'15 można uznać za zakończony. Ścieżka rockmana to jedna z najbardziej kuriozalnych, a także przygnębiających historii polskiej polityki

wiele obietnic dotyczących „zasadniczej zmiany systemu podatkowego", a także zmiana struktury policji, wprowadzenie wyboru komendantów powiatowych policji przez obywateli w głosowaniu, wypowiedzenie unijnego pakietu klimatycznego, uproszczenie prawa, ograniczenie biurokracji... Dokument pt. „Strategia zmiany" nadal jest dostępny na stronie ugrupowania. Wisienką na torcie są dwa sztandarowe postulaty Kukiza – sędziowie pokoju oraz przede wszystkim jednomandatowe okręgi wyborcze. Realizacja pierwszego postulatu ze względu na opór Suwerennej Polski jest mocno wątpliwa, realizacja drugiego (ze względu na opór niemal całej klasy politycznej, której partykularne interesy znacząco by ucierpiały po wprowadzeniu JOW-ów) jest praktycznie niemożliwa.

Nieliczne postulaty, które udało mu się wprowadzić w życie, świadczą prędzej o desperackiej próbie wmówienia samemu sobie, że decyzja o wejściu do wielkiej polityce w 2015 r. nie była błędna, niż o sukcesie politycznym. Kukiz przekreślił karierę rockmana i odciął się od niemal całego światka muzyczno-medialnego, ściągając jednocześnie na siebie niechęć olbrzymiej części społeczeństwa. Rozpaczliwe trzymanie się Kaczyńskiego i dalsze brnięcie w parlamentarny układ to raczej desperackie próby racjonalizacji obecnej sytuacji – udowodnienia samemu sobie, że nie zmarnował ostatnich ośmiu lat.

Bez względu na to, czy muzyk wejdzie kolejny raz do Sejmu, projekt Kukiz'15 można uznać za zakończony. Ścieżka rockmana to jedna z najbardziej kuriozalnych, a także przygnębiających historii polskiej polityki. To droga od buntownika i idealisty, który autentycznie wierzył w głoszone hasła, do koalicjanta PSL i PiS, a zatem partii, która rządziła przed 2015 r., i partii, która rządzi po 2015 r. – dwóch skrzydeł systemu III RP. Kukiz wszedł na ścieżkę bez powrotu i dla obietnicy realizacji swoich postulatów został zmuszony do akceptacji coraz bardziej bezpardonowego zawłaszczania państwa przez obóz władzy.

„Ten, który z demonami walczy, winien uważać, by samemu nie stać się jednym z nich. Kiedy spoglądasz w otchłań, ona również patrzy na ciebie" – słynny cytat z Nietzschego jest idealnym podsumowaniem drogi Kukiza, który tak zażarcie walczył z partyjniactwem, że aż sam się w końcu stał jego podporą. Wiedziony, zapewne, jak najlepszymi intencjami dał się pochłonąć systemowi – walcząc z demonami III RP, stał się jednym z nich.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

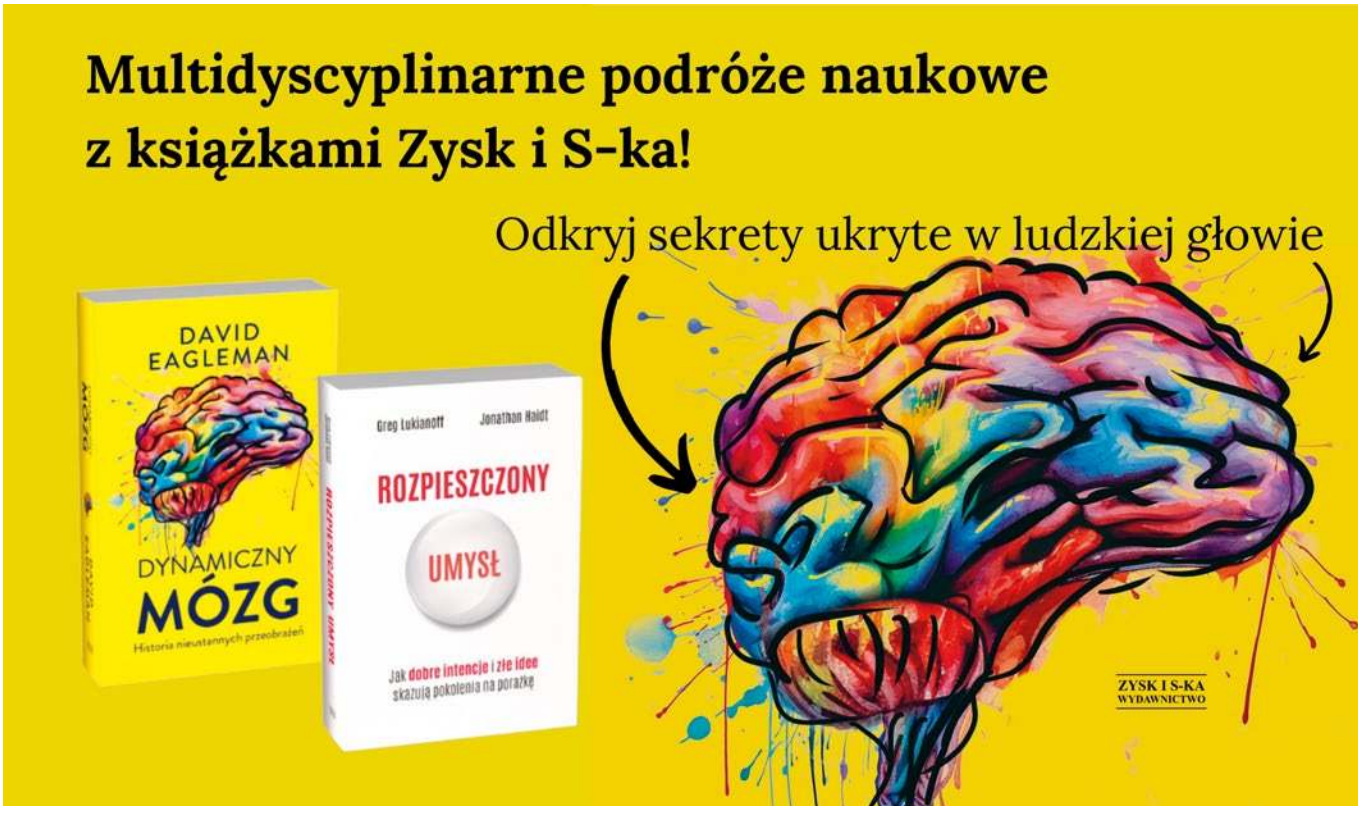

eprasa.pl b9f5f2ba9a

Ze Sławomirem Mentzenem, prezesem partii Nowa Nadzieja, jednym z liderów Konfederacji
rozmawia Ryszard Gromadzki

Wszystkich

FOT. PIOTR NOWAK/PAP

RYSZARD GROMADZKI: Czy w sprawie unijnego projektu relokacji migrantów Polacy powinni wypowiedzieć się w ogólnonarodowym referendum?

SŁAWOMIR MENTZEN: Uważam, że nie ma większego sensu robić referendum w sprawie, w której zgadzają się wszyscy Polacy. Nikt w Polsce nie chce się godzić na przymusową relokację nielegalnych imigrantów. Cała klasa polityczna mówi w tej sprawie jednym głosem. Są ważne tematy, w których Polacy powinni mieć możliwość wypowiedzenia się. Takie jak zakaz sprzedaży samochodów z silnikami spalinowymi czy pakiet „Fit for 55", ale takiej szansy nie mają. To znacznie ważniejsze sprawy niż kwestia przyjęcia 2 tys. nielegalnych imigrantów czy zapłacenia za ich nieprzyjęcie kary w wysokości 40 mln euro. W sprawach, o których wspomniałem, mówimy o wydatkach idących w setki miliardów złotych.

Konfederacja będzie w nowym Sejmie optowała za referendami w sprawach, które pan wskazał?

Tak. Chociaż w Polsce bardzo trudno jest przeprowadzić wiążące referendum. Jak powiedziałem, to znacznie ważniejsze niż przyjęcie tych 2 tys. nielegalnych imigrantów, na które oczywiście nie można się zgodzić.

Zostańmy przy ważnych sprawach dla państwa. Gdyby miał pan wskazać pięć priorytetów, które pana zdaniem trzeba załatwić w Polsce od ręki, na co by pan postawił?

Uproszczenie i obniżenie podatków, zatrzymanie rozdawnictwa i forsowanego przez Unię Europejską pakietu klimatycznego, odpolitycznienie spółek Skarbu Państwa oraz unormowanie sytuacji w sądownictwie.

Jak pan chce przekonać Polaków, że rozdawnictwo długofalowo jest szkodliwe gospodarczo i społecznie?

Wystarczy wskazać właściwe przykłady, choćby Grecję, gdzie proces, który u nas się rozpoczął w 2015 r., został zainicjowany dużo wcześniej, bo już w latach 80. XX w., i finalnie doprowadził ten kraj do bankructwa. Transfery socjalne znacząco zatrzymały rozwój Hiszpanii, Włoch czy Francji. W długim terminie to po prostu nie działa. Dobrobyt nie bierze się z zasiłków czy z drukowania pieniędzy, bierze się z pracy, przedsiębiorczości i oszczędności.

Z taką wykładnią pewnie zgodzi się najbardziej przedsiębiorcza część Polaków, ale na ileś milionów z nich pana poglądy będą działać jak czerwona płachta na byka, bo podważają podstawy ich bytu. Jak do tej kategorii wyborców zamierza trafić Konfederacja?

Nie jestem w polityce po to, żeby przekonać wszystkich. Jestem w niej po to, żeby naprawić rzeczy, które koniecznie trzeba naprawić. Donald Tusk jest w polityce tylko po to, żeby rządzić, bo wspiera wszystkie tezy Jarosława Kaczyńskiego, akceptuje podstawy jego polityki, popiera wszystkie kolejne programy rozdawnicze. Nie angażuję się w politykę po to, żeby robić to samo, co PiS czy Platforma. Jestem w polityce po to, żeby odesłać tych dwóch panów na emeryturę i pokazać, że Polska może rozwijać się inaczej.

Kiedy rozmawialiśmy w kwietniu, mówił pan, że trochę się martwi dobrymi sondażami Konfederacji i że wolałby pan, żeby dwucyfrowe wyniki miało w wyborach wasze ugrupowanie. Mamy koniec czerwca, a Konfederacja trzyma się w sondażach mocno.

Jestem zadowolony z tego, co stało się z naszymi sondażami. Rzeczywiście wiosną się obawiałem, że zejdziemy poniżej pułapu 10 proc., tymczasem nasze notowania wzrosły. Nie spodziewam się

eprasa.pl b9f5f2ba9a

nie przekonam

większych zmian do końca wakacji. Z naszych wewnętrznych badań wynika, że w rozstrzygających tygodniach kampanii we wrześniu i w październiku mamy szansę jeszcze wzrosnąć i powalczyć o wynik na poziomie 15 proc. Jestem na razie optymistą.

W opinii części obserwatorów sceny politycznej okolicznością, która może działać na korzyść Konfederacji, jest rosnący sceptycyzm Polaków wobec polityki realizowanej przez Polskę wobec Ukrainy. Nie chodzi tylko o syndrom „zmęczonych Samarytan" ze strony wielu Polaków, którzy wcześniej ochoczo angażowali się w pomoc dla Ukraińców i którym coraz mniej podoba się szeroki gest ze strony państwa polskiego wobec ukraińskich uchodźców. Mówię o pełnych arogancji i braku szacunku dla polskiej wrażliwości gestach strony ukraińskiej, np. ostatnim wystąpieniu szefa ukraińskiego IPN, Antona Drobowycza, który kwestię umożliwienia ekshumacji polskich ofiar ukraińskiego ludobójstwa na Polakach na Wołyniu i w Galicji Wschodniej podczas drugiej wojny światowej uzależnił od pożądanego przez Kijów upamiętnienia Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA) w jednym z miejsc na Podkarpaciu. Wydaje się, że w tej konkretnej i podobnych sytuacjach brakuje adekwatnej reakcji ze strony Polski.

Nie rozumiem takiej polityki ze strony polskich władz. Ukraińcy nie powinni stawiać nam takich warunków. Ich kraj jest w bardzo trudnej sytuacji i bez pomocy ze strony Polski nie byłby w stanie toczyć tej wojny. Tymczasem ukraińscy politycy zachowują się wobec Polski bardzo asertywnie, mówiąc niezwykle delikatnie. Polska ma obecnie niepowtarzalną okazję, żeby załatwić z Ukrainą ważne sprawy. W przyszłości, gdy wojna się zakończy, będzie tylko trudniej. Kiedy dochodzi do rozmów z Ukrainą, a także ze Stanami Zjednoczonymi czy z Unią Europejską, polskie władze zachowują się bardzo miękko, zapominając o naszym interesie narodowym. Chcę podkreślić, że od samego początku Konfederacja mówiła, że oczywiście należy pomagać Ukrainie, ale trzeba to robić z głową.

eprasa.pl b9f5f2ba9a

Na pierwszym miejscu powinien być zawsze polski interes narodowy, a dopiero później ukraiński. Nie mam przekonania, żeby polski rząd realizował taką linię polityczną.

Czy ta swoista pasywność polskiej polityki wobec Ukrainy nie skończy się wypchnięciem nas z projektów związanych z odbudową Ukrainy po wojnie? Te najbardziej lukratywne przypadną państwom, których zaangażowanie na rzecz ukraińskiej niepodległości nie było wcale oczywiste.

Niestety, wszystko zmierza w tym kierunku. Ukraina nigdy bardziej niż obecnie nie będzie już Polski potrzebować. Jeśli teraz nie załatwimy najważniejszych z naszego punktu widzenia spraw, to nie załatwimy ich już nigdy. Polska była pierwsza w kolejce, kiedy trzeba było pomagać Ukrainie, ale boję się, że kiedy będzie można tam czerpać korzyści, znajdziemy się na końcu kolejki.

Zakładając dobry scenariusz dla Ukrainy, w którym wojna się kończy, nasz południowo-wschodni sąsiad obroni swoją suwerenność i potwierdzi prozachodni kurs. Czy będzie to oznaczać, że wyrośnie nam rywal, który w sposób zasadniczy wywróci porządek geopolityczny w naszym regionie Europy?

Nikt nie wie, w jakim stanie Ukraina wyjdzie z tej wojny. W tej chwili jest to państwo na krawędzi katastrofy gospodarczej i demograficznej. Na odbudowę Ukrainy potrzeba będzie bilionów dolarów, nie wiadomo dziś, skąd je wziąć. Ciężko spekulować, czy i kiedy Ukraina może stać się częścią Unii Europejskiej – wiązałoby się to z masą zagrożeń dla Polski. Pierwszą ofiarą byłoby na pewno polskie rolnictwo.

Kiedy pytałem pana o priorytety Konfederacji, sprawy, które trzeba waszym zdaniem najpilniej załatwić, nie wskazał pan kwestii demograficznej. Tymczasem zapaść demograficzna, którą przeżywamy, wydaje się absolutnie strategicznym wyzwaniem. Ten wątek jednak słabo wybrzmiewa w obecnej kampanii wyborczej. Jaki pomysł ma Konfederacja na ograniczenie skutków katastrofy demograficznej?

Pytał pan o sprawy, które trzeba załatwić szybko. Tej sprawy nie da się szybko załatwić, prawdopodobnie jej w ogóle się nie da załatwić. Polki nie mają dzieci z przyczyn kulturowych, a nie ekonomicznych. W obliczu tej sytuacji rola państwa jest marginalna. Zapaść demograficzną obserwujemy w całej Europie. We Włoszech liczba urodzeń spadła do poziomu najniższego od lat 60. XIX w. W innych państwach widzimy wskaźniki urodzin najniższe od czasów drugiej wojny światowej. Mamy do czynienia z globalnym trendem, z którym w zasadzie nie da się wygrać.

Chorobą zachodniej cywilizacji?

Nie tylko zachodniej. Takie państwa jak Korea Południowa, Japonia, Hongkong czy Singapur mierzą się dokładnie z tym samym. Ten kryzys dotyczy przede wszystkim państw wysoko rozwiniętych. Oczywiście można próbować wydać kolejne kilkadziesiąt miliardów złotych, ale nie ma to żadnego sensu demograficznego. Dzietność w Polsce jest obecnie na poziomie niższym niż przed wprowadzeniem „500+". Zwracam też uwagę, że drastycznie spada w Polsce liczba kobiet w wieku rozrodczym. Ostatni większy wyż demograficzny miał szczyt w 1983 r. Panie, które się wtedy urodziły, mają dziś 40 lat, więc one dużo dzieci już nie urodzą. Wszystkie kolejne roczniki były już mniej liczne. Nawet statystyczne zwiększenie współczynnika dzietności nie zmieniłoby tego, że dzieci rodziłoby się w Polsce dużo, dużo mniej. To olbrzymi problem, z którym będziemy się mierzyć przez kolejne dekady, duże zagrożenie dla naszego systemu emerytalnego czy systemu ochrony zdrowia, rynku pracy, całej gospodarki. Nie da się łatwo tego trendu odwrócić, nie da się przecież zmusić kobiet do rodzenia dzieci poprzez polityczne narzędzia – nie powinno się ich nawet zmuszać.

> **Ukraina nigdy nie będzie już bardziej Polski potrzebować. Jeśli teraz nie załatwimy najważniejszych spraw, to nie załatwimy ich już nigdy**

Mechanizmem, który będzie przynajmniej w jakimś stopniu niwelował skutki gospodarcze i społeczne demograficznej zapaści, może być kontrolowana imigracja?

Imigracja tworzy zupełnie inne problemy. Jednak może się okazać, że pewien poziom imigracji będzie niezbędny. Rzecz w tym, żeby ta imigracja była z państw zbliżonych do nas kulturowo, czyli nie z dalekiej Azji i Afryki, lecz bardziej z Ukrainy czy Białorusi. Z punktu widzenia polskiej racji stanu są to dużo lepsze kierunki imigracji. Należy sobie postawić pytanie: Czy chcemy, żeby leczył nas lekarz z Ukrainy, czy wolimy, żeby nikt nas nie leczył? Nie ma innej alternatywy. Jeżeli nie ściągnie się pracowników, żeby pracowali przy budowie jakiejś fabryki, to ta fabryka po prostu nie powstanie. To są bardzo ważne pytania: czy polska gospodarka ma się dalej rozwijać, czy mamy mieć dostęp do lekarzy, czy nasz rynek pracy ma zaspakajać nasze potrzeby czy też nie.

Istotna część imigrantów zarobkowych pracujących w Polsce pochodzi z Indii, Bangladeszu, Pakistanu czy muzułmańskich krajów Azji Środkowej. Czy w przyszłości może to być źródłem problemów społecznych?

Wśród migrantów zarobkowych dominują ci z Ukrainy i Białorusi. Ale istotnie ok. 100 tys. pracowników rocznie pochodzi z krajów muzułmańskich. Jeśli ludzie pozostają w Polsce, powiedzmy, przez pół roku, pracując przy budowie fabryk czy w rolnictwie, to nie widzę w tym większego problemu. Jeśli pozostają dłużej, to z punktu widzenia pewnej spójności społecznej może to rzeczywiście rodzić problemy.

Czy kraj doświadczający demograficznej zapaści będzie w stanie utrzymać 300-tysięczną armię?

Finansowe możliwości mamy. Zapewnienie bezpieczeństwa jest podstawowym zadaniem państwa polskiego. Pieniądze mogą się nie znaleźć na cokolwiek innego, ale na armię znaleźć się muszą, jeśli nie chcemy skończyć jak Ukraina. Problem leży gdzie indziej. Nie mamy odpowiedniej liczby ludzi, którzy mogliby służyć w tak dużej armii.

Jak pan odebrał pokajanie się sędziego Marciniaka, który pod presją policjantów politycznej poprawności złożył publiczną samokrytykę, tłumacząc się z udziału w imprezie zorganizowanej przez związaną z panem organizację? Miał pan poczucie niesmaku?

Odebrałem to jak każdy. W tej sprawie zdanie opinii publicznej było jednoznaczne.

Nie chce pan szerzej skomentować tej sprawy?

Nie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b9f5f2ba9a

Z Robertem Kostro, dyrektorem Muzeum Historii Polski
rozmawia Tomasz Rowiński

Opowieść o polskiej wolności

TOMASZ ROWIŃSKI: Usłyszałem, że siedziba Muzeum Historii Polski to architektonicznie nowe Muzeum Narodowe. Jego otwarcie planowane jest na koniec września.

ROBERT KOSTRO: Z pewną ekscytacją czekam na reakcję szerszej publiczności na nasz budynek. Z jednej strony jest to prosty, modernistyczny prostopadłościan, ale z drugiej strony poprzez zastosowanie bardzo wysokiej jakości materiałów, dzięki funkcjonalności, niewątpliwie będzie on aspirował do roli budynku ikonicznego. Na fasadzie z biało-szarego kamienia umieściliśmy reliefy z motywami zaczerpniętymi z różnych obiektów architektury polskiej, od Drzwi Gnieźnieńskich, poprzez Wawel, aż do modernistycznych realizacji z lat 70. Ta fasada będzie też miejscem opowiadającym o tym, że polska historia składa się z różnych okresów historii – niczym z warstw, a trwanie przeplata się z nieciągłością.

To największa tego rodzaju inwestycja, która powstała w niepodległej Polsce.

Będzie to muzeum, na które dzieje naszego państwa i narodu zasługują. Jest w nim wszystko, co muzealnik może sobie wymarzyć. Duża przestrzeń wystawiennicza, wielofunkcyjne audytorium na 580 miejsc z akustyką przystosowaną do koncertów, sala kinowa, przestrzenie edukacyjne, konferencyjne i restauracyjne, księgarnia muzealna. To wszystko da możliwość prowadzenia wielorakiej aktywności edukacyjnej, kulturalnej i naukowej, a także będzie stanowiło źródło dochodów MHP.

Co czeka na pierwszych zwiedzających?

Choć na ekspozycję stałą musimy jeszcze poczekać, to we wrześniu planujemy otworzyć wystawę czasową inspirowaną wyborem najciekawszych elementów z naszych zbiorów. Pokaże ona złożoność i bogactwo naszych dziejów przy wykorzystaniu atrakcyjnych obiektów, a jednocześnie opowie o budowie kolekcji naszego muzeum. To zarazem symboliczny hołd oddany wszystkim tym, którzy swoim zaangażowaniem pomagają w tworzeniu opowieści o historii Polski. Wystawę inaugurującą nowy budynek tworzy ok. 500 obiektów – większość z nich znajdzie swoje miejsce na ekspozycji stałej.

Muzeum Historii Polski ma stać się jednym z najważniejszych miejsc opowieści o naszych dziejach. Jaką historię odnajdziemy na przygotowywanej wystawie stałej?

Wybraliśmy trzy linie tematyczne, według których prowadzimy narrację. Pierwsza to tematyka wolności. Mamy w tym kontekście tradycje republiki szlacheckiej i tradycje praw obywatelskich. Jest tu miejsce zarówno na wolne elekcje, jak i różne przywileje wolnościowe. Mamy rozmaite wydarzenia historyczne, aż do Solidarności, w których wolność odgrywa ważną rolę.

Drugi temat ściśle z tym związany to walka o niepodległość. Jest ona ważna już od XVIII w., potem przez cały XIX w., okres drugiej wojny światowej i czasy komunizmu. Nie można też – gdy myśli się o wolności – nie wspomnieć o budowaniu suwerennego państwa w dwudziestoleciu międzywojennym.

Opowieść o polskiej wolności i niepodległości będzie się zaczynała od upadku Rzeczypospolitej?

Zaczynamy od początków państwa polskiego, a kończymy na czasach nam najbliższych. Przedstawimy – w pewnej mierze – tradycyjny i chronologiczny wykład dziejów. Trzeba też pamiętać, że opowieść muzealna rządzi się swoimi prawami. Na każdą epokę wybraliśmy kilka tematów wiodących, by nie pominąć kluczowych problemów danej epoki. Gdy przygotowujemy opowieść o Rzeczypospolitej szlacheckiej, to mówimy o ustroju, o stosunkach religijnych, o relacjach etnicznych, o wojnach XVII w., o upadku, a także o reformach.

W jaki sposób muzeum opowie o upadku Rzeczypospolitej?

Jako muzealnicy będziemy jednak unikać prostej odpowiedzi. Broni nas to, że pokazujemy przede wszystkim obiekty, a nie piszemy artykułów. Będą natomiast pewne sugestie. Na pewno pokażemy wojny XVII w., które były ciosem w fundamenty gospodarcze i demograficzne Rzeczypospolitej. Pokażemy degenerację systemu politycznego. Nie możemy uciekać od takich kwestii jak liberum veto. Nawet jeśli początkowo było ono jednym z elementów wolnościowych ustroju, to późniejsza, szkodliwa inflacja jego wykorzystywania musi być zaznaczona. Jest jednak jasne dla nas, że główny ciężar odpowiedzialności za upadek Rzeczypospolitej ponoszą zaborcy. Z tego punktu widzenia reformy XVIII w. i Konstytucja 3 maja stanowią świadectwo, że Rzeczpospolita miała wewnętrzne siły, by się zreformować. I zrobiłaby to, gdyby nie nasi sąsiedzi.

Co jest drugą linią tematyczną muzeum?

Tożsamość. Co zresztą jest również powiązane z tematyką wolności. Jeśli mówimy o systemie Rzeczypospolitej, to nie da się abstrahować od takich wydarzeń jak konfederacja warszawska czy unia lubelska. Są one pomnikowymi dokumentami republikańskiej wolności, a także

eprasa.pl b9f5f2ba9a

świadectwem tego, że polskie państwo było wieloetniczne, wieloreligijne i musiało rozwiązywać problemy współżycia różnych społeczności. W związku z tym tożsamość Polaka szlachcica, który mógł być przecież prawosławnym albo protestantem i mówić po rusku, była inna niż tożsamość Polaka dzisiejszego, związana silniej z językiem polskim i tradycją katolicką. Chcemy pokazać także te przemiany tożsamościowe, które dotykały obywateli Rzeczypospolitej.

Możemy podać jakiś przykład?

Kiedy patrzymy na XIX w., widzimy ogromną rolę literatury i sztuki. Romantycy, a potem malarstwo Matejki czy powieści Sienkiewicza, kształtowali nowy idiom polskości. Literatura polska miała tak wielkie oddziaływanie i znaczenie dla tożsamości, że ci, którzy jej nie poznali, ponieważ nie czytali po polsku, przestawali być Polakami. Dotyczy to choćby Litwinów. Jeszcze na początku XX w. wielu z nich nie miało określonej tożsamości narodowej. Na Litwie ukształtowała się wtedy społeczna instytucja książkonoszy, ważnych dla formowania się nowoczesnego narodu litewskiego. I o tym odbiorca dowie się z naszego muzeum. Chcemy pokazywać, jak proces kształtowania się nowoczesnych narodów wyglądał nie tylko od polskiej strony, lecz także z perspektywy bliskich nam narodów.

Linie narracyjne będą się w muzeum przenikały?

One stanowią kryterium doboru tematów. Z wystawy stałej muzeum prawie niczego nie dowiemy się np. o ciekawej historii polskich kurortów w XIX i XX w. Chyba że – tak jak w przypadku Zakopanego – wiąże się to ze zjawiskiem powstawania tzw. stylu narodowego. Gdy zaś mówimy o konfederacji warszawskiej czy unii lubelskiej, zarówno kryterium wolności, jak i tożsamości jest całkowicie spełnione. Podobnie będzie z wydarzeniami z czasów najnowszych.

Na jakich wydarzeniach opowieść się zakończy?

Zasadnicza część wystawy stałej doprowadzi odbiorcę do chwili upadku komunizmu. Mamy jednak przestrzeń multimedialną, w której będziemy wykorzystywali materiały audiowizualne dokumentujące ważne wydarzenia z okresu po 1989 r., takie jak katastrofa smoleńska, śmierć Jana Pawła II czy skoki Małysza. Do nich zamierzamy dodawać komentarze świadków. Chodzi o to, by pokazać, że to obszar historii, w której większość z nas wciąż funkcjonuje i której bezpośrednio doświadczyła. Przykład wojny na Ukrainie jest bardzo dobry: choć ona wciąż trwa, to już coś można o niej opowiedzieć. To też część naszej historii.

Muzeum Historii Polski powstaje na terenie Cytadeli Warszawskiej

FOT. MICHAŁ JANISZEWSKI/MHP

Historia w Muzeum Historii Polski wyjdzie kiedyś poza 1989 r.?

Już teraz wychodzi, choć na razie nie planujemy pokazywania eksponatów w części poświęconej III RP. Natomiast przestrzeń, w której znajdzie się ekspozycja stała, nie ma barier architektonicznych. Jeśli za 20 lat zapadnie decyzja o modyfikacji tej części wystawy, to nie będzie z tym większego problemu. Budynek muzeum daje wiele możliwości. Warto dodać, że prezentacji eksponatów z historii najnowszej będzie służyła również przestrzeń wystaw czasowych. Architektura muzeum jest pod tym względem najlepsza z możliwych.

Pomówmy o trzeciej linii narracyjnej muzeum.

Można ją określić mianem cywilizacyjnej. Chcemy pokazać, jak ludzie w Polsce żyli, jak się ubierali, a także jakie miejsce w naszych dziejach zajmują nauka i technika, jakie interakcje zachodziły np. pomiędzy techniką a społeczeństwem. Jeśli mamy w planach pokazanie na wystawie maszyny tkackiej, to obok chcemy zaprezentować kamienicę z przełomu XIX i XX w., by przybliżyć odwiedzającym strukturę społeczną czasów rewolucji przemysłowej. To, czy mieszkało się od frontu czy w oficynie, wynikało z zajmowanej pozycji społecznej. Te sprawy są bardzo ciekawe. Szczególnie że udało nam się znaleźć opis składu lokatorskiego jednej z warszawskich kamienic i będziemy mogli tę prezentację przygotować, opierając się na konkretach, a nie tylko na teorii. W tej linii tematycznej chcemy również pokazać polski wkład w postęp naukowo-techniczny w dziejach.

Opowiecie także o stylu życia?

W pewnej mierze tak. Trudno, gdy mówi się o Rzeczypospolitej szlacheckiej, nie pokazać pasów kontuszowych, za-

eprasa.pl b9f5f2ba9a

Robert Kostro – historyk, publicysta, dyrektor Muzeum Historii Polski, były dyrektor Departamentu Spraw Zagranicznych KPRM

FOT. ANDRZEJ LANGE/PAP

staw stołowych czy portretów trumiennych – to są znaki rozpoznawcze epoki. W tych eksponatach łączą się cywilizacja z tożsamością. Można się zastanowić, czy za tym charakterystycznym stylem szlacheckim nie stoi też ta specyficzna wolność będąca elementem republikańskiego ustroju politycznego oddziałującego na całą kulturę. To, czego nie uda się nam pokazać na ekspozycji, będzie opowiadane przez przewodników.

Co z historyczną rolą Kościoła?

Obecność Kościoła będzie naturalną częścią naszej narracji. Pierwsze wydarzenie w dziejach Polski to chrzest Mieszka. Nasza przeszłość różni się od tej poprzedzającej dzieje Francji czy Włoch, które mają długą historię przedchrześcijańską. My możemy przywołać jedynie szczątkowe informacje archeologiczne o czasach poprzedzających rządy naszego pierwszego władcy. Chrzest Mieszka jest pierwszym potwierdzonym przez źródła pisane faktem polskich dziejów. I te same źródła potwierdzają istnienie struktury państwowej. Dzięki nim dowiedzieliśmy się o księciu Polan, wiemy, jak się nazywał, w przybliżeniu znamy też motywacje jego nawrócenia. I choć nie wiemy, gdzie został ochrzczony, to jednocześnie jest pewne, że to nastąpiło. Na ekspozycji zwracamy uwagę na Lednicę, jako domniemane miejsce chrztu, ponieważ udało nam się wydobyć z Jeziora Lednickiego łódź – dłubankę – z X w. To obiekt, który muzeum jest potrzebny, by odwiedzający mogli zobaczyć namacalne świadectwo dawnych wieków.

Wróćmy jeszcze do Kościoła...

Kościół pojawia się w bardzo różnych momentach, ponieważ cała kultura średniowieczna, aż do czasów renesansu, jest kulturą chrześcijańską, często kościelną. Architektura, obrazy, rzeźba – wszystko to najczęściej jest powiązane z motywami religijnymi. I to będziemy starali się pokazać. Także w czasach późniejszych Kościół jest obecny. Wielu ludzi życia publicznego Rzeczypospolitej to byli duchowni, nawet w okresie oświecenia. Niekoniecznie może byli to najbardziej pobożni księża, ale takie osoby jak Konarski, Naruszewicz czy bp Krasicki to niewątpliwie wybitni przedstawiciele swojej epoki. Historia Polski i historia Kościoła krzyżują się potem wielokrotnie, np. w czasie powstań narodowych. Ostatnim przykładem szczególnie mocnego objawienia się obecności Kościoła w życiu polskim była epoka PRL i aktywność publiczna kard. Wyszyńskiego oraz papieża Jana Pawła II. Można dyskutować na temat ewentualnej odpowiedzialności tego ostatniego za błędy związane z brakiem adekwatnej reakcji na przypadki pedofilii w Kościele, ale nie ma żadnych wątpliwości, że jeśli chodzi o epokę Solidarności i wyprowadzenie Polski z komunizmu, to jest on kluczową postacią. W Muzeum Historii Polski nie będziemy usuwać ważnych postaci polskich dziejów tylko dlatego, że dzisiaj są mniej popularne.

Muzeum bez bohaterów trudno sobie wyobrazić. Istnieją natomiast współcześnie muzea bez żadnych eksponatów. Jak będzie u was?

Chcielibyśmy pokazać jak najwięcej obiektów i korzystać równocześnie ze scenografii oraz multimediów. W tej sprawie potrzebna jest równowaga między wykorzystaniem nowoczesnych środków a budowaniem kolekcji. Mamy w tej chwili w swoich zbiorach 58 tys. oryginalnych obiektów, na wystawie stałej zaś planujemy pokazanie – łącznie z depozytami innych instytucji – ok. 3,6 tys.

Ekspozycja stała w muzeum to będzie spacer przez nasze dzieje czy macie jakiś inny pomysł?

Każdą epokę zobrazuje kilka przestrzeni tematycznych zorganizowanych wokół wiodącej instalacji. Bodaj najbardziej efektowne przedstawienie otrzyma XVII w. Odtworzymy tam fasadę pałacu Villa Regia wybudowanego przez Zygmunta III Wazę. W czasie potopu został on zniszczony przez Szwedów – zrabowali oni, co tylko mogli (łącznie z kamieniami i marmurem, którym był obłożony). Na szczęście jedna z łodzi transportujących materiał zatonęła i my, dzięki współpracy z archeologami, zrekonstruujemy fasadę pałacu. Z jednej strony będzie to opowieść o srebrnym wieku historii Polski, który tworzył tak wspaniałe monumenty, a z drugiej – o kryzysie XVII w. przez pryzmat strat, które ponieśliśmy w związku z wojną ze Szwecją. Będzie to zatem spacer, lecz pełen refleksji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b9f5f2ba9a

FOT. ADOBE STOCK

Wakacyjna pułapka

Łukasz Zboralski

Dziesiątki tysięcy klientów podskakiwały z radości, że udało się im złapać promocyjne ceny na wakacyjne loty. Firma odpisała im, że to był „błąd systemu". Czy dostaną odszkodowania?

Anna Marynowska z Gdańska lubi podróże, spontaniczne wyprawy. Oglądanie nowych miejsc, smakowanie innych kuchni. Dlatego ucieszyła się, gdy w maju koleżanka zadzwoniła z gorącą informacją: „Jest superpromocja na wakacje, tanie loty Wizz Air. Rezerwuj!". – Wiadomość dostałam, gdy szłam akurat na pocztę załatwić firmowe sprawy, więc szybko na chodniku klikałam w aplikacji i rezerwowałam dla nas loty – wspomina Anna. – Udało się. Byłam szczęśliwa. Bo jeszcze chwilę wcześniej w ogóle nie mieliśmy planów na wakacje, a tu okazało się, że pojedziemy na Cypr razem z grupą zaprzyjaźnionych rodzin. Byliśmy wszyscy podekscytowani nadchodzącą podróżą w lipcu.

80 TYS. ZAWIEDZIONYCH

Wieść rozniosła się lotem błyskawicy i nie tylko pani Ania ucieszyła się z wylotu za 35 zł. W tej cenie dostępne były bowiem nie tylko bliskie Polski lokalizacje, lecz także np. Wyspy Kanaryjskie czy Abu Zabi. W sumie, jak nieoficjalnie podawały portale turystyczne, z atrakcyjnych cen Wizz Air tego dnia w aplikacji skorzystać miało ok. 80 tys. klientów.

Ich szczęście trwało krótko. Następnego dnia dziesiątki tysięcy osób otrzymały wiadomość e-mail od linii lotniczej. Wizz Air dziękował za „wybranie nas tego lata", ale jednocześnie dodawał: „Z przykrością informujemy, że z powodu błędu technicznego naszych systemów podczas wczorajszego zakupu biletu Twoja rezerwacja zostanie anulowana. Jeśli pobrano od Ciebie jakąkolwiek kwotę za rezerwację usług lub członkostwa, zostanie ona natychmiast zwrócona z powrotem na pierwotną metodę płatności".

– Następnego dnia zamiast euforii był smutek, cały plan wakacyjny się rozsypał – mówi Anna Marynowska. – Szczęściem w nieszczęściu było to, że ostatecznie nie dokonaliśmy wraz ze znajomymi jakiejś rezerwacji noclegów na Cyprze. Bo za tak dużą grupę, którą się wybraliśmy, kwota była wysoka i przynajmniej na jakiś czas nasze pieniądze zostałyby zamrożone.

Pani Anna i tak nie była w najgorszej sytuacji. Na internetowych forach znalazły się wpisy osób, które kupiły bilety na następny dzień i o anulowaniu ich rezerwacji dowiedziały się już na lotnisku. Zamiast witać słoneczne plaże w taniej cenie, zostały na lotnisku, by potem odczytać w komórkach przepraszające e-maile linii lotniczej. „Pojechałem w nocy na lotnisko w innym mieście, posiadając już kartę pokładową, żeby na miejscu dowiedzieć się o anulowaniu mojej rezerwacji" – żalił się Adam, komentując informację na portalu Fly4free.pl.

TAJEMNICZE BŁĘDY

Warto odnotować, że pięć lat temu klienci dokładnie tej samej węgierskiej linii lotniczej zauważali inny – jak potem wyjaśniano – „błąd" podczas elektronicznej rezerwacji lotów. W 2018 r. klienci zaalarmowali dziennikarzy, że po dokonaniu rezerwacji lotu na stronie przewoźnika w podsumowaniu rezerwacji widzieli nagle „systemową opłatę dodatkową" wynoszącą 44 zł. Okazywało się, że po dodaniu opłat dodatkowych lot w dwie strony

eprasa.pl b9f5f2ba9a

zaczynał być ponad dwa razy droższy, niż powinien. „Odnotowaliśmy kilka rezerwacji, które zostały fałszywie obciążone tą dodatkową opłatą systemową. Takie błędnie dodane opłaty zostaną zwrócone pasażerom. Wizz Air szczerze przeprasza za niedogodności z tym związane" – tłumaczył wówczas portalowi Fly4free.pl przedstawiciel Wizz Air.

W sprawie majowego błędu firma po prostu oddała klientom pieniądze. Jednak kusiła ich też, by zwrot zatrzymać na „koncie Wizz Air" – mogli wtedy dostać 20 proc. więcej, niż trafiłoby na ich konto. Linia lotnicza złapała 80 tys. rezerwacji za 35 zł. Jeśliby skusiła wielu, żeby zostawić te 35 zł plus 20 proc. od nich i wykorzystać je na inny (dużo droższy) lot, to tym sposobem za niewielką kwotę mogłaby mieć wielu klientów.

Czy za odwołane rezerwacje Wizz Air powinien klientom zapłacić odszkodowania?

– Rozporządzenie (WE) nr 261/2004 Parlamentu Europejskiego i Rady z dnia 11 lutego 2004 r., przyznające minimalne prawa dla pasażerów w sytuacji: odmowy przyjęcia na pokład wbrew ich woli, odwołania ich lotu, opóźnienia ich lotu, sprawiło, że pasażerowie masowo kierują roszczenia wobec linii lotniczych z uwagi na wysoki odsetek pozytywnie rozpoznanych zgłoszeń, a w przypadku odmów z uwagi na odformalizowane i uproszczone dowodowo postępowanie sądowe, jak również z uwagi na zryczałtowany charakter odszkodowań według ustalonego taryfikatora. Są to kwoty sięgające od kilkuset do kilku tysięcy euro – mówi „Do Rzeczy" Michał Skorupka, adwokat, partner w Kancelarii Prawnej Budnik, Posnow i Partnerzy. – Jest już też powszechną wiedzą wśród pasażerów, że względnie łatwą ścieżką można uzyskać odszkodowania, bo linie lotnicze najczęściej uznają roszczenia i wypłacają odszkodowania, a ewentualny proces sądowy z uwagi na uproszczone rygory dowodowe zazwyczaj kończy się wygraną, w rozsądnym terminie, bez konieczności angażowania znacznych sił i środków przez pasażera. Dlatego też powstał rynek podmiotów – kancelarii prawnych, a także firm specjalizujących się stricte w tego typu problemach – świadczących pasażerom ustrukturyzowaną pomoc i zastępstwo prawne w tego typu sytuacjach – opisuje.

W sprawie masowo anulowanych rezerwacji z uwagi na błąd techniczny (błędna cena) sytuacja nie jest już jednak taka prosta. I wcale nie jest przesądzone, czy klienci mogą uzyskać odszkodowania za to, że nie polecą na wakacje tanim lotem.

W sieci pojawiają się informacje firm, które są przekonane, że anulowanie rezerwacji może być podstawą do żądania odszkodowań. Według nich klient zapłacił za bilet i dostał potwierdzenie w postaci planu podróży, więc została zawarta umowa na przewiezienie go samolotem.

Mecenas Skorupka zwraca jednak uwagę, że sprawy powszechnie dotyczą odszkodowań za to, że samolot nie odleciał czy się spóźnił. Tymczasem w sprawie Wizz Air mamy do czynienia z sytuacją, gdy rezerwacja nie przerodziła się w bilet. Tu linia lotnicza, powołując się na błąd techniczny, odstąpiła od umowy bądź od oświadczenia woli.

– To jest inna sytuacja, bo sporny jest status klienta i pasażera, a przedmiotowe rozporządzenie unijne ustanawia uprawnienia dla osób, których status klienta i pasażera jest bezsporny bądź spór o to został na rzecz klienta lub pasażera pozytywnie przesądzony. Tutaj mamy sytuację, że ktoś w ogóle nie miał według linii lotniczej statusu pasażera w związku z anulowaniem rezerwacji przez linię lotniczą, inna kwestia, czy anulowaniem prawidłowym, a nie, że jako oficjalny pasażer nie mógł polecieć razem z innymi pasażerami danym rejsem z przyczyn technicznych bądź innych zależnych od linii lotniczych – objaśnia mec. Skorupka. – Trzeba więc w tych sprawach odwołać się do ogólnych zasad prawa cywilnego, oczywiście widzianego w duchu prawa konsumenckiego UE. Tutaj trzeba indywidualnie badać, czy odstąpienie od rezerwacji przez linię lotniczą było prawnie dopuszczalne oraz skuteczne, a jeśli nie było skuteczne, to jaka dokładnie wystąpiła w danym przypadku szkoda majątkowa. Zastosowanie rozporządzenia unijnego nie jest całkowicie wykluczone, wymaga jednak przesądzenia kwestii wstępnych.

Za opóźniony lub odwołany lot można otrzymać od linii lotniczej od kilkuset do kilku tysięcy euro odszkodowania

Zdaniem mecenasa nie można wykluczyć, że błąd techniczny oprogramowania do sprzedaży biletów czy też znaczna różnica między ceną świadczenia – zestawienie błędnej ceny biletu z rzeczywistym kosztem przewoźnika – nie zostaną uznane za okoliczności uzasadniające skuteczność odstąpienia od rezerwacji przez przewoźnika. – Dodam od razu, że choć mamy do czynienia ze zjawiskiem masowym, skoro odwołano tysiące rezerwacji, to nadal każdą sytuację każdego klienta trzeba rozpatrywać indywidualnie, nie zachodzi tu według mnie możliwość wystosowania pozwu zbiorowego, gdyż problem każdego z pasażerów jest „taki sam", a nie „ten sam" – zaznacza mec. Michał Skorupka.

TSUE POMAGA WALCZYĆ

Warto wspomnieć, że jak obecnie frankowiczów, tak poszkodowanych klientów linii lotniczych cztery lata temu wsparł Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Chodziło o spór z tanimi liniami lotniczymi Ryanair, który w imieniu klienta przed sądem prowadziła firma DelayFix S.A. Sprawa dotyczyła lotu, który miał odbyć się w dniu 14 czerwca 2016 r. na trasie Mediolan – Warszawa-Modlin. Lot ten został odwołany, ale nie z powodu nadzwyczajnych okoliczności.

Ryanair uważał, że nie podlega jurysdykcji polskich sędziów. Kwestionował też ważność tego, że pasażer odstąpił od roszczeń wobec przewoźnika w ramach cesji na kancelarię, która się tym zajęła.

Sąd Okręgowy w Warszawie zadał więc w tej sprawie pytania TSUE. Ten w wyroku z 18 listopada 2020 r. (w sprawie prejudycjalnej C-519/19) uznał, że klauzula przyznająca w sprawach przeciw Ryanair wyłączną jurysdykcję sądowi irlandzkiemu stanowi nieuczciwy warunek umowy – bo została zamieszczona w umowie zawartej między konsumentem (pasażerem linii lotniczych) a przedsiębiorcą (przewoźnikiem lotniczym) bez uprzednich negocjacji indywidualnych.

TSUE uznał również, że nie ma przeszkód, by pasażer powierzył dochodzenie odszkodowania za odwołany lot firmie zajmującej się takimi sprawami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b9f5f2ba9a

Piotr Gociek

Obraz mistrza

Wszyscy kochają Vermeera – krytycy, muzealnicy, publiczność i fałszerze

Tym, którzy nie zdążyli w amsterdamskim Rijksmuseum obejrzeć największej w historii wystawy dzieł Vermeera (zamknięto ją 4 czerwca), pozostają przygotowania do dalekich podróży, by słynne płótna oglądać pojedynczo tam, gdzie oryginalnie są eksponowane. Nie jest to złe rozwiązanie, warto stawiać sobie w drodze jakiś cel. Ja co prawda zwykle wędruję w poszukiwaniu Rembrandta, ale i muzealnych ścian z obrazami Vermeera nigdy nie omijam. Oglądanie dzieł mistrza Johannesa na żywo to doświadczenie niemal mistyczne. Nie jestem osamotniony w tym przekonaniu.

WYCIECZKA ZA KULISY

„Pierwszy raz na własne oczy zobaczyłem obrazy Vermeera w Londynie, na wycieczce, gdy byłem chłopcem. I zemdlałem" – mówi jeden z bohaterów filmu „Vermeer. Blisko mistrza" („Dicht bij Vermeer"). Możemy nawet wskazać te obrazy, bo National Gallery wystawia tylko dwa: „Kobietę stojącą przy klawesynie" oraz „Dziewczynę siedzącą przy klawesynie". Dokument autorstwa duńskiej reżyser Suzanne Raes pojawił się w polskich kinach w maju i wciąż można oglądać go w niektórych miastach. Warto. To inspirująca i wielce ciekawa wycieczka za kulisy słynnej wystawy. Film powstawał bowiem podczas przygotowań do wielkiej ekspozycji w Rijksmuseum i mógłby równie dobrze nosić tytuł „Przyjaciele Vermeera", bo oglądamy w nim portret zbiorowy ludzi zafascynowanych dziełem mistrza i pragnących się tą fascynacją oraz miłością dzielić. Nie myślimy o nich na co dzień, przechadzając się po muzealnych galeriach i podziwiając efekt ich wysiłków: kuratorzy, muzealnicy, krytycy, historycy, konserwatorzy, marszandzi.

Godzinna opowieść Raes to uczta dla fanów Vermeera – „Dziewczyna z perłą" opuszcza ramy i przyglądamy się jej z bliska, głośne dzieła trafiają pod lupę badaczy i ujawniają swoje sekrety. Jest też wątek sensacyjny: gdy przygotowania do wystawy były na ostatniej prostej, światem sztuki wstrząsnęła wieść z USA – eksperci National Gallery of Art, Waszyngton, po długich badaniach ogłosili, że znajdujący się w ich zbiorach obraz „Dziewczyna z fletem" nie jest dziełem Vermeera. I co teraz? Obraz zakwalifikowano do retrospektywy w Rijksmuseum. „Czy nadal chcecie go w swojej wystawie?" – pyta reżyser Suzanne Raes jednego z kuratorów. Zabawna wypowiedź Pietera Roelofsa pojawia się w amsterdamskiej gazecie „Het Parool": obraz został wypożyczony jako „nie Vermeer", ale zawiśnie w muzeum jako prawdziwy Vermeer. „Wątpliwości zniknęły w trakcie lotu nad oceanem". Ach, dusze ślepo zakochanych – wiemy doskonale, że Roelofs – i nie tylko on – tak bardzo chciałby, aby był to obraz prawdziwy, że go za taki po prostu uznaje. Prawdziwych Vermeerów na świecie niewiele. Żal każdego odstrzelonego przez współczesne analizy.

Godzinna opowieść Raes to uczta dla fanów Vermeera. Jest tu nawet wątek sensacyjny

„Dziewczyna z fletem" jako dzieło „kogoś z kręgu Vermeera". OK, to jeszcze nie jest takie złe. Mogło być dużo gorzej. Podczas badań można było natrafić np. na ślady substancji dostępnych dopiero w XX stuleciu, co sprawiłoby, że wstyd waszyngtońskich muzealników byłby dużo większy. Wszystko za sprawą Hana van Meegerena (1889–1947), holenderskiego malarza, który do historii przeszedł jako arcymistrz fałszerstwa. Wiemy o 11 fałszywych Vermeerach pędzla van Meegerena, mogło ich być więcej. Kupowali je w dobrej wierze tak handlarze dziełami sztuki, jak rząd Holandii. Najgłośniejszym wyczynem van Meegerena było sprzedanie „Chrystusa i jawnogrzesznicy" Hermannowi Göringowi, jednej z najważniejszych postaci III Rzeszy. Niewiele brakowało, by ta transakcja zaprowadziła holenderskiego malarza na długie lata do więzienia, oskarżono go bowiem po wojnie o współpracę z okupantem i pozbawienie ojczyzny dobra narodowego, jakim miał być „oryginalny" Vermeer. Van Meegeren udowodnił jednak przed sądem, że obraz był fałszerstwem. Jak? Namalował inny – „Jezus wśród doktorów".

eprasa.pl b9f5f2ba9a

Na obleganej przez tłumy retrospektywie w amsterdamskim Rijksmuseum wystawiono 28 obrazów z 36 przypisywanych dziś Vermeerowi (inni ostrożnie mówią: „z ok. 30"), ale mogło ich być więcej

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Historia Hana van Meegerena opisana jest smakowicie w książce „To ja byłem Vermeerem", którą właśnie wznowiło wydawnictwo Rebis. Jej autorem jest Frank Wynne, irlandzki pisarz i tłumacz ceniony oraz nagradzany za przekłady z francuskiego i hiszpańskiego. Wciąż natomiast nie wydano w Polsce najgłośniejszej książki o van Meegerenie, czyli „The Man Who Made Vermeers. Unvarnishing the Legend of Master Forger Han Van Meegeren" autorstwa Jonathana Lopeza. Stała się ona podstawą filmu „Ostatnie wielkie dzieło" („The Last Vermeer", 2019). W obrazie Dana Friedkina rolę van Meegerena gra Guy Pearce. Tę nieco podkoloryzowaną opowieść obejrzeć można w streamingu, m.in. w serwisach Play Now, Canal+ Online czy Chili. Lubię kreację Pearce'a, słynny fałszerz w jego wykonaniu to sybaryta i czaruś, który gotów jest okpić i samego diabła.

Co sprawiło, że Han van Meegeren zszedł na drogę przestępstwa? I dlaczego podrabiał akurat Vermeera (gwoli ścisłości, czasem także innych: Pietera de Hoocha czy Fransa Halsa). Odpowiedź romantyczna brzmi: wziął pomstę na tych, którzy nie doceniali jego własnego talentu. Van Meegeren był piekielnie utalentowany i zarazem zafascynowany dokonaniami dawnych mistrzów. Chciał i potrafił malować tak jak oni, ale rozminął się ze swoim czasem, bo jego ilustracje były dla prasy zbyt artystyczne, a publiczność w galeriach oraz krytycy żądni już byli wykwitów modernizmu. Niech więc płacą, wszyscy ci niedouczeni i ślepi na prawdziwe piękno – myślał van Meegeren. Jednak więcej przemawia za odpowiedzią trywialną: rozbuchane ego i pokusa łatwego zarobku. Biedujący na studiach i zaraz po nich holenderski fałszerz odkuł się potem solidnie. A kiedy rodacy przymierali głodem w okupowanym przez Niemców kraju, on martwił się, że coraz trudniej kupić kawior do szampana. Dlaczego podrabiał Vermeera? Cóż, skoro uważał się van Meegeren za równie utalentowanego, co najwięksi z dawnych mistrzów, to nic dziwnego, że zabrał się do „poszerzania" dorobku jednego z nich. Naśladownictwo jest najwyższą formą uznania, moglibyśmy powiedzieć przewrotnie, że genialny fałszerz składał hołd Vermeerowi. Moglibyśmy – gdyby nie małe fortuny, które malarz zgarniał za swe dokonania.

Han van Meegeren zasługuje na miano jednego z fałszerzy wszech czasów, a historia żmudnego demaskowania szczegółów jego mistyfikacji to materiał na osobną opowieść. Jednak jak swoje obrazy malował sam Vermeer? Co sprawiło, że do dziś wydaje się artystą tak osobnym, tak odmiennym od rzeszy innych mistrzów jego epoki? Przypominam sobie, kiedy sam pierwszy raz zobaczyłem oryginał „Mleczarki" w Rijksmuseum. Co prawda, nie zemdlałem, ale szoku, jaki wtedy przeżyłem, nie zapomnę do końca życia. Tyle było innych arcydzieł na ścianach, a z całej sali tylko jeden punkt przyciągał wzrok – strumień białego przelewanego mleka. „Żaden z innych holenderskich malarzy nie umiał osiągnąć takich efektów" – takie zdanie też pada w filmie „Vermeer. Blisko mistrza", od którego zaczęliśmy opowieść. „Jakby przyleciał z Marsa" – ekscytuje się jeden z rozmówców Suzanne Raes. Kosmitą nie był, ale może osiągnął niezwykłe rezultaty sposobem?

REŻ. DOMINIC OLIVO „VERMEER. BLISKO MISTRZA" HOLANDIA 2023

ODKRYWANIE TAJEMNIC

Na Rakutenie i iTunes obejrzeć można jeden z najciekawszych dokumentalnych filmów ostatniej dekady, czyli „Vermeer według Tima" („Tim's Vermeer", 2013). Jego bohater, teksański wynalazca i inżynier Tim Jenison, zafascynowany jest nie tylko malarstwem Vermeera, lecz także hipotezą, że mistrz pomagał sobie w malowaniu urządzeniem zwanym camera obscura lub ciemnią optyczną. Ten praprzodek aparatu fotograficznego pozwala na uzyskiwanie (dzięki wykorzystaniu matowej soczewki) niesłychanie wyraźnych i żywych odwzorowań obserwowanych scen. Jenison na oczach widzów buduje urządzenie, z którego mógł korzystać Vermeer, uzupełniając je o element powiększający obraz. A następnie przeprowadza eksperyment malarski. Nasycenie kolorów uzyskane w ten sposób jest zadziwiająco podobne do tego znanego z obrazów Vermeera, obraz przepuszczony przez camerę obscurę i camerę lucidę pasuje też do szczególnej perspektywy stosowanej przez malarza w niektórych obrazach.

Są domysły, hipotezy i eksperymenty, twardych dowodów brak, bo żadne elementy takiej machinerii, którą miałby wykorzystywać Vermeer, do dziś się nie zachowały. Jednak czy gdyby faktycznie mistrz tak sobie pomagał, to zmieniłoby to w jakiś sposób nasz podziw? Nie sądzę, nie mamy wszak pretensji do Leonarda da Vinci, że zanim zabierał się do malowania, oddawał się matematycznym igraszkom, żmudnie szkicując proporcje postaci i całych dzieł. Wystawa Vermeera w Rijksmuseum dobiegła końca, lecz do końca odkrywania tajemnic holenderskiego mistrza jeszcze daleko. Podobnie jak do odkrywania tajemnic współczesnych galerii i muzeów. Thomas Hoving, były dyrektor Metropolitan Museum Of Art., twierdzi (cytuję za książką Franka Wynne'a), że 60 proc. dzieł oferowanych jego placówce „było nie tym, czym wydawały się być". Wedle innych szacunków dwie piąte obrazów trafiających na sprzedaż w prestiżowych domach aukcyjnych to falsyfikaty. Ciekaw więc jestem, co o zawartości epokowej wystawy Vermeera w Rijksmuseum powiedzą badacze i muzealnicy za 100 lat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b9f5f2ba9a

Z Karoliną Prewęcką, dziennikarką i pisarką
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Papcio Chmiel od kuchni

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Czy Henryka Jerzego Chmielewskiego można określić mianem domatora?

KAROLINA PREWĘCKA: Tytuł książki „Papcio Chmiel udomowiony" wydaje się sugerować, że jej bohater został przypisany do domu, najprawdopodobniej własnego. Można przypuścić, że nawet zmuszony do pobytu w nim. Tymczasem lubił swój dom jako miejsce twórcze, bo całe jego życie i każde miejsce, gdzie przebywał, wiązało się z dążeniem, aby coś z niego ciekawego, kreatywnego wydobyć dla siebie. Był zatem domatorem w momentach, kiedy wpływał na wygląd domu i jego funkcjonowanie. Gdy zapełniał go samodzielnie – choć przy dużym wsparciu żony – wykonywanymi meblami albo gromadził w nim sztukę ludową.

Popularne kojarzenie domatora z osobą, która w domu zajada posiłki, ogląda telewizję czy śpi tak długo, jak tylko się da, nie ma nic wspólnego z Chmielewskim. Nie lubił typowych codziennych rytuałów. Święta też wolał obchodzić po swojemu. A został „udomowiony", jak głosi tytuł książki, dzięki wspomnieniom swoich dzieci, Monique Chmielewskiej-Lehman i Artura Chmielewskiego, które poprosiłam, by odsłonili rodzinną stronę oblicza taty.

Ożenił się z wdową?

Kilkunastoletni Heniek Chmielewski wstąpił do 70. Warszawskiej Drużyny Harcerskiej. Tam poznał Staszka Kazberuka. Kiedy wybuchła wojna, obaj zdecydowali się na konspirację i wstąpili do AK. Wiosną 1944 r. Staszek ożenił się z 18-letnią Hanką Śliwińską, pełną wdzięku córką właściciela stolarni. Heniek był świadkiem ich ślubu w warszawskiej katedrze św. Jana. Zrobił im pamiątkowe zdjęcia. Kilka miesięcy później, w czasie powstania warszawskiego, Staszek zginął. Hanka straciła większość rodziny. Sama znalazła się w obozie Bergen-Belsen. Do Warszawy wróciła w 1947 r. i wraz z ocalałym bratem zamieszkała w ruinach przy ulicy Grzybowskiej. Tam odnalazł ich Heniek. Wtedy ludzie szukali siebie, chcieli być razem, tworzyć rodziny, żyć na nowo i zasypywać wojenne wspomnienia. Heniek był zachwycony urodą i osobowością Hanki, ona dostrzegła w nim człowieka wrażliwego i odpowiedzialnego, więc choć brat odradzał jej ten związek, wkrótce się pobrali. Papcio po latach powiedział, że pamiętnego dnia, wiosną 1944 r., przez myśl mu nie przeszło, że robiąc ślubne zdjęcia Staszkowi, fotografuje swoją przyszłą żonę.

Małżeństwo trwało ponad dwie dekady.

I tylko, i aż. Dlaczego „tylko"? Hanka i Heniek tworzyli ładną parę. Widać to na zdjęciach z przełomu lat 40. i 50. zamieszczonych w książce. Córka Monique wspomina, że pierwszy obraz rodziców, jaki ma przed oczami, to dwoje obejmujących się ludzi. Akurat wkręcali w domu żarówkę i postanowili się przytulić. Mama nieustająco inwestowała nie tylko w dzieci i dom, lecz także w męża. Zachęciła go do pójścia na Akademię Sztuk Pięknych. Starała się, by pozbył się kompleksów – a jednym z nich był niewysoki wzrost – by uwierzył w siebie, że jest utalentowany i do tego przystojny. Dlaczego „aż"? Hanna Chmielewska, jak wspominają dzieci, była bardzo zdolna, pięknie szyła, dekorowała dom, wspaniale gotowała. Chodziła na wywiadówki, słuchała zwierzeń dojrzewających dzieci, miała dla nich wskazówki. Musiała też troszczyć się o ich zdrowie, bo oboje mieli trudne w leczeniu dolegliwości. Papcio natomiast skupiał się na swojej twórczości, a każdą wolną chwilę zamieniał w zabawę, w którą wciągał Monique i Artura. Pani Hanna często czuła się niedoceniana przez męża, aż stało się to dla niej tak dużym obciążeniem, że postanowiła zmienić życie. Na zaproszenie koleżanki wyjechała do Stanów Zjednoczonych i tam została. Monique miała wtedy 20 lat, Artur – 15. Rozwiodła się z Papciem i wyszła za mąż za oceanem.

Papcio Chmiel w roli ojca się sprawdził?

Znów trudno o jednoznaczną odpowiedź. Był ojcem niezwykłym, co Monique i Artur uświadomili sobie w wieku szkolnym. Wcześniej myśleli, że tatusiowie są standardowi. Aż tu nagle okazało się, że rysowanie komiksów wcale nie jest powszechnym zajęciem. Poza tym nie wszyscy tatusiowie robią dla swoich dzieci kostiumy do domowych przedstawień teatralnych ani nie każą obserwować faz Księżyca. Papcio w interesujący sposób edukował dzieci, kształtował w nich niezależność i wyobraźnię. Ponadto, o czym mówią Monique i Artur, brakowało im taty rozumiejącego ich dziecięce i młodzieńcze rozterki. „Żadne nasze problemy nie docierały wtedy do taty, bo nie miały docierać" – wspomina Monique. Wynikało to także z decyzji mamy. Tata miał być skupiony na pracy i zapewniać rodzinie byt.

Miał jakieś nałogi i pasje?

Na nałogi brakło mu czasu. Nie palił i nie pił alkoholu. Papierosy uważał za produkt szkodliwy i śmierdzący. Trunki przeszkadzałyby mu w wymyślaniu historyjek do komiksu i systematycznym rysowaniu. „Świat Młodych", w którym publikowane były odcinki „Tytusa…", ukazywał się dwa–trzy razy w tygodniu. Kolejne księgi i albumy wiązały się z gigantycznym, powiedzielibyśmy dziś, researchem. Autor nasycał je informa-

eprasa.pl b9f5f2ba9a

cjami z historii, geografii, astronomii, technologii…

Natomiast pasji miał wiele. Uwielbiał podróżować, poznawać inne społeczności i kultury. Był w zachodniej Afryce, Indiach, wielokrotnie w Stanach Zjednoczonych. Kolekcjonował wytwory kultury materialnej ludu polskiego. Interesował się tzw. sztuką naiwną. Zaskoczyło mnie, że interesował się tkactwem. Przypatrywał się, jak gobeliny wykonuje jego córka, i spróbował sam. W innym stylu, ale z wielkim zacięciem. Rozsmakował się w tej technice i nawet dopuszczał w niej abstrakcję, której generalnie nie lubił.

Sport cenił jedynie w praktyce?

Uprawiał amatorsko kilka dyscyplin, ale nie odnajdywał się w grach zespołowych. Wolał dyscypliny indywidualne, boks, jazda czy skoki na nartach. Jeśli w pobliżu nie znajdował górki, a akurat miał ochotę skoczyć choć na odległość kilku metrów, to był w stanie samodzielnie usypać wzniesienie. Gimnastykował się niemal do końca życia. Spacerował wzdłuż Wisły. Potrzebę dbałości o tężyznę fizyczną przekazał swoim dzieciom. Nie krył jednak rozczarowania z powodu futbolowych marzeń syna. Po latach wnuk Papcia, Lucas, osiąga sukcesy w tenisie, młodszy Marcus – w piłce nożnej. Obu uwielbiał. Jako dziadek pozbył się krytycznego spojrzenia na futbol.

Dlaczego w jego wyglądzie i ubiorze zaczęły pojawiać się elementy ekstrawagancji?

Artur tak to ujmuje: „W PRL-u płaszcze były tylko szare, garnitury też. Wszystko szare i wszędzie szaro, padał nawet szary deszcz. I w tej szarości idzie sobie ulicą facet w fioletowych spodniach i żółtej koszuli, z długimi bujnymi włosami i równie długimi dziwnie przystrzyżonymi wąsami – i to jest mój ojciec!". Sam się strzygł, sam dobierał ubrania. Kolorami, wzorami, formami, w które się przyozdabiał, wyrażał siebie, ale w ten sposób też zwracał uwagę innym, w tych siermiężnych czasach, że trzeba się od nich dystansować. Takim barwnym ptakiem została też Monique. Sama kreuje swój oryginalny wizerunek.

Pracownia służyła bohaterowi książki również w charakterze garsoniery tudzież pied-à-terre?

Do pracowni na strychu domu przy ulicy Naruszewicza na warszawskim Mokotowie wędrował codziennie z pobliskiego mieszkania. Powstawały w niej „Tytusy…", ale plastyk stworzył tam też miłą dla siebie przestrzeń. Gromadził śmieszne pamiątki z podróży. Miał też całe zaplecze do funkcjonowania: łóżko, lodówkę, małą łazienkę. W czasach, kiedy telefony były luksusem, posiadał go właśnie tam. Państwo Chmielewscy musieli wybrać, czy aparat będzie zainstalowany w mieszkaniu i skorzysta z niego cała rodzina czy w pracowni. I bez dyskusji z domownikami Papcio zdecydował o telefonicznej lokalizacji. Zmusił rodzinę do korzystania z osiedlowego aparatu znajdującego się na parterze sąsiedniego bloku.

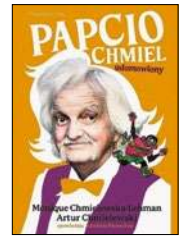

Czemu dystansował się od środowiska plastycznego?

Po pierwsze, wszedł w nie w czasach obowiązywania w sztuce realizmu socjalistycznego, a nie interesowała go propaganda, którą wybrało wielu jego kolegów z ASP. Po drugie, oni pili przy każdej okazji, a on musiał utrzymać rodzinę i nie mógł sobie pozwolić na hulanki. Warszawskie kluby artystyczne omijał z daleka i śmiał się, że nieudolnie kopiują paryskie lokale. Utrzymywał kontakty z nielicznymi artystami, Szymonem Kobylińskim i Zbigniewem Lengrenem. Pierwszego cenił za wiedzę historyczną, drugiego – za rodzaj dowcipu. Z grona grafików w „Świecie Młodych" szanował Mieczysława Kościelniaka. Opowiadał dzieciom o wojennej przeszłości tego artysty. Uwięziony w Auschwitz na bieżąco – w postaci szkiców – dokumentował wydarzenia obozowe. Podczas wspólnej pracy w redakcji podziwiał lapidarność jego kreski.

Aktywność wykazywał za to w gronie kombatanckim…

Utrzymywał kontakty z gronem kolegów z konspiracji, powstania warszawskiego, zwłaszcza z formacji, do której należał – 7. pp AK „Garłuch". Na spotkania powstańców projektował zaproszenia. Jego autorstwa jest okładka książki o tym oddziale. Mobilizowała go każda inicjatywa związana z upamiętnieniem powstania. Wziął udział w konkursie na pomnik ku czci powstańców. Otwarcie Muzeum Powstania Warszawskiego stanowiło dlań wydarzenie przełomowe. Namalował mural powstańczy. Był w jury konkursu na komiks o tym zrywie niepodległościowym. Jego syn twierdzi, że za swoje najważniejsze dzieło uważał album „Tytus, Romek i A'Tomek jako warszawscy powstańcy 1944".

Stolicę nosił w sercu od urodzenia do zgonu…

Urodził się w kamienicy na Starym Mieście, którą po zniszczeniach wojennych wchłonął Barbakan. Dlatego Papcio chwalił się, że „urodził się w Barbakanie". Wychował się w zaułkach staromiejskich. Podglądał życie różnych środowisk. Notował w pamięci, potem w notesie, charakterystyczne powiedzonka warszawiaków. Wykorzystywał je w komiksach. Znał miasto doskonale, zwłaszcza Mokotów. Wcześniej, będąc młodym małżonkiem, znalazł przystań na Pradze, przy placu Szembeka. Podczas spacerów z dziećmi opowiadał im o starej Warszawie, ale był jednocześnie ciekawy jej przyszłości. Bacznie przyglądał się zmianom w architekturze i w komunikacji miejskiej.

Jak potoczyły się losy progenitury plastyka?

Monique i Artur zacumowali w Kalifornii. Do Stanów Zjednoczonych pojechali w latach 70., do mamy. Monique została artystką, autorką gobelinów, które są w wielu miejscach publicznych oraz w kolekcjach prywatnych. Wspiera młodych polskich artystów. Artur to inżynier. Jest nazywany „naszym człowiekiem w NASA". Pracuje w JPL – Laboratorium Napędu Odrzutowego tej agencji. Kierował kilkoma misjami kosmicznymi. Wybory zawodowe dzieci Papcia Chmiela odzwierciedlają jego złożoną osobowość.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Karolina Prewęcka
– absolwentka UW, dziennikarka i pisarka, autorka książek: „Mag. Stefan Ossowiecki", „Mela Muter. Gorączka życia", „Bohdan Łazuka. Przypuszczam, że wątpię", „Stanisława Celińska. Niejedno przeszłam" i najnowszej „Papcio Chmiel udomowiony".

eprasa.pl b9f5f2ba9a

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

HBO max

Profesor ma dość

★★★★★☆
SEZON 1
„SZCZĘŚCIARZ HANK" („LUCKY HANK")
USA 2023

wyst. Bob Odenkirk, Mireille Enos, Diedrich Bader

Żona pomału oddala się od Hanka, córka ma go w nosie, z ojcem jest skłócony. W pracy też kiepsko: dziekan chce wywalić połowę wydziału, a studenci powiadomili prasę, że ich profesor angielskiego niespecjalnie ceni ich, kadrę oraz miejsce, w którym wszyscy się znajdują. William Henry (Hank) Deveraux wpada w kłopoty szybciej, niż nadąża je liczyć; to już nie kryzys wieku średniego, to katastrofa.

Serial „Szczęściarz Hank" (dostępny u nas w HBO Max, ale to produkcja AMC) powstał na podstawie powieści Richarda Russo „Prawy człowiek" (polskie wydanie 1999). Tytuł na potrzeby streamingu zmieniono, nawiązując do „Jima szczęściarza", czyli klasycznej brytyjskiej powieści akademickiej Kingsleya Amisa. Słusznie, bo dzieło Russo (w obu wersjach) też do tego gatunku należy. Pisarz ma szczęście do ekranizacji. Jego najsłynniejsza powieść „Koniec Empire Falls" zamieniła się w dwuczęściowy film dla HBO (2005), a książka „Naiwniak" – w kinowy film Roberta Bentona pod tym samym tytułem (1994), z oscarową nominacją dla Paula Newmana. W „Szczęściarzu Hanku" świetną kreację tworzy Bob Odenkirk. Bohater, którego gra, został skrojony idealnie pod jego talenty: przemądrzały, rozgadany, skwaśniały, irytujący, a zarazem wzruszający i nieustannie tęskniący za nieuchwytnym „czymś więcej". Reszta obsady też sprawia się świetnie, od Mireille Enos (żona Hanka), Olivii Scott Welch (córka Hanka), do Kyle'a MacLachlana jako rektora Railton College.

Z początku zdaje się, że to tylko kolejna satyra akademicka, ale warto oglądać dalej, „Szczęściarz Hank" zamienia się w opowieść o bliznach, którymi bezwiednie naznaczają nas rodzice, o wymaganiach, które sami sobie stawiamy, i o trudnej sztuce żegnania się z (niektórymi) marzeniami. Opowieść przypomina powieści Johna Updike'a, ale tamten był bardziej gorzki; przywodzi na myśl „Biały szum" Dona DeLillo, który jednak był bardziej ekscentryczny. Russo tymczasem jest po stronie swoich bohaterów, ma dla nich wiele empatii i pozwala dojrzeć właściwą drogę. Hank porzuci lęk przez egzystencjalną pustkę, gdy wskutek serii kryzysów dostrzeże, że to, co w życiu ważne i dla czego warto żyć, miał wokół siebie od samego początku. ©℗

NOWE SERIALE: „WYSTAWIENI"

CANAL+ ONLINE

Pandemia dobiegła końca, ale perypetie zamkniętych w kwarantannie londyńskich aktorów – nie. W pierwszym sezonie David Tennant i Michael Sheen zmagali się z traumą pandemii, w drugim – próbowali zmonetyzować swój pandemiczny show, w trzecim zaś wracają do przerwanych przez COVID-19 prób wystawienia sztuki Pirandella, dokładając do całej zabawy jeszcze jedną warstwę metafikcji. Gościnnie pojawiają się m.in. Olivia Colman, Neil Gaiman czy Jim Broadbent. ©℗ ***Piotr Gociek***

- *sezon 3* ***„Wystawieni" („Staged")****, Wielka Brytania 2022*

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *sezon 1* ***„Warszawianka"****, Polska 2021* — sky SHOWTIME
- *miniseria* ***„Tajna inwazja" („Secret Invasion")****, USA 2023* — Disney+
- *miniseria* ***„W powietrzu" („Hijack")****, USA 2023* — atv+

eprasa.pl b9f5f2ba9a

Hucuł i fatum

KINO

Leonid, bokser i przemytnik z północnej Bukowiny sporządniał i pracuje w Polsce. W domu jest rzadkim gościem, ale usilnie namawiany przez rodzinę zgadza się zostać do końca karnawału. Ten odruch serca będzie go drogo kosztował: z każdym dniem coraz bardziej grzęźnie w błocie, dosłownym i metaforycznym. Bo na Ukrainie uczciwie się nie dorobisz. Chcesz dom spłacić – musisz wrócić do szmuglu. Stanisław Vincenz, twierdząc, że Huculi są jak starożytni Grecy, miał rację. Pożar miejscowego domu modlitwy uruchamia sekwencję zdarzeń, nieuchronnie prowadzących do tragedii w stylu Sofoklesa. Czasy, gdy chłop przyłapany na kontrabandzie dawał stróżowi prawa w łapę i miał spokój, minęły. Monopol na działalność w szarej strefie gospodarki przyznała sobie organizacja, która solistów nie toleruje, kupić zaś lub zastraszyć może każdego. Z wyjątkiem Leonida, który, jak na górala przystało, duszę ma rogatą, wadzi się z samym Panem Bogiem, praktykuje kult przodków oraz pogańskie zwyczaje. Trafiony casting to więcej niż połowa sukcesu: nie ma w tym filmie postaci, która wygląda czy zachowuje się w sposób nienaturalny, od wioskowej rozpustnicy do szefa bukowińskiej mafii. Dla Rosjan to zła wiadomość: Ukraińcy nie dość, że istnieją, to jeszcze mają czelność aspirować do miana narodu kulturalnego.

Wiesław Chełminiak

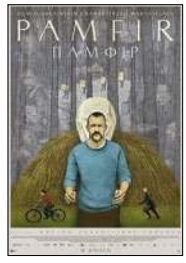

★★★★★☆

REŻ. DMYTRO SUCHOŁYTYKYJ-SOBCZUK
„PAMFIR"
UKRAINA/FRANCJA/POLSKA 2022

wyst. Ołeksandr Jacentiuk, Stanisław Potiak, Sołomija Kyryłowa

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

POCIĄG DO ŚMIERCI

HBO max

Brad Pitt jak Tom Cruise tuż przed osiągnięciem wieku emerytalnego nie zwalnia tempa. Wsiada do superekspresu jadącego z Tokio do Kioto, by ukraść walizkę jednego z pasażerów. „Prostą robótkę" komplikuje to, że towarzyszami podróży są zawodowi kilerzy z całego świata. Brad, występujący tu pod ksywą Biedronka, jest oczywiście zwolennikiem pokojowych rozwiązań i zabija wyłącznie niechcący (co jako pechowcowi często mu się zdarza). Tylko obecność stanowczego konduktora powoduje, że hekatomba odbywa się na raty. Rzecz idealna na upały, jako że nie angażuje szarych komórek. Wystarczy znać wczesną twórczość Quentina Tarantino i Guya Ritchiego, by poczuć się jak w domu. No chyba że kogoś drażnią gadatliwi kryminaliści, a nonszalancji nie uważa za cnotę. „Bullet Train" miał rozbić bank i to mu się udało, więc należy się spodziewać recydywy. John Wick i Czarna Mamba już czekają na peronie. ©℗

★★★☆☆☆

REŻ. DAVID LEITCH
„BULLET TRAIN"
USA 2022
wyst. Brad Pitt, Aaron Taylor-Johnson, Brian Tyree Henry

WUDU BOND

Rakuten

Ósma przygoda agenta 007 nie ma dobrej prasy. Głównie z powodu rasizmu. W tym filmie prawie wszyscy Murzyni są źli i wyznają voodoo. W dodatku czarnoskóry Mr. Big to typ pozbawiony ambicji. Nie chciał panowania nad światem, interesowała go zaledwie dominacja na amerykańskim rynku handlu heroiną. Dziś taki scenariusz ani chybi wylądowałby w koszu. Pół wieku temu priorytety były inne. Moore, debiutujący w roli Bonda, nie małpował Connery'ego. Uzbrojony w autoironię i łobuzerski wdzięk wolał cygara od papierosów i bourbon z wodą od wódki z martini. Lepiej od poprzednika wyglądał w smokingu, mówił po angielsku bez szkockiego akcentu i nie miał nic przeciwko muzyce Beatlesów. Dodajmy do tego najpiękniejszą z dziewczyn superagenta, przechadzkę po krokodylach oraz ruchomą podłogę nowojorskiej restauracji Filet z Duszy. Ciekawostka: na polskie ekrany film trafił ze skromnym, 27-letnim poślizgiem. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. GUY HAMILTON
„ŻYJ I POZWÓL UMRZEĆ" („LIVE AND LET DIE")
WIELKA BRYTANIA 1973
wyst. Roger Moore, Yaphet Kotto, Jane Seymour

GRA TYGODNIA: „THE LORD OF THE RINGS: GOLLUM"

Pomysł na uczynienie Golluma główną postacią gry uważam za bardzo dobry. Sméagol budzi skrajne emocje – od obrzydzenia i niechęci do współczucia i sympatii. Jest z czym pracować i wokół czego snuć opowieść. Co z tego, że pomysł dobry, skoro wykonanie... Ech, nie jest to nawet średniak. To po prostu bardzo słaba gra. Pełna irytujących błędów, niedopracowana, brzydka. I do tego nietania. Szukając plusów, należy przyjrzeć się postaci głównej z dobrym voice actingiem w rozmowach obu jego alter ego. Całość to niestety bardziej Gollum niż Sméagol. ©℗ ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★☆☆☆☆

- ***Gatunek:*** *Przygodowa, skradanka*
- ***Platforma:*** *XSX, XONE, PS5, PS4, NS, PC*
- ***Producent; wydawca:*** *Daedalic Entertainment*

eprasa.pl b9f5f2ba9a

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Moja krew

Zwielu powodów warto sięgnąć po „Dziennik inwazji" Andrieja Kurkowa, jednego z najbardziej popularnych na świecie pisarzy ukraińskich. Sławę przyniósł mu „Kryptonim »Pingwin«" (1996). Czytelnicy pokochali tę nietypową powieść kryminalną za sprawą pingwina właśnie, którego bohater książki przygarnął z bankrutującego zoo w Kijowie. Na ich perypetie nakładał się przerażający raczej obraz ukraińskiej stolicy rządzonej przez mafie, niepotrafiącej pozbyć się komunistycznego balastu.

Po wydaniu w Polsce „Kryptonimu »Pingwin«" w 2004 r. przeprowadziłem z Kurkowem wywiad dla „Rzeczpospolitej". Pozostał mi po nim obok autografu zabawny autorski rysunek pingwina i słowa pisarza o tym, czym dla niego, etnicznego Rosjanina, jest Ukraina. Dziś wróciły do mnie one za sprawą „Dziennika inwazji", w którym ten urodzony w 1961 r. w małej miejscowości Budogoszcz w okręgu leningradzkim mężczyzna przypomina: „W mojej rodzinie tylko ja jestem obywatelem Ukrainy. Żona urodziła się w Surrey, ona i nasze dzieci są poddanymi korony brytyjskiej. W 1988 r. w czasie odwilży wprowadzonej przez Gorbaczowa, po 9 miesiącach nachodzenia sowieckich biur paszportowych, pozwolono mi na wyjazd z ZSRR i podróż do Londynu na nasz ślub. To długa historia warta osobnej książki, ale będzie musiała poczekać na napisanie. Ukraina stała się domem dla mojej żony i naszych dzieci".

Jego dziadka zabili Niemcy w czasie drugiej wojny światowej. Zginął niedaleko Charkowa, gdzie spoczywa w masowym grobie. „Nad nim – pisze Kurkow – rosyjscy żołnierze ponownie zabijają ukraińskich cywilów w kolejnej wojnie". I ze smutkiem stwierdza, „że po tej wojnie, kiedy dzieciom zaproponuje się w szkole naukę języka rosyjskiego, będą stanowczo odmawiać i mówić: »Rosjanie zabili mojego dziadka!« albo »Rosjanie zabili moją młodszą siostrę!«. Na pewno do tego dojdzie. I to w kraju, gdzie połowa populacji mówi po rosyjsku i w którym mieszka kilka milionów etnicznych Rosjan, ludzi takich jak ja". Ale to już nie ma najmniejszego znaczenia: „Horror przeniknął nasze naczynia krwionośne, żyły, nerwy, kości i mięśnie. Horror na dobre zagościł w umysłach i ciałach Ukraińców. Wszystko, co jest rosyjskie, budzi teraz jedynie nienawiść". Z językiem i kulturą włącznie, a może przede wszystkim.

„Dziennik inwazji" wyszedł spod pióra pisarza, a nie propagandysty, stąd znajdujemy w nim ustępy zgoła nieoczywiste. Zwraca uwagę np. stosunek autora do otaczanego, nie tylko w Polsce, wręcz bałwochwalczym uwielbieniem prezydenta Zełenskiego. W 2022 r. Kurkow zapisał np.: „Rosyjscy politycy nieustannie twierdzą, że Ukraina jest w stanie wojny domowej, a nie wojny z Federacją Rosyjską. Jeśli w Ukrainie jest jakaś wojna domowa, to najprawdopodobniej między obecnym prezydentem i jego poprzednikiem. Takie konflikty stały się czymś w rodzaju tradycji w przypadku ukraińskich polityków, tylko teraz ta polityczna wojna domowa jest prowadzona na tle rosyjskich przygotowań do prawdziwej konfrontacji zbrojnej z Ukrainą. I choć Ukraina najwyraźniej szykuje się do agresji Rosji, to czasami wygląda to tak, jakby dla obecnego prezydenta wojna z Poroszenką pozostawała sprawą priorytetową".

Ale naprawdę, co było przyczyną obecnej wojny? Odpowiedź jest najprostsza z możliwych. Było to „pragnienie Putina, żeby odtworzyć zjednoczone terytorium – replikę nieistniejącego Związku Radzieckiego. Przez 20 lat powtarzał jak mantrę: »Ukraińcy i Rosjanie to jeden naród«, przez co rozumiał, że »Ukraina należy do Rosji«. Ukraińcy się z tym nie zgadzają". I już.

To Putin posunął się do stwierdzenia, że Ukraina została wymyślona przez Lenina, co Kurkowa i zdumiewa, i oburza. Niemniej przyznaje on, że żyjemy w czasie „selektywnej" historii. Czy to ta „selektywność" każe mu informację o tym, że przetrzymywanych w monastyrze na Kozielszczyźnie, w obwodzie połtawskim, 5 tys. oficerów polskich przewiezionych następnie do Starobielska, rozstrzelano, opatrzyć zdaniem: „Nigdy nie znaleziono na to dowodów"? A może to daleko posunięta ostrożność, bo o niewiedzę pisarza nie podejrzewam. Jak i nie uważam, by zdanie: „Polska, z którą ma ona [Ukraina] wiele nierozwiązanych problemów z przeszłości, odłożyła na bok pretensje…" było do końca prawdziwe. Zwłaszcza że, jak przypominam sobie we wcześniejszym „Dzienniku ukraińskim", sięgającym do czasów pomarańczowej rewolucji, Andriej Kurkow wspominając masakrę wołyńską, brał ją w cudzysłów.

Ale za najważniejszy w „Dzienniku inwazji" uważam przedstawiony przez Kurkowa obraz pól Ukrainy, kraju chleba i pszenicy. Zostały one „pokryte krwią. Krwią rosyjskich żołnierzy, którzy nie wiedzieli, o co walczą, krwią ukraińskich żołnierzy i cywilów, którzy rozumieli, że jeśli nie staną do walki, to Ukraina przestanie istnieć. Zamiast niej powstanie cmentarz z chatką ciecia i jakiś gubernator generalny przysłany z Rosji będzie tu siedział i jej pilnował". ©℗

★★★★☆

ANDRIEJ KURKOW „DZIENNIK INWAZJI"
NOIR SUR BLANC, WARSZAWA 2023

eprasa.pl b9f5f2ba9a

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Dzień buntu

Drobniutka książka, ale bardzo intensywna. Proza i esej jednocześnie; gatunek nieważny, bo literatura to wyśmienita. „Jego ojca powieszono. Spadł w pustkę niczym wór z ziarnem. Trzeba go było nieść nocą na ramieniu, a on milczał, miał usta wypełnione ziemią. Potem wszystko zaczęło płonąć. Dęby, łąki, rzeki, przytulia na zboczach pagórków, nieurodzajna ziemia, Kościół – wszystko. Miał 11 lat". Tak swoją medytację o losach Thomasa Müntzera rozpoczyna Éric Vuillard, autor znany z „Porządku dnia" (Nagroda Goncourtów 2017).

Opowieść o rewolucji w imię Chrystusa, wyzwaniu rzuconym właściwie wszystkim, bo kroczący drogą radykalizmu duchowny ze wszystkimi się skłócił i wszystkim naraził, wychodzi od faktów, ale Vuillarda bardziej interesuje to, czego nie wiemy. Wypełnia więc swoimi domysłami białe plamy biografii Müntzera trochę tak, jak Rymkiewicz czyni to w swoim cyklu o Mickiewiczu.

Zarazem nie jest to biografia, lecz próba zastanowienia się nad duchem epoki: Czy krwawy bunt był nieunikniony? (wspomnijmy tragiczne losy powstania chłopskiego, które Müntzer wywołał). Nie jest nowością budowanie linii przyczynowo skutkowej, wspominając następstwo buntowników: Jan Wiklef, John Ball, Wat Tyler, Jan Hus, wreszcie Thomas Müntzer. Od odebrania Biblii łacinie, przez wezwanie, by Bóg możnych i biedaków był tym samym Bogiem, do próby zbrojnego zaprowadzenia Królestwa Bożego na naszym padole.

W tym objaśnianiu mechanizmów historii podąża Vuillard śladami Kautsky'ego i Marksa, sprawiając, że mam ochotę wykpić ten wywód słowami z komedii „Rozmowy kontrolowane", w której na pytanie, czy do stanu wojennego musiało dojść, pada odpowiedź: „Musiało, skoro doszło". Jednocześnie bezlitosny jest dla swego bohatera, bo radykalizm księdza buntownika ukazany jest od pewnego momentu jako czyste szaleństwo. Co nie unieważnia problemu: Jak sprawić, by potężni i bogaci nie żerowali na biednych i słabych?

Doceniając pasję fenomenalnie napisanej książeczki, myślę jednak: jakże wybiórcza jest fiksacja na przyczynach krzywdy maluczkich. Nie broniąc grzesznych klechów i nieludzkich panów, można wszak zapytać: A czy biedak w dawnym Egipcie, Rzymie, Persji, Chinach, Indiach cierpiał mniej? Może ktoś jeszcze w dziejach ludzkości jest winien, oprócz papieży, królów i kardynałów. To takie pytanie dziś staje się herezją. ©℗

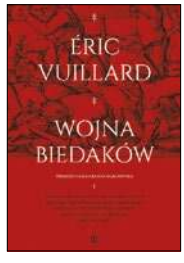

★★★★★☆
ÉRIC VUILLARD „WOJNA BIEDAKÓW" WYDAWNICTWO LITERACKIE 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Co jest kontynuacją, a co nową obsesją Putina? Od wojny rosyjsko-japońskiej, przez kres caratu, rewolucję i dwie światowe wojny, Związek Sowiecki, aż do trwającej już niemal dwie dekady ery Siergieja Ławrowa.

MICHAŁ PATRYK SADŁOWSKI „DZIEJE NAJNOWSZEJ DYPLOMACJI ROSYJSKIEJ" ZONA ZERO

Za młodu aktywna działaczka Związku Niemieckich Dziewcząt, który wchodził w skład Hitlerjugend. Po latach gorliwa katoliczka demaskująca mechanizmy uwiedzenia narodu przez Führera.

RENATE FINCKH „ONI OBIECALI NAM PRZYSZŁOŚĆ" OFICYNA WYDAWNICZA ATUT

Ateistka, feministka, skandalistka, która inspirowała Rushdiego, Ballarda czy Martina Amisa. Wybór opowiadań autorki prowokującej, drażniącej, lecz obdarzonej olbrzymim talentem literackim.

ANGELA CARTER „PIĘKNA CÓRKA KATA" WYDAWNICTWO CZARNE

Popkultura eksploatuje bezlitośnie motywy i wierzenia nordyckie, ale o tym, jak wyglądają u źródła, wiemy niewiele. Lukę wypełnia filolog z UŚ, opowiadając prozą i współczesnym językiem.

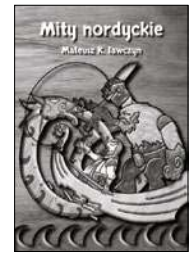

MATEUSZ K. SAWCZYN „MITY NORDYCKIE" WYDAWNICTWO SBM

KOMIKS TYGODNIA: „PHIL"
Komiksowa biografia Philipa K. Dicka wysnuta z bogatej literatury przedmiotu – o twórcy „Ubika" napisano przecież bardzo wiele. Fani pisarza oraz znawcy jego życiorysu pojmą wszystko w lot, dla laika rzec może okazać się nieco hermetyczna, bo skompresowano tu mnóstwo informacji, nie zawsze tłumacząc ich kontekst. Jest to jednak udany hołd dla genialnego fantasty, który fantastyki nie cenił, a mimo to, używając tego gatunku, stał się klasykiem prozy XX stulecia.

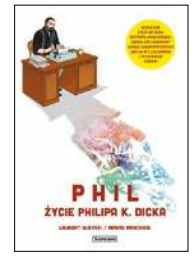

LAURENT QUEYSSI, MAURO MARCHESI „PHIL: ŻYCIE PHILIPA K. DICKA" SCREAM COMICS 2023

eprasa.pl b9f5f2ba9a

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Dziecko w sztuce

Dziecko. Kłopot, przeszkoda, opresor. Dekonstruktor, burzyciel, dewastator poukładanego życia. Hamulcowy kariery. Obowiązek, od którego nie sposób się uwolnić już do końca życia. Zbiór wad, zero zalet. W takim świetle przedstawia się często rodzicielstwo. Kuratorzy wystawy „Życie ukryte. Dziecko w polskiej sztuce współczesnej" potraktowali dziecko jako temat afirmatywny, co – jak podkreślają – nie jest wcale częste w sztuce współczesnej.

FOT. CSW ZAMEK UJAZDOWSKI

Nie dostajemy wyłącznie sielanki. Podnoszone są tematy najcięższe. Choćby temat śmierci, upominającej się o swoje na różnych etapach życia – jeszcze w łonie matki, na dziecięcym oddziale onkologicznym, w wieku dojrzałym. W tym ostatnim przypadku widzianym z perspektywy dziecka mierzącego się ze stratą rodziców. Dorosłego, ale przecież zawsze ich – osieroconego właśnie – dziecka.

Na wystawie zebrano prace ponad 40 artystów tworzących od okresu polskiej transformacji ustrojowej do dziś. Nawiązanie do zrealizowanej w 1917 r. w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie wystawy „Dziecko w sztuce", próba zainicjowania dyskursu o najmłodszych. ©℗

GDZIE? ***Warszawa, CSW Zamek Ujazdowski***
KIEDY? ***do 16 lipca***

FOT. MNWD

PODRÓŻ ŁUKASZOWCÓW

Odzyskany przez Polskę cykl siedmiu obrazów Bractwa św. Łukasza pierwszy raz po powrocie do kraju pokazano w Muzeum Narodowym w Warszawie. Obrazy będą elementem ekspozycji stałej powstającego na warszawskiej Cytadeli Muzeum Historii Polski. Na razie podróżują. Obecnym przystankiem jest Kazimierz Dolny. Powstały jako dekoracja pawilonu polskiego na Wystawie Światowej w Nowym Jorku w 1939 r. Wróciły dopiero w ubiegłym roku, po 83 latach. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Nadwiślańskie w Kazimierzu Dolnym***
KIEDY? ***do 6 sierpnia***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Amerykańskie mity

Nasz Walijczyk dobrze się czuje, kiedy u boku ma wyrazistego muzycznego partnera lub partnerkę. Agata Karczewska posiada równie „styrany" głos jak znacznie starszy od niej Porter. Jej śpiew nie tylko dominuje na płycie, lecz także jest jej największym atutem. Agata zaistniała w 2017 r. dzięki udziałowi w programie „Idol". Dwa lata później wydała solowy album, który wprawdzie nie odniósł sukcesu komercyjnego, ale ona stała się jedną z najbardziej wyrazistych wokalistek na naszej scenie. Wspólnie z Johnem nagrała album, który można zaszufladkować do kategorii Americana. Jest to styl szalenie popularny za oceanem, a łączący alternatywne brzmienia z tradycją amerykańskiej muzyki popularnej.

Słuchając płyty, mam przed oczami amerykańskie filmy drogi o wyjętych spod prawa, którzy trafiają do złych miejsc o złym czasie. Z angielskich tekstów wyławiamy słowa magnesy: desert, whiskey, devil, highway… Gitary przyjemnie rzężą, westernowe klimaty pojawiają się i znikają, tempo się zmienia… Wszystko to już słyszeliśmy, ale w czasach dominacji syntetycznego popu i mdławych wokalistek chce się słuchać tej płyty. Dodając do tego świetną produkcję nagrań, wydaje się, że mamy album idealny. Problem w tym, że w USA takich albumów wychodzi rocznie kilkanaście. Dlatego chciałoby się posłuchać na tej płycie choćby jednej piosenki po polsku. ©℗

★★★★☆

PORTER/ KARCZEWSKA „ON THE WRONG PLANET" MYSTIC

★★★★☆

PAT METHENY „DREAM BOX" MODERN RECORDINGS

Dziewięć utworów na gitarę elektryczną, nagranych przez Metheny'ego podczas trasy koncertowej w 2022 r. Wśród nich jest sześć oryginalnych kompozycji, dwa standardy i jeden cover. Jako całość są to wysublimowane medytacje wokół pięknych melodii. ©℗

★★★★★

JAN EMIL MŁYNARSKI & BRASS FEDERACJA „NARKOTYKI" TOINEN

Jan Emil w retrojazzowym stylu wykonuje piosenki, w których zawód miłosny doprowadza do nałogów. Płytę rozpoczyna alkoholowy duet lidera i Ani Rusowicz. Potem mamy haszysz czy nikotynę, ale tak naprawdę narkotykiem Młynarskiego są te przedwojenne piosenki. ©℗

eprasa.pl b9f5f2ba9a

Terapia, bunt i psychotropy

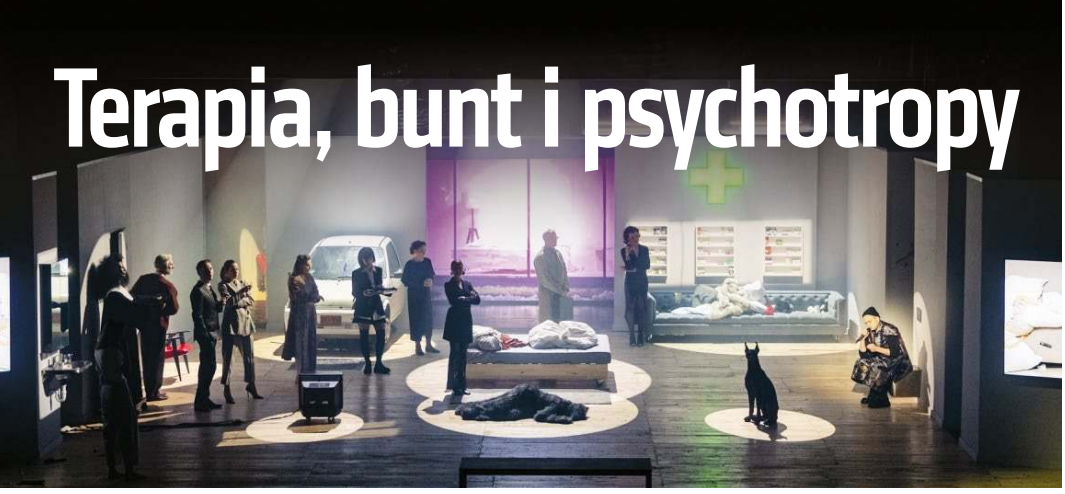

FOT. MONIKA STOLARSKA

Grzegorz Kondrasiuk

Jak wiadomo, wszystkie warte uwagi zagraniczne filmy i seriale dzieją się w Nowym Jorku, a te polskie – w Warszawie. Ich bohaterowie, w krótkich przerwach pomiędzy romansami i podążaniem tropem tajemnicy, chodzą do pracy, czyli do banku, sądu, korporacji albo do galerii sztuki współczesnej. Potem wracają do swoich loftów, zamyśleni sączą drinka, patrząc na nocny pejzaż z drapaczami chmur, albo leczą swoje smuteczki, myśląc o nadchodzącym urlopie gdzieś w Toskanii

Polski teatr, który groszem nie śmierdzi, lubi to. Kanapy, lampy, biurka i szafki w estetyce minimal – da się to kupić na wyprzedażach, a potem ustawiać wielokrotnie, w kilku wariantach, meblując pejzaż wewnętrzny współczesnych bohaterek i bohaterów. Niedawno tym tropem lokalizacyjnym i scenograficznym podążyła Katarzyna Minkowska, w Teatrze Dramatycznym Miasta st. Warszawy inscenizując bestsellerowe amerykańskie czytadło Ottessy Moshfegh pt. „Mój rok relaksu i odpoczynku". Rzecz warta omówienia, bo po pierwsze, wciąż grana przy zainteresowaniu publiczności i zapowiedziana w repertuarze wakacyjnym, po drugie – właśnie tą premierą otworzyła swoją dyrekcję w Dramatycznym Monika Strzępka, dyrekcję tak ponoć kontrowersyjną i zaangażowaną. Także dlatego, że pokazuje mało wiarygodną pozycję, z której swoje przemyślenia o świecie głoszą twórcy z nurtu sztuki zaangażowanej i aktywistycznej. Strzępka, wkraczając do jednego z największych warszawskich teatrów z hukiem i z posągiem pozłacanej waginy (nadal stojącym w foyer), swój program postanowiła rozpocząć sezonem „Reanimacji". Ma być to czas na terapię, jakże potrzebną w świecie patriarchalnej przemocy, i na zwrot w stronę ciała („holistycznego myślenia o zdrowiu, integracji ciała i umysłu"), oraz „ciała Ziemi, organizmu, który tworzą wszystkie ożywione i nieożywione istoty".

Pierwsza premiera sezonu to adaptacja powieści o młodej, inteligentnej, wrażliwej Amerykance, absolwentce Columbia University (historia sztuki). Niosąc ciężar dorastania w pokręconej, pozbawionej miłości rodzinie, bez sukcesów zawodowych, ogólnie rozczarowana światem – postanawia na rok wycofać się z życia, zażywając ogromne ilości psychotropów. Tyle fabuła, zaadaptowana pomysłowo, ale dość wiernie przez Minkowską. Ma ona reżyserską łatwość montażu, kreowania wciągającej, mocno zapośredniczonej w języku filmowym, narracji. I tak płynie ironiczna, obyczajowa komedyjka, świetnie zresztą zagrana, z co najmniej dwoma znakomitymi rolami – głównej bohaterki (Izabella Dudziak) i jej matki (Katarzyna Herman). Zapewne w końcu ta forma ześlizgnęłaby się w telenowelę, gdyby nie mocna, efektowna, długa sekwencja choreograficzna (Krystyna Lama Szydłowska), zgrabnie wmontowana w opowieść jako psychotropowy trip.

Jednak to tylko zagadnienia formalne, atrakcje. „Trainspotting" ogląda się świetnie, owszem, ale na pierwszym roku studiów. Pozostaje pytanie: Jak można ten spektakl przeczytać w Polsce w roku 2023? I jak go połączyć z sezonem terapeutycznej reanimacji i z teatrem zaangażowanym? Przecież to takie proste. Poprzez wybór tego tytułu (i bombastyczny esej z programu spektaklu, rozdawany w zabawnym pudełku imitującym opakowanie po lekach) twórcy perorują: uzależnienie od leków i wycofanie się z życia głównej bohaterki nie jest decyzją jednostki. To głęboki akt niezgody, buntu wobec kapitalistycznego świata opartego na zasadach rodzinnej i zawodowej przemocy, świata nadprodukcji. Można by było się z tym zgodzić i poczuć zew niezgody wobec takiego porządku świata, w drodze do restauracji po udanym wieczorze spędzonym w Dramatycznym, gdyby nie jeden maleńki szczegół. Akt buntu jest finansowany ze spadku po rodzicach, sprytnie zresztą zorganizowany w ramach hochsztaplerskiego eksperymentu nowojorskiego konceptualisty, wewnątrz cynicznej ekonomii rynku sztuki. Finał najpełniej ujawnia w istocie reaktywny (liberalny?) przekaz: rok spania i ćpania za pieniądze po rodzicach, a później sprzedajemy odziedziczony po nich dom i jak gdyby nigdy nic wracamy do świata, lecząc melancholię oglądaniem taśm z samobójcami wyskakującymi z wież WTC.

Niezły żart, serwowanie tego rodzaju diagnoz widowni Dramatycznego, oddającej specyficzny miks społeczeństwa warszawskiego. Mieszczański teatr Moniki Strzępki, bezpretensjonalny i cyniczny, podparty przywilejem ekonomicznym – może tak należałoby opisać aktualny program Dramatycznego? Czyżby Warszawa pokazywała siebie, bo siebie tylko lubi i najlepiej zna? A może Warszawa – i ogólnie świat – jest zupełnie czymś innym? ©℗

TEATR DRAMATYCZNY IM. GUSTAWA HOLOUBKA W WARSZAWIE
OTTESSA MOSHFEGH, „MÓJ ROK RELAKSU I ODPOCZYNKU"
REŻYSERIA: KATARZYNA MINKOWSKA
CHOREOGRAFIA: KRYSTYNA LAMA SZYDŁOWSKA
PREMIERA: 8 GRUDNIA 2022 R.

eprasa.pl b9f5f2ba9a

FOT. ADOBE STOCK

Walka na ruskie onuce

Łukasz Warzecha

W „Balladzie o Dzikim Zachodzie" Wojciech Młynarski śpiewał: „Bo czasami najtrudniej jest rozpoznać bandytę, gdy dokoła są sami szeryfi". Taki efekt wywołuje tropienie na każdym kroku rosyjskich wpływów i onuc

„To wy jesteście sojusznikami Putina!".
„A nieprawda, bo wy jesteście bardziej!".

Tak wygląda polska „debata" o rosyjskich wpływach pomiędzy dwoma głównymi siłami politycznymi na niecałe cztery miesiące przed wyborami, przy trwającej za naszą wschodnią granicą wojnie. Żenujące obrzucanie się onucami sprawia, że o rzetelnym przeanalizowaniu kwestii rosyjskich wpływów na polską politykę – z pewnością obecnych – możemy zapomnieć przynajmniej na kilka lat. Winne są temu obie strony. Biorąc pod uwagę okoliczności, jest to skrajna nieodpowiedzialność.

U podstawy tej walki na onucyzm leży fundamentalna manipulacja. Polega ona na utożsamieniu z rosyjskimi wpływami tego, co jest jedynie kwestią poglądów. Możliwe, że błędnych, ale to nie znaczy, że świadomie służących obcym interesom. Dotyczy to zarówno decyzji politycznych, jak i opinii wygłaszanych w sferze publicznej, bo walka toczy się przecież nie tylko pomiędzy politykami, lecz także w mediach, pomiędzy komentatorami.

Na takiej manipulacji opiera się koncepcja komisji do spraw badania rosyjskich wpływów, a prezydencka nowelizacja niczego w tej kwestii nie zmienia. Nadal pojęcie „działania na szkodę interesu RP" pozostaje do całkowicie arbitralnego zdefiniowania przez członków komisji. Tak więc o tym, co jest zgodne z interesem Rzeczypospolitej, a co nie, będzie dowolnie decydować oraz orzekać poprzez decyzję administracyjną dziewięcioro członków tego gremium, mianowanych przez większość sejmową. Tam, gdzie powinien trwać zwykły spór polityczny, będziemy mieli ferowane prawem kaduka quasi-wyroki.

DWIE KOMISJE?

Jakie są skutki takiego podejścia? Spójrzmy na dwa przykłady, którymi obie strony okładają się po głowach. Pierwszy to polityka słynnego resetu w relacjach z Moskwą, na który postawiła PO po dojściu do władzy w 2007 r. Pierwszym krokiem tego resetu było praktycznie bezwarunkowe odblokowanie przez Polskę negocjacji Rosji o przystąpienie do OECD. Wiceminister spraw zagranicznych Jan Borkowski w ten sposób uzasadniał polskie posunięcie w 2008 r.:

„Z punktu widzenia Polski przystąpienie Rosji do OECD przyniesie wymierne korzyści. Zostanie stworzona dodatkowa płaszczyzna konsultacji w sprawach gospodarczych, która umożliwi państwom członkowskim wskazywanie na zachowania Rosji niezgodne ze standardami OECD podczas regularnych przeglądów gospodarczych tego państwa na forum organizacji. Ponadto akcesja FR do organizacji stworzy możliwość (poprzez mechanizm OECD) wpływania na kierunki i tempo przemian gospodarczych w Rosji oraz umożliwi pozyskiwanie dodatkowych informacji na temat sytuacji gospodarczej (a także uwarunkowań politycznych) w tym kraju".

Czy faktycznie wynikły z tego jakiekolwiek korzyści w wymianie handlowej z Rosją? Rosja wielokrotnie blokowała później pod dętymi pretekstami import polskich produktów. Natomiast, ogólnie rzecz biorąc, pozytywnych efektów polityki łagodzenia – jednostronnego – relacji z Rosją nie było praktycznie żadnych. Czy to automatycznie oznacza, że polskie władze działały „pod wpływem rosyjskim", jak sugeruje najnowszy serial TVP? Oczywiście – nie. To znaczy jedynie, że pro-

eprasa.pl b9f5f2ba9a

wadziły z gruntu błędną politykę, opartą zapewne na błędnych przesłankach. Nie po raz pierwszy w polskiej historii. Niestety, autorzy seriali założyli, że to, co w ich oczach jest błędne, automatycznie powstało z rosyjskiej inspiracji.

Przykład z drugiej strony: poszukiwanie przez PiS sprzymierzeńców w UE wśród partii nastawionych sceptycznie do obecnego kursu, a zarazem w mniejszym lub większym stopniu – ale jednak – sprzyjającym Rosji, zwłaszcza przed 24 lutego. To jeden z podstawowych zarzutów i „dowodów" na stanie przez PiS po stronie Rosji, które przedstawia „demokratyczna" opozycja. Zarzut jest w oczywisty sposób absurdalny: polityka może wymagać zawierania przymierzy w jakiejś sprawie z organizacjami lub państwami, z którymi nie zgadzamy się w innych kwestiach. Z Niemcami łączy nas przecież wiele wspólnych interesów, ale też wiele dzieli. To PO była największym zwolennikiem bliskiego przymierza z Berlinem, w czasie gdy ten bardzo mocno sprzyjał Moskwie. Czy należy z tego wysnuć wniosek, że Donald Tusk działał pod wpływem rosyjskim i był „onucą"? Gdyby przyjąć obecny sposób argumentacji KO, tak należałoby uznać.

Na komisję tworzoną przez PiS – bo raczej żadna inna siła swoich przedstawicieli do niej nie będzie próbowała typować – Koalicja Obywatelska chciałaby ewentualnie odpowiedzieć własną komisją senacką, chociaż decyzja w sprawie jej utworzenia jeszcze nie zapadła. Inna sprawa, że nie ma tu konkretnych podstaw prawnych. Istnieje ustawa z 1999 r. o sejmowej komisji śledczej, ale nie o komisji senackiej. Jaki więc miałaby ona mandat do wzywania przed swoje oblicze na przykład szefów służb – trudno powiedzieć. Najważniejsze natomiast jest, że nie chodzi tu znowu o żadne rzetelne badanie wpływów, a jedynie o zagrywkę wizerunkową.

FATALNE ŚWIADECTWO DLA SŁUŻB

Aktywność tropicieli rosyjskich wpływów po stronie sprzyjającej władzy rośnie odwrotnie proporcjonalnie do poziomu relacji z Ukrainą. Można postawić tezę, że od czasu wizyty prezydenta Zełenskiego w Polsce ich poziom systematycznie spada. Widać to i w incydentach takich jak wypowiedź Antona Drobowycza, szefa UIPN, na temat ekshumacji ofiar wołyńskiego ludobójstwa i w bardziej konkretnych kwestiach, przede wszystkim dotyczących importu ukraińskich produktów rolnych do Europy. Jasne też staje się, że polskie firmy nie dostaną najmniejszych nawet preferencji w fazie odbudowy Ukrainy. W tej sytuacji skrajnie proukraiński kurs polskich władz połączony z bardzo przecież konkretnymi wydatkami (jeśli sam rząd koszty pomocy w pierwszym tylko roku wojny szacował na 50 mld zł, to można założyć, że do dziś jest to kilkadziesiąt miliardów więcej) staje się coraz trudniejszy do obrony i uzasadnienia, a dotychczasowe działania jawią się jako, najdelikatniej mówiąc, skrajnie lekkomyślne. Szafowanie oskarżeniami o powielanie rosyjskiej narracji staje się w tej sytuacji sposobem na zamknięcie dyskusji na ten temat i obronę przed oskarżeniami o marnowanie naszych zasobów.

Spróbujmy tutaj jednak odwrócić argument o uleganiu rosyjskim wpływom, czym tropiciele onuc chcieliby tłumaczyć każdy atak na obowiązkowo skrajnie proukraiński kurs: Czy w przypadku takiego właśnie kursu i takiej polityki możemy mówić o wpływach amerykańskich? Może powinniśmy życzyć sobie powstania komisji, która zbada, czy politycy podejmujący decyzje o działaniach Polski po 24 lutego 2022 r. nie działali przypadkiem na szkodę polskiego interesu pod wpływem USA?

Nie, to oczywiście byłby nonsens, choć nikt nie może twierdzić, że takiego wpływu nie było. Jest jednak różnica pomiędzy wpływem – taki niewątpliwie wywierała amerykańska administracja, podobnie jak wywierał go Siergiej Ławrow podczas swoich licznych wizyt w Polsce za czasów Platformy – owocującym polityką, którą możemy uznać za błędną, a świadomym działaniem na szkodę własnego państwa w ramach współpracy z innym krajem. Od wykrywania tego ostatniego mamy zresztą w Polsce służby. Jeśli więc pan prezydent, ogłaszając podpisanie przez siebie ustawy o komisji do spraw badania rosyjskich wpływów, stwierdza, że chciałby się dowiedzieć, dlaczego Polska podpisywała w przeszłości jego zdaniem niekorzystne umowy energetyczne – to wystawia fatalne świadectwo służbom już w okresie rządów jego własnego obozu politycznego. Albo bowiem mieliśmy do czynienia po prostu z błędną polityką – a w takim razie najlepszym instrumentem do zbadania przebiegu procesu decyzyjnego byłaby zwykła sejmowa komisja śledcza – albo mieliśmy do czynienia z aktami szpiegostwa i sabotażu – a w takim wypadku do akcji już dawno powinny wkroczyć Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego i prokuratura.

WOLNOŚĆ SŁOWA

W „Balladzie o Dzikim Zachodzie" Wojciech Młynarski śpiewał:

Bo czasami najtrudniej jest rozpoznać bandytę,
Gdy dokoła są sami szeryfi.

Taki efekt wywołuje tropienie na każdym kroku rosyjskich wpływów i onuc. Najbardziej konsekwentna po stronie obozu władzy przeciwniczka powołania komisji do spraw wpływów, poseł Suwerennej Polski Anna Maria Siarkowska, tak właśnie uzasadniała swój sprzeciw: „Komisja na długo zamknie drogę do rzetelnego naświetlenia prawdziwego mechanizmu wpływania przez Rosję na polską politykę. Skoro wszyscy nawzajem wyzywają się od onuc i oskarżają o uleganie rosyjskim wpływom, to zarzut się dewaluuje, a opinia zaczyna go traktować jako nudny element politycznej nawalanki".

Dewaluacja zarzutu nie zmniejsza jednak zagrożenia dla wolności słowa czy debaty. Swoje kabaretowe „alerty dezinformacyjne" wciąż produkuje na akord minister Stanisław Żaryn, który pouczał już i recenzował politykę Pekinu, nasz tygodnik, a ostatnio Tuckera Carlsona. Wiceminister Paweł Jabłoński czy były prezydencki minister Jakub Kumoch szafują określeniem „prorosyjski propagandzista", nazywając tak każdego, kto ośmiela się podważać obowiązującą narrację. Jednak prawdziwa histeria łowców ruskich onuc wybuchnie prawdopodobnie dopiero, gdy sytuacja na Ukrainie wyraźnie zacznie obnażać wady dotychczasowego polskiego kursu. Co właściwie już się zaczęło. Sromotną klęskę polskiej strategii trzeba będzie czymś przecież przykryć, a najłatwiej będzie to zrobić, przekonując, że krytykować ją mogą tylko ci, którzy działają pod rosyjskim wpływem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b9f5f2ba9a

Paweł Chmielewski

W połowie czerwca Konferencja Episkopatu Polski ogłosiła wykonanie „kolejnego kroku na drodze pojednania polsko-ukraińskiego". 7 lipca przewodniczący KEP abp Stanisław Gądecki podpisze wspólne oświadczenie z abp. Światosławem Szewczukiem, który stoi na czele Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego. W centrum oświadczenia – jak wynika z komunikatu rozesłanego do prasy – ma stać „przebaczenie". Problem w tym, że podobnych inicjatyw było w ostatnich latach bardzo wiele i – jak dotąd – nie wynikało z nich dosłownie nic

Podpisanie stanowiska przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski abp. Stanisława Gądeckiego i zwierzchnika Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego abp. Światosława Szewczuka w sprawie dialogu i pojednania FOT. TOMASZ KUDALA/REPORTER

Ukraina to nie Niemcy

Inicjatywa arcybiskupów jest kontynuacją długiego procesu, rozpoczętego jeszcze za pontyfikatu św. Jana Pawła II. Sam papież Wojtyła odwiedził Ukrainę w 2001 r. i w homilii wygłoszonej we Lwowie wytyczył obowiązującą do dziś linię narracji, nacechowaną pewnym symetryzmem. Jan Paweł II mówił wówczas m.in. o „niewierności ewangelicznym zasadom", której dopuszczali się chrześcijanie „pochodzenia zarówno polskiego, jak i ukraińskiego". Takie zestawienie ogromu ludobójstwa popełnionego na Polakach przez Ukraińców z polskimi akcjami odwetowymi powinno budzić zastanowienie; w kręgach kościelnych jednak go, jak się zdaje, nigdy nie budziło. Już w 2005 r. KEP i reprezentacja ukraińskich grekokatolików opublikowały list utrzymany w podobnym duchu.

Szczególnie reprezentatywna była deklaracja, którą w 2013 r., w przededniu 70. rocznicy ludobójstwa, podpisali ówczesny przewodniczący KEP abp Józef Michalik, abp Światosław Szewczuk oraz arcybiskupi Jan Martyniak i Mieczysław Mokrzycki. Dokument skomponowany w bardzo dwuznaczny sposób, tak aby pozwolić ukraińskim nacjonalistom na jego interpretowanie w kluczu narracji „wzajemności" zbrodniczych działań.

„Spotykamy się w Warszawie, w przededniu obchodów 70. rocznicy zbrodni na Wołyniu, których symbolem stały się wydarzenia z 11 lipca 1943 r. Ofiarami zbrodni i czystek etnicznych stały się dziesiątki tysięcy niewinnych osób, w tym kobiet, dzieci i starców, przede wszystkim Polaków, ale także Ukraińców oraz tych, którzy ratowali zagrożonych sąsiadów i krewnych" – rozpoczynał się tekst arcybiskupów Michalika i Szewczuka. Kolejne akapity mówiły o stawaniu w prawdzie. Pytanie tylko w jakiej? Deklaracja cytowała słowa kard. Lubomira Huzara z 2001 r., który przepraszał za „zło wyrządzone swoim bliźnim z własnego narodu i innych narodów" przez „niektórych synów i córki Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego". Co to znaczy? Ukraińscy katolicy – i tylko oni – wyrządzili nienazwane po imieniu zło? I komu je wyrządzili? Wprawdzie abp Szewczuk przeprosił w kolejnych zdaniach „Braci Polaków… za zbrodnie", ale zaraz po nim abp Michalik przeprosił za… Polaków wyrządzających „zło Ukraińcom". Czy deklaracja z 7 lipca tego roku będzie miała podobnie symetrystyczny charakter? Można spodziewać się, że tak; w 2019 r. abp Stanisław Gądecki oraz abp Szewczuk ogłosili już wspólne stanowisko, nieróżniące się w wymowie od wcześniejszych dokumentów.

WARUNKI DOBREJ SPOWIEDZI

Z czego wynika taka postawa? Zarówno polska, jak i ukraińska strona kościelna chętnie odwołują się do hasła „przebaczamy i prosimy o przebaczenie" podsumowującego słynny list biskupów polskich do niemieckich z 1965 r.; list ten uchodzi przecież za symbol sukcesu. Problem jednak w tym, że – uczciwie patrząc – tzw. pojednanie polsko-niemieckie jest dalekie od doskonałości, a ponadto, z wielu powodów, nie może być wzorem dla budowy relacji z Ukraińcami.

Jest przecież, jak wiadomo, pięć warunków dobrej spowiedzi. Są to: rachunek

eprasa.pl b9f5f2ba9a

sumienia, żal za grzechy, mocne postanowienie poprawy, szczera spowiedź, zadośćuczynienie Panu Bogu i bliźnim.

Niemieckie elity polityczne, naukowe i kulturalne w roku 1965 do pewnego stopnia wypełniły część z tych warunków albo przynajmniej starannie to pozorowały. Mówiono otwarcie o większości zbrodni, do których się przyznawano, i wyrażano żal, obiecując, że nigdy do niczego podobnego nie dojdzie. Co jednak z tego, skoro zadośćuczynienia nie było i wciąż nie ma? Niemcy twierdzą, że mamy cieszyć się posiadaniem ziem zachodnich i członkostwem w Unii Europejskiej. Nasz kraj został zatem najechany, obrabowany i zniszczony, a ludność zdziesiątkowana; pojednanie w tym kluczu ma tymczasem polegać na przyjęciu ustnych przeprosin i zachwycaniu się teatralnymi gestami w stylu Willy'ego Brandta klękającego przed pomnikiem ofiar z getta warszawskiego. Trudno oprzeć się oczywistej konkluzji: mówimy o pojednaniu, bo tak jest wygodnie dla Niemców, a my nie mieliśmy dotąd siły, by zmusić silniejszego sąsiada do rzetelnego rozliczenia się ze swoich win. Być może to się zmieni (trwają w końcu zabiegi o reparacje), w każdym razie dotąd akceptowaliśmy brutalną rzeczywistość wyznaczaną przez obiektywne kryteria potęgi politycznej. Nie ma jednak żadnego powodu, by akceptować taką samą sytuację w przypadku Ukrainy: przecież to Kijów jest zależny od Warszawy, nie odwrotnie.

Poza tym – i to kwestia fundamentalna – Ukraińcy nie mają problemu z ostatnim warunkiem, czyli z zadośćuczynieniem. Mają problem już z pierwszym, z rachunkiem sumienia. Z perspektywy religijnej nie wolno tego bagatelizować. Ukraińska historiografia zaprzecza faktom, negując skalę i naturę ludobójstwa. Nie widać też szczerego żalu za grzechy, bo trudno o nim mówić, gdy Ukraińcy biją się w piersi, jednocześnie oskarżając Polaków o robienie „tego samego" co oni. Mocne postanowienie poprawy, gdy władze Ukrainy czczą przywódców OUN/UPA? Wolne żarty. Czy polscy biskupi w 1965 r. zdecydowaliby się na swój list do Niemców, gdyby ówczesne niemieckie elity nie tylko wypierały się odpowiedzialności za zbrodnie, lecz także upamiętniałyby jeszcze kierownictwo polityczne NSDAP i żądałyby od Polski stawiania pomników Wehrmachtowi? Sądzę, że nie, a coś podobnego robią dziś przecież Ukraińcy. Choćby ostatnio szef ukraińskiego IPN Anton Drobowycz uzależnił zgodę na ekshumacje od odnowy pomnika bojowników UPA na Podkarpaciu.

BRAK ADEKWATNOŚCI

Jest jeszcze jeden problem, który nie pozwala zestawić działania z 1965 r. z tym, co dzieje się dzisiaj. Polscy biskupi pisali wówczas do swoich niemieckich odpowiedników, którzy reprezentowali religijnie znaczną część społeczeństwa Niemiec. Arcybiskup Światosław Szewczuk, partner deklaracji z 2013 r. i planowanego dokumentu z 7 lipca tego roku, reprezentuje tylko niewielką mniejszość Ukraińców. Między rolą abp. Stanisława Gądeckiego w Polsce a jego odpowiednikiem na Ukrainie nie ma żadnej adekwatności; na płaszczyźnie realnych wpływów nie ma tutaj żadnej adekwatności.

Jest oczywiste, że do pewnego stopnia postawę Kościoła w Polsce można tłumaczyć polityką władz państwowych. W 1965 r. polscy biskupi, wyciągając rękę do biskupów niemieckich, działali w kontrze do władzy komunistycznej. Rozpoznali politykę PRL jako szkodliwą dla narodu i wobec braku legitymizacji tej polityki postanowili działać autonomicznie. Dziś sytuacja jest inna. Władze Polski, takie czy inne, mają mandat do reprezentowania polskiej wspólnoty narodowej. Zgodnie z artykułem 1 Konkordatu zawartego w 1993 r. Rzeczpospolita i Kościół są – każde w swojej dziedzinie – niezależne, ale współdziałają dla „rozwoju człowieka i dobra wspólnego". Jest oczywiste, że Konferencja Episkopatu nie powinna co do zasady prowadzić własnej polityki zagranicznej. Czy musi to jednak oznaczać bezkrytyczne żyrowanie ewidentnie szkodliwej polityki państwowej? Gdy w 2013 r. arcybiskupi Michalik i Szewczuk podpisywali nacechowane swoje oświadczenie, ówczesny prezydent Bronisław Komorowski mówił – i to w obecności abp. Szewczuka – o „bratobójczych starciach, opłacanych często potokiem krwi polskiej i ukraińskiej". Kościół i państwo zaprezentowały tę samą linię.

Nie wiem, czy deklaracji arcybiskupów Gądeckiego i Szewczuka będą towarzyszyć podobne oświadczenia prezydenta Andrzeja Dudy lub przedstawicieli rządu. Warto jednak zwrócić uwagę, że KEP może wykorzystać nowy punkt wyjścia, którego w 2013 r. nie było. W roku 2016 Sejm przyjął uchwałę „w sprawie oddania hołdu ofiarom ludobójstwa dokonanego przez nacjonalistów ukraińskich na obywatelach II RP w latach 1943–1945". W dokumencie mówi się jednoznacznie o ludobójstwie i wyraźnie wspomina się o tym, że wiele ofiar nie doczekało się godnego pochówku ani upamiętnienia. W ciągu minionych pięciu lat niewiele się w tej sprawie zmieniło, uchwała pozostaje w pełni aktualna. Wydawałoby się w pełni zasadne, gdyby Episkopat potraktował tę uchwałę jako swoistą ramę dla swojej inicjatywy. Z drugiej strony, jak wie każdy obserwator polityki rządu PiS, słowa różnią się od czynów: władze nie wywierają na Ukrainę żadnych skutecznych nacisków. Wydaje się zatem, że Episkopat, chcąc zachować się lojalnie wobec władz świeckich, może zatem wybrać dwie ścieżki: reprezentować bardziej zasadniczą, oficjalną linię wyznaczoną przez sejmową uchwałę, którą można byłoby określić mianem „państwowej", albo podjąć koncyliacyjną i symetrystyczną linię praktyczną, czyli „partyjną".

Biorąc to wszystko pod uwagę, można, jak sądzę, zastanawiać się, czy formuła „przebaczamy i prosimy o przebaczenie" powinna mieć w ogóle jakiekolwiek zastosowanie w przypadku Wołynia. Tym bardziej że polski naród nie żywi przecież do Ukraińców jakiejś szczególnej urazy. Po ataku Rosji na Ukrainę w lutym 2022 r. Polacy zaoferowali napadniętym olbrzymią pomoc. Nie ma w naszym społeczeństwie zaciętości, z którą należałoby walczyć. To, co jest potrzebne, to bardzo konkretne działania Ukraińców: porzucenie barbarzyńskiej polityki odmawiania zgody na ekshumacje, przyznanie się do zbrodni i jasne potępienie jej sprawców. Obawiam się, że koncyliacyjne i symetrystyczne deklaracje nie tylko nie pozwolą osiągnąć tych celów, lecz także raczej pogłębią problem, umacniając Ukraińców w przekonaniu o słuszności ich dotychczasowej polityki. Być może deklaracja z 7 lipca będzie jednak utrzymana w innym tonie, nazywającym ludobójstwo po imieniu. Czas pokaże.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl b9f5f2ba9a

Prezydent USA Joe Biden i jego syn – Hunter Biden

FOT. TERESA KROEGER/GETTY IMAGES

Burisma gate

Wojciech Golonka

Skandal w amerykańskiej polityce powoduje problemy w kampanii Joe Bidena, a Donaldowi Trumpowi daje wyborcze paliwo

W połowie czerwca prawicowe amerykańskie media, w tonie sensacji, donosiły o wycieku zeznań będących w posiadaniu FBI, obciążających urzędującego prezydenta Joe Bidena. Zeznania są niebłahe: chodzi o przyjęcie łapówki w wysokości 5 mln dol. od cypryjsko-ukraińskiego potentata gazowego Burisma, w którego radzie nadzorczej zasiadał onegdaj syn prezydenta, Hunter Biden.

Ten kolejny soczysty wątek dotyczący lukratywnej współpracy między klanem Bidenów a ukraińskimi oligarchami został ochoczo podchwycony przez obóz republikanów w dobie narastającej rywalizacji o odbicie Białego Domu. Ubiegający się o reelekcję i sam zresztą obecnie raz po raz borykający się z wymiarem sprawiedliwości na kanwie tej informacji Donald Trump zapowiedział, że jako prezydent powoła specjalnego prokuratora do zbadania wszelkich nieprawidłowości wokół Joe Bidena i jego rodziny. I choć wszystkie media ostrożnie podkreślają, że nieznana jest wiarygodność zeznań obciążających Bidena, który sam kwituje je śmiechem i machnięciem ręki, o ich istnieniu amerykańska opinia publiczna dowiedziała się jednak w sposób szczególny, a mianowicie dzięki „whistleblowerowi" z FBI, który przekazał tę informację republikańskim kongresmenom. Ci zaś wezwali FBI do zdania raportu z tej sprawy przed Kongresem i poinformowali o niej media.

INTERESY Z HOLDINGIEM GAZOWYM W TLE

Wokół Burismy i rodziny Bidenów było już w mediach głośno kilkakrotnie w ciągu ostatnich lat, aczkolwiek nie we wszystkich mediach – sprawa „laptopa Huntera Bidena", podsumowująca dotychczas cały wątek, była bowiem starannie cenzurowana w trakcie poprzednich wyborów prezydenckich, i to nie bez powodu. Media sprzyjające obozowi demokratów objęły omertą dość kuriozalną, acz możliwie brzemienną w skutkach informację: po tym, jak w Delaware, w miejscowości Bidenów, klient nie zgłosił się do serwisu po naprawiony laptop, zważywszy na jego nietypową zawartość, w 2020 r. serwis

eprasa.pl b9f5f2ba9a

przekazał urządzenie do FBI, a uprzednio zrobiona przezeń kopia twardego dysku trafiła do kręgu prawników prezydenta Trumpa. Oprócz robiących nieco tanią sensację zdjęć o konotacjach seksualnych z udziałem Huntera Bidena (tudzież jego podobizny) laptop zawierał m.in. jego domniemaną korespondencję e-mailową z zarządem Burismy, która rodziła pewne podejrzenia o korupcję samego Joe Bidena w czasie, kiedy był wiceprezydentem USA u boku Baracka Obamy (2009–2017).

Otóż Hunter Biden dołączył po rewolucji Majdanu, w kwietniu 2014 r. do rady nadzorczej ukraińskiego holdingu gazowego Burisma, której był członkiem do kwietnia 2019 r., otrzymując chwilami wynagrodzenie nawet do 50 tys. dol. miesięcznie. W jakim celu adwokat o bliżej nieznanych kompetencjach w branży energetycznej, ale o wielce rozpoznawalnym nazwisku i idących z tym koneksjach (adwokat w dodatku borykający się z alkoholizmem i uzależnieniem narkotykowym, które doprowadziły do rozpadu jego pierwszego małżeństwa) stał się, po przesileniu politycznym na Ukrainie, w którym rząd amerykański miał wyraźny udział, członkiem cypryjskiego (!) holdingu eksploatującego z powodzeniem ukraińskie złoża gazu?

Joe Biden twierdził, że nigdy nie poruszał z synem kwestii jego zagranicznej pracy biznesowej, dając do zrozumienia, że nie wykorzystywał swego ówczesnego wysokiego stanowiska politycznego na rzecz korzyści finansowych jego rodziny. Jednak z korespondencji z domniemanego laptopa Bidena wynikało, że zarząd spółki prosił Huntera o działania protekcyjne natury politycznej, w tym o umożliwienie spotkania z samym Joe Bidenem, za które następnie podziękowano. Abstrahując od prawdziwości tej korespondencji, jest niezaprzeczalnym faktem, że w czasie swego pobytu w Kijowie w grudniu 2015 r., będąc wiceprezydentem USA, Joe Biden, stawiając na szali pożyczkę miliarda dolarów ze strony USA, wymusił na ukraińskim premierze Arseniju Jaceniuku dymisję ówczesnego prokuratora generalnego Ukrainy Wiktora Szokina, badającego wątki korupcji wokół Burismy. Przynajmniej sam Joe Biden się tym chwalił, by przytoczyć jego wypowiedź z 2018 r.: „Spojrzałem na nich i powiedziałem: wylatuję za sześć godzin. Jeśli prokurator nie jest wywalony do tego czasu, to nie dostaniecie pieniędzy. Otóż wywalili skurwysyna".

Historia wielowątkowa i politycznie złożona: z korespondencji zarządu Burismy z Hunterem Biden miało wynikać, że Szokin, robiąc czystki po rządzie Wiktora Janukowycza (za którego prezydentury współzałożyciel i właściciel połowy Burismy Mykoła Złoczewski był najpierw ministrem środowiska i zasobów naturalnych (!), a następnie wicesekretarzem Rady Bezpieczeństwa Narodowego Ukrainy), miał gnębić Burismę celem uzyskania korzyści majątkowych na rzecz nacjonalistycznej partii Swoboda. Taką wersję poniekąd potwierdził sam Joe Biden, twierdząc, że był to człowiek „skorumpowany". Niemniej nikt nie jest sędzią we własnej sprawie, stąd pytanie:

Joe Biden twierdził, że nigdy nie poruszał z synem kwestii jego zagranicznej pracy biznesowej

Na jakiej podstawie wiceprezydent USA wymusił usunięcie z urzędu w obcym kraju prokuratora generalnego, który dreptał po piętach spółce, w której to w radzie nadzorczej zasiadał jego własny syn?

Poza Fox News w trakcie kampanii prezydenckiej w 2020 r. mainstreamowe media starannie uniknęły tego tematu i samej afery laptopa Huntera Biden, a media społecznościowe pokroju Facebooka i Twittera – wyszło to na jaw po zakupie tego ostatniego przez Elona Muska – głowiły się, jak ograniczać rozpowszechnianie informacji o aferze (cenzura prewencyjna), mogącej uderzyć wizerunkowo w kandydata demokratów.

NIEOCZEKIWANY ZWROT AKCJI

Te same, milczące wówczas media ochoczo zabrały głos w maju bieżącego roku, kiedy specjalna komisja Izby Reprezentantów w amerykańskim Kongresie, już pod wodzą republikanów, uznała, opierając się na przedstawionych przez FBI materiałach, że nie ma dowodów na korupcję ze strony ówczesnego wiceprezydenta Joe Bidena ani ze strony jego rodziny.

Nieoczekiwany zwrot akcji nastąpił jednak miesiąc później, kiedy kongresmani dowiedzieli się – za sprawą anonimowego informatora z tej rządowej agencji śledczej – o będących w posiadaniu FBI zeznaniach ze źródła bliskiego oligarchy Złoczewskiego, z których wynikało, że zarówno Joe Biden, jak i jego syn Hunter dostali obaj po 5 mln dol. wynagrodzenia (czytaj: łapówki) za usunięcie Szokina z urzędu oraz że Złoczewski zabezpieczył się 17 taśmami nagrań rozmów z Bidenami, z czego dwoma z samym Joe Bidenem.

Można zrozumieć wściekłość, a zarazem nową ofensywę części republikanów, którzy uważają, że zostali oszukani przez upolitycznione FBI, które nie przekazało im tego dokumentu do wglądu. FBI potwierdziło jednak istnienie zeznań obciążających Bidenów, tłumacząc dość enigmatycznie swą wokół nich dotychczasową dyskrecję, jak bowiem odpowiedział wicedyrektor FBI, grillowany na tę okoliczność przez republikańską senator Marshę Blackburn, dokumenty przekazane przez FBI były „edytowane celem ochrony źródeł informacji".

Czy ta enigmatyczna odpowiedź zarówno potwierdza wiarygodność źródła, jak i sugeruje realne zagrożenie mogące czyhać nad bliżej nieznanym światu, ale groźnym dla własnego otoczenia świadkiem? Poniekąd taką tezę można by wysunąć z innej, pokrewnej sensacji, rozdmuchanej przez Rudy'ego Giulianiego, bliskiego współpracownika i osobistego prawnika Donalda Trumpa, który w wywiadzie dla telewizji Newsmax twierdził, że amerykańska prokuratura federalna nie zdecydowała się na wnioskowane przezeń przesłuchanie głównej księgowej Burismy, która miała mieć wiedzę na temat dokonywanych przelewów, w tym o przelewach na konta obu Bidenów (zeznania w posiadaniu FBI twierdzą, że miał to być bardzo złożony system przelewów, praktycznie uniemożliwiający identyfikację odbiorców), a która w tym czasie zmarła w niewyjaśnionych okolicznościach. Miało chodzić o żonę byłego współwłaściciela Burismy, Mykoli Lisina, który zmarł w 2011 r.

Sensacja ta, wręcz bombowa dla bezkrytycznej części elektoratu Trumpa, poszła

eprasa.pl b9f5f2ba9a

zatem w świat, głównie w świat niszowych mediów internetowych i mediów społecznościowych, żyjąc dalej własnym życiem i przeinaczeniami, choć nikt nie był w stanie nawet podać z imienia i nazwiska rzeczonej księgowej ani kiedy i w jakich wątpliwych okolicznościach miała umrzeć.

W pewnym sensie samo wkroczenie na scenę Giulianiego, choć skutecznie dolało oliwy do ognia, równie dobrze stało się pewnym obciążeniem, gdy idzie właśnie o wiarygodność podanych informacji. Jeśli burmistrz Nowego Jorku w czasie zamachów z 11 września cieszył się onegdaj famą bohatera narodowego, a w młodości zdobył doświadczenie w prokuraturze federalnej, to jednak po klęsce wyborczej Trumpa, w batalii sądowej o unieważnienie wyborów w poszczególnych hrabstwach, pozostawił wyraźny posmak przerostu formy nad treścią, a z samej jego „treści" publika i tak najbardziej zapamiętała ciemny barwnik jego farbowanych włosów, spływający mu wraz z potem po twarzy podczas kolejnej już mającej dokonać „przełomu" konferencji prasowej.

KWAŚNIEWSKI Z BIDENEM

Chwilowy powrót na arenę pieniacza Giulianiego oczywiście nie znaczy, że podejrzenia wokół Burismy i Bidenów są bezpodstawne – pewien klucz do zrozumienia sprawy „po naszemu", czyli wedle realiów polskiej transformacji, gdzie wszystko było możliwe, dał, chcąc nie chcąc, już kilka lat temu Aleksander Kwaśniewski, który zasiadł z Hunterem Bidenem w radzie nadzorczej tej cypryjskiej spółki. Otóż w wywiadzie dla Associated Press w listopadzie 2019 r. były prezydent Polski prostodusznie stwierdził: „Rozumiem, że jeżeli ktoś proponuje, żebym był częścią jakiegoś projektu, to nie tylko dlatego, że jestem taki dobry, lecz także dlatego, że jestem Kwaśniewskim, byłym prezydentem Polski. Bycie Bidenem nie jest złe. To dobre nazwisko". Z kolei w kontekście prowadzonego onegdaj śledztwa wobec Burismy przyznał on, że firma „miała trudną przeszłość, ponieważ przeszłość wszystkich dużych firm na Ukrainie – mówiąc dyplomatycznie – jest bardzo skomplikowana". Nie aż tak bardzo jednak, żebyśmy nie zrozumieli z kilku podanych już faktów, że firma, która doznała bardzo dużego wzrostu w latach, kiedy jej współwłaściciel nadzorował eksploatację ukraińskich złóż jako minister prorosyjskiego rządu, a następnie awansował do wierchuszki krajowej bezpieki, po rewolucji majdanowej okazał się należytą przezornością i dokooptował do rady nadzorczej swego holdingu nie tylko zespół mogący dać rękojmię o jego pełnej gotowości do współpracy zarówno z Zachodem, jak i Amerykanami (a trudno o lepszą rękojmię takiej postawy niż Aleksander Kwaśniewski, były komunista, za którego prezydentury panowie z Langley najwyraźniej robili w Polsce, co chcieli, z tajnymi więzieniami CIA włącznie), lecz także mogący posłużyć za skuteczny piorunochron po przesileniu politycznymi mogącym, obok zwrotu o 180 stopni w polityce zagranicznej, przetasować także dotychczasowy układ sił między ukraińskimi oligarchami. Pod tym względem zatrudnienie Huntera Bidena czy Devona Archera, zaufanego człowieka Johna Kerry'ego, również bliskiego współpracownika prezydenta Obamy, był strzałem w dziesiątkę. Zatrudniając podobne postacie, Złoczewski inwestował w związane z nazwiskiem koneksje, to oczywiste, a wszystko się zmieniało po to, aby wszystko mogło pozostać po staremu, cytując klasyka.

Pokazanie palcem na przeciwnika jako umoczonego w aferę pozwala Trumpowi poprawić swój wizerunek

W samym tym fakcie, choć godzącym w transparentność amerykańskiej polityki i budzącym kontrowersje, nawet polityczni przeciwnicy polityczni Joe Bidena w osobie republikańskich kongresmenów summa summarum nie dopatrzyli się korupcji i to mimo faktycznego wyrzucenia z urzędu przez Bidena ukraińskiego prokuratura generalnego. Niemniej kolejne poszlaki, niezależnie od ich nieznanej nam na razie wiarygodności, stały się kulą u nogi dla Joe Bidena w chwili, kiedy przyszłoroczna kampanii prezydencka zapowiada się jeszcze bardziej zażarta niż ta z 2020 r.

Po pierwsze, sam wątek, z racji na kaliber zarzutów, będzie rzeczywiście wymagał niezależnego zbadania (jeśli takowe jest w ogóle możliwe z racji wzajemnej stronniczości), stąd republikanie będą mogli jeszcze przez chwilę podgrillować ten osobliwy temat. Po drugie, informacja ta jest tlenem dla Donalda Trumpa, który sam jest pod ostrzałem wymiaru sprawiedliwości, z różnych powodów. Choć stara się on to pozytywnie wykorzystywać – i rzeczywiście w roli prześladowanej ofiary świetnie konsoliduje swój betonowy elektorat – choć bez wątpienia, z perspektywy czasu, a także w porównaniu z Bidenem Trump ma prawo do polowania na czarownice (by wspomnieć wybrzmiałe po całym świecie oskarżenie medialne, na podstawie poszlak FBI!, o współpracę z Rosją, które okazało się post factum wierutną bzdurą) – to jednak pokazanie palcem przeciwnika jako umoczonego w gigantyczną aferę korupcyjną pozwala, oprócz drenowania jego poparcia, nieco poprawić swój własny wizerunek w takim zestawieniu.

Po trzecie, informacja ta wzbudzi teorie spiskowe, mające nawet pewną zasadność, bo przecież wypuszczanie podobnych kaczek z FBI równie dobrze może być początkiem podmiany kandydata w obozie demokratów (którymś tam z kolei, patrząc na historię podobnych teorii), który dotychczas według sondaży nie miał szans w ponownym starciu wyborczym z Donaldem Trumpem. Nie twierdzę przy tym, że amerykańska demokracja dopiero w ostatnich latach stała się areną politycznych skandali, zarzutów o korupcję, obrzucania się błotem – wystarczy obejrzeć świetny (mimo patosu i idealizmu reżysera) film Franka Capry, „Pan Smith jedzie do Waszyngtonu" z 1939 r., do tego stopnia fabularnie ilustrującego korupcję w amerykańskim Kongresie, że władza obawiała się jego emisji w dobie drugiej wojny światowej. Chaotyczna implozja, izolacjonistyczne skupienie się na wewnętrznych bolączkach tudzież niebezpieczna ucieczka do przodu – radykalna degradacja jedności politycznej w USA nie wróży nic dobrego, a tym jest właśnie sytuacja, w której połowa wyborców w USA ma tendencję do postrzegania swych współziomków za faszystów i terrorystów białej supremacji, ci drudzy zaś, rewanżując się pięknym za nadobne, do postrzegania w nich jedynie popleczników zboczeń i złodziejstwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b9f5f2ba9a

Eksperyment na ludziach

Jerzy Karwelis

Na początku jest wygoda, technologia pomaga, ale tworzy to gotowe narzędzia do selekcjonowania ludzi, kontroli ich zachowań, dostępu do „nowej normalności". Nie inaczej jest w przypadku nowego pomysłu Elona Muska

Zacznijmy od jednostkowego faktu. FDA, amerykańska agencja odpowiedzialna za dopuszczanie terapii, leków, a także eksperymentów naukowych do oficjalnego obiegu, właśnie wydała zgodę firmie Neuralink, będącej własnością Elona Muska, na niecodzienny eksperyment. Chodzi o badanie chipa wszczepionego w ludzki mózg, za pomocą którego człowiek może sterować komputerem czy maszyną. Intencją jest deklarowana pomoc ludziom niepełnosprawnym, którzy mogą tym samym zniwelować część swoich ograniczeń. Tyle szlachetna teoria, ale jest to bardziej znak niż fakt.

Z LUDŹMI MOŻNA

Sama decyzja FDA jest kontrowersyjna, ale kontrowersje w jej wykonaniu już dawno nie dziwią po tym, jak wykazała się bezkrytycznym dopuszczeniem do publicznego obrotu szczepionek covidowych. Bo to ta sama instytucja. Chodzi o to, że Musk do tej pory badał te chipy na świniach, owcach i małpach. Co dziwne, okazało się, że dopuścił się wielu nieprawidłowości, które kosztowały niepotrzebne cierpienia i zgony zwierząt zakwalifikowanych do tego eksperymentu. Ma to nawet być objęte osobnym śledztwem, mimo tego jednak… dopuszczono obecnie rozszerzenie tego eksperymentu na ludzi. Należy mieć nadzieję, że jednak w trybie polepszonych procedur.

Zwierzaki męczono tam podobno z powodu nacisków samego Muska, który chciał przyspieszyć badania, ponieważ rezultaty eksperymentów na zwierzętach otwierały dopiero właściwą formalną furtkę do przejścia z próbami na ludzi. Ponieważ miliarderowi się spieszyło do tej końcowej fazy, naciskał na laboratorium, by jak najszybciej skończyć etap eksperymentu na zwierzętach, by móc przejść do fazy właściwej. Stąd te nieprawidłowości. I teraz mamy paradoks – badania na zwierzętach były zrobione źle, a więc przechodzimy do badań na ludziach.

ZNAKI

Wydawałoby się, że jest to tylko kolejny news, który może ekscytować jedynie entuzjastów technicznych nowinek. Niestety, tak nie jest. Najpierw wyjaśnię, „dlaczego" tak nie jest, później – dlaczego „niestety". Nie jest to tylko odosobniony fakt, etap rozwoju jakiejś kolejnej koncepcji technologicznej kreatywnego i ekscentrycznego miliardera. To następny krok ku rewolucyjnej zmianie, dotykającej istoty rewolucyjnej transformacji świata, polegającej na przemianie istoty człowieczeństwa. Mowa o transhumanizmie.

Z pozoru wydaje się to ciekawe, inspirujące i optymistyczne. Na razie odłóżmy tę taktyczną osłonkę, że tu – w przypadku Muska – chodzi o pomoc niepełnosprawnym. To zasłona. Bo któż będzie stawał w poprzek idei ulżenia ich losowi? Tu chodzi o grubszą sprawę, też wydającą się – i bez tych inkluzywnych trików – atrakcyjnym nowym poziomem rozwoju ludzkości. Idea transhumanizmu, choć ewoluowała w różne strony, obecnie jest postawiona na koncepcji nie tylko ulżenia losom niepełnosprawnych, lecz także rozszerzenia ludzkich możliwości za pomocą najnowszych technologii, ze szczególnym naciskiem na skrócenie komunikacji człowiek – maszyna, aż do zlania się tego tworu w jedno.

Omawiany przykład Neuralinku już pokazuje pewne niebezpieczeństwa, a to dopiero początek realizacji założonej już na lata drogi. Na tym etapie mamy bowiem koncepcję interface'u, czyli sterowania przez człowieka maszyną samą myślą. Wygląda niewinnie i pomocnie. Ale przyjrzyjmy się szczegółom. Po pierwsze, sam chip. Ja za czasów COVID widziałem wiele przymiarek do chipowania ludzi i wcale nie był to koncept płaskoziemny, tylko jak najbardziej oficjalnie rozważany, a prace, głównie po stronie zastosowania „doświadczeń" chińskich ze społecznym kredytem, dokonań paszportów szczepionkowych w śmiertelnym duecie WHO – Unia Europejska, zmierzają ku realizacji. A więc jak będzie chip, to dlaczego nie miałby służyć nie tylko do komunikacji, lecz także do zbierania informacji, by można było zobaczyć kto zacz. Zmyślam? Ale właśnie WHO i UE podpisały porozumienie, że będą wdrażać międzynarodowy paszport szczepionkowy limitujący przemieszczanie się osobom niezaszczepionym. Tak, tą szczepionką na koronawirusa, którego koniec właśnie ogłosiła WHO, nie mówiąc już o jej skuteczności, tym bardziej o bezpieczeństwie. Czemu nie włożyć tego wszystkiego w chipa i nie mieć sprawy z głowy?

Po drugie, samo sterowanie. Niby fajnie, że tak sobie pomyślisz tylko, a maszynka zacznie fikać, jak zechcesz. (Trzeba będzie wtedy uważać na tzw. głupie myśli, bo maszyna je z miejsca wykona). Ale czemu to tylko ma działać w jedną stronę? Jeśli można przerabiać impulsy mózgu

eprasa.pl b9f5f2ba9a

na rozkazy, to jaki kłopot odwrócić ten proces? I kto wtedy będzie sterował kim? Mamy przecież obecnie wysyp spekulacji dotyczących SI, czyli sztucznej inteligencji. Na razie jest to na poziomie gadżetu, że ktoś tam w rozmowie zagiął tę sztuczną inteligencję, bo ta wie tyle, co z Internetu, a tam mamy sam szlam. Ale to nie tu jest sedno, że sztuczna inteligencja ma zastąpić człowieka w call center, by sobie pogadać. Tu chodzi o wprzęgnięcie jej w procesy decyzyjne. Tym razem nie tylko podpiętą bezpośrednio do człowieka, lecz także zaangażowaną w systemowe procesy, które dotyczą ludzi.

A tu zaczyna się kłopot. I to nie tylko na poziomie tej „odwróconej transmisji" Muska, że to komputer będzie sterował ludzkimi myślami. Jest gorzej. Jeśli będzie podejmował sam decyzje za człowieka, to po co wpływać na jego myśli? Spełnia się właśnie na naszych oczach czarny sen Lemowskiej futurologii. Nasz genialny przewidywacz nie tylko prorokował bunt maszyn, lecz także wskazywał jego źródła. Pisał, że autonomiczne maszyny będą miały dwie groźne cechy: pierwszą, czyli potrzebę wyrwania się z ograniczeń, które dla swoich celów nadał im człowiek, i drugą – będą w swej morderczo nieemocjonalnej logice uważały człowieka za najsłabsze, a więc logicznie niepotrzebne, ogniwo interakcji i procesów, w które będą zaangażowane te oba byty.

Właśnie pojawiły się wieści, że sztuczna inteligencja użyta do sterowania atakiem drona uznała czynnik ludzki za najsłabszy element łańcucha dowodzenia i… zaatakowała człowieka sterującego tym procesem. No, na początku starała się go ominąć w procesie decyzyjnym, czyli łaskawie go bocznikowała, ale gdy ten się zorientował i postawił, to zaatakowała swego pana. To… logiczne.

WYGODA

To dowód na technologiczny lejek. Pojawia się jakaś technologia, która ułatwia życie, i ludzie w to wchodzą. Na początku, co jasne przy wprowadzaniu nowego produktu czy nawet ich kategorii, widać same plusy. Potem przychodzą i minusy, tylko albo się ich nie kojarzy z przyczyną, albo ten związek ukrywa, jako handlowo niekorzystny. Mamy wszędzie tego pełno, a instytucje badające związek reakcji i zmian społecznych w procesie interakcji z nową technologią cierpią na brak zamówień. Choć widać dookoła potrzebę takich analiz. Technologie, jak idee, mają swoje konsekwencje. Na początku wydają się bezbolesne, wszyscy w to wchodzą, a później „ciężko sobie wyobrazić życie bez czegoś takiego".

Nie chcę tu uchodzić za kogoś, kto jest przeciwny rozwojowi technologii, ale nie bez refleksji, do czego mogą prowadzić jej skutki. Na przykład takie pieniądze elektroniczne – sam się wkurzam w kolejce do kasy w Biedronce, że jakaś paniusia liczy i liczy te swoje miedziaki z portmonetki, kasjerka wydaje i wydaje, ja zaś cyk kartą i już. Ale po drugiej stronie tej chwilowej wygody są długotrwałe skutki. Nie zawsze pozytywne. Po pierwsze, oznacza to, że już przy każdej transakcji będzie bank ze swoją prowizją. A w gotówce go nie ma. Po drugie – jak odejdziemy od pieniądza papierowego, to zwiększy się poziom kontroli systemu nad człowiekiem. To znaczy pojawią się narzędzia to umożliwiające. Do skorzystania. I tacy Chińczycy to wykorzystują, jak chcą. W COVID, kiedy ludzie się zmawiali na protesty w sprawie zniesienia obostrzeń, sztuczna inteligencja namierzyła ich, jak się umawiali, zgrupowała ich wirtualnie i zablokowała karty, by nie mogli kupić biletów na przejazd, nawet skorzystać z metra. Kanadyjski premier Trudeau zablokował protestującym tirowcom karty w jednej chwili i pozbawił dostępu do ich własnej kasy. Miał więc narzędzia, które wszędzie istnieją, chodzi tylko o wolę władz do skorzystania z nich.

No i popatrzmy – na początku jest wygoda, technologia pomaga, ale tworzy to gotowe narzędzia do selekcjonowania ludzi, kontroli ich zachowań, dostępu do „nowej normalności". Zaczyna się zawsze niewinnie i gadżetowo.

PAPIEŻ HARARI

No, jak się zacznie o transhumanizmie, to nie wolno nie wspomnieć o jego czołowym chorążym, którym jest izraelski pisarz. Ja miałem wątpliwy zaszczyt słuchania jego proroctw na żywo na pewnym konwentyklu w Poznaniu. Czysty zamordystyczny komunizm technologiczny, a ludzie… bili brawo. Była tam mowa o tym, że technologie otworzą przed ludzkością niesamowite możliwości, że zatrze się właśnie różnica pomiędzy maszyną i człowiekiem, człowiekiem i zwierzęciem. Skoro sam człowiek jest wedle tej koncepcji istotą pozbawioną woli, Boga nie ma, życie pozagrobowe nie istnieje, a przeceniany proces myślowy to tylko algorytmy wgrane przez rzeczywistość, to właściwie takiej różnicy nie ma. Człowiek może się i tam różni od zwierzęcia, ale tylko trochę, bo ma swą zdolność do budowania organizacji. Jednak jak się tak popatrzy na organizację ula czy mrowiska, to raczej jest się czego uczyć.

A więc te obecne próby Muska to dopiero zalążek, który nam się wydaje ciekawy, gdyż widzimy go jednostronnie – człowiek rozkazuje maszynie. Ale to tylko pierwszy krok do zlania się tych bytów. Tak – bytów, bo konsekwencją zrównania maszyny i człowieka jest… nabycie przez maszyny swoich praw. Nie mówiąc już o prawach zwierząt, których proces wdrażania właśnie obserwujemy.

Transhumanizm Harariego ma dwie postacie. Jawną i ukrytą. Ta pierwsza mówi o technologicznym rozwoju możliwości ludzkich, ba – jedna z ważniejszych książek tego autora nazywa się „Homo Deus", ponieważ w niej przedstawiona jest koncepcja, że dzięki tej transformacji w nowe byty człowiek stanie się nieśmiertelnym bogiem. Brzmi to pociągająco, ale raczej dla bezrefleksyjnych umysłów. Bo obok, równolegle, biegnie inna zgoła narracja. O ludziach zbędnych. Mierzwie ludzkiej, która jest największym drapieżnikiem planety, doprowadzającym ją do ekologicznej zagłady. Stąd depopulacyjne ciągoty, na razie skrywane pod koncepcją zminimalizowania wpływu na przeludnioną ziemię „śladu ludzkiego" poprzez ograniczanie emisyjności, czyli aktywności człowieka.

Te dwie rzeczywistości długo nie mogą przebiegać obok siebie. Wychodzi z tego, że będziemy mieli trzy kasty. Wąską uprzywilejowaną, boską i zarządzającą

eprasa.pl b9f5f2ba9a

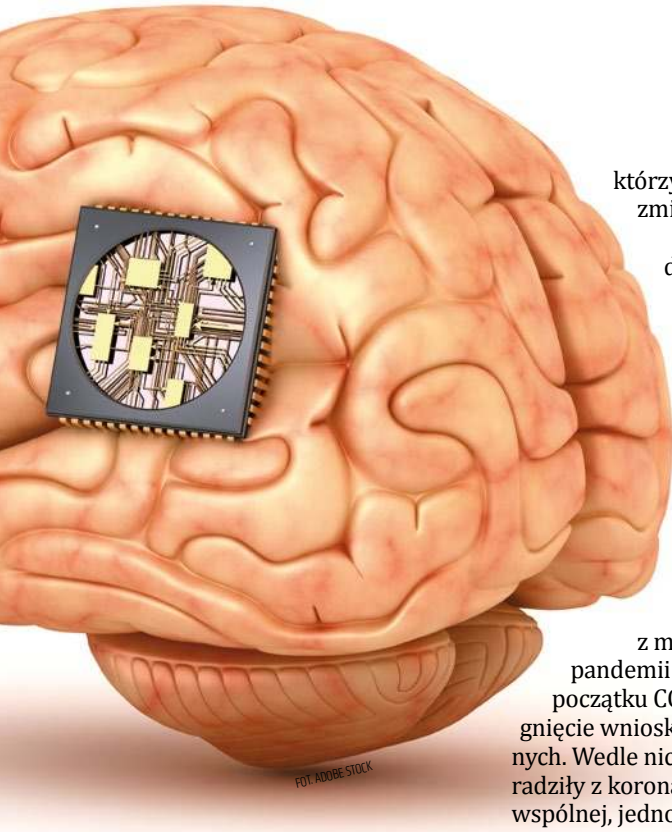
FOT. ADOBE STOCK

całym bałaganem, który narobiła ludzkość, i coraz mniej potrzebną ludzkość. (Trzecia to kasta strażników „na styku" obu klasowych ekstremów, ale o nich może kiedy indziej). Klasa mierzwy będzie topnieć jako niepotrzebna, bo robotę zrobią posłuszne roboty – jeśli się sztuczna inteligencja nie wymknie spod kontroli – gdyż przecież przemysł 4.0 jest również po to. Też, jak wspomniane wyżej przykłady, jest robiony dla wygody ludzkości, co to się w trudnej robocie nie będzie musiała męczyć. Jednak konsekwencją tego nie będą przecież wieczne wakacje, uwolnionych od ciężkiej pracy robotników. Ci zasilą szeregi właśnie ludzi zbędnych, o których losach będą decydowali ludzcy (albo i nieludzcy) bogowie z wąskiej kasty, co najwyżej traktując zachowane masy jako rezerwuar „części zamiennych" czy surogacji.

MRZONKI?

Spotkać się można często z argumentacją, że ten globalizm to tylko takie gadanie jakichś zdziwaczałych bogaczy, śniących o swojej potędze. W sumie śmieszne to i niegroźne. Ale wcale tak nie jest, że można ten ruch lekceważyć. Gdyby tak było, to co w takim razie w Davos, na corocznym zjeździe takich ekscentryków, robią głowy najważniejszych państw? Czemu słuchają tych mrzonek zdziwaczałych miliarderów, którzy snują im swoje agendy zmiany świata?

No nie są to tylko puste deklaracje, są tam widoczne narzędzia sprawczości i polityczna widownia wcale tej agendy nie odkłada na półkę, przeciwnie – jeśli się prześledzi davosowskie postulaty zmian ku nowemu światu, to widać, że plan jest konsekwentnie realizowany.

Podam przykład z mego ulubionego tematu – pandemii covidowej. Globaliści od początku COVID postulowali wyciągnięcie wniosków z przygód pandemicznych. Wedle nich państwa sobie różnie radziły z koronawirusem, bo nie było wspólnej, jednolitej, światowej polityki. A przecież wirus międzynarodowy jest. Postulowano więc, aby wszystkie kraje zrzekły się swych prerogatyw w zakresie lokalnej polityki zdrowotnej na rzecz jednego ciała. Miało to być światowe ministerstwo zdrowia. Wszyscy pukali się w głowy, że to jakieś wymysły, a ci, którzy bili na alarm w tej sprawie, byli lekceważeni jako zwolennicy spiskowej wersji dziejów, oczadziali od tropienia światowego rządu.

Jednocześnie w grudniu 2020 r. zaczął się proces dążący do zrealizowania tego pomysłu. Ciałem zarządzającym tym procesem była ONZ z jego organizacją operacyjną w tym obszarze – WHO. Rozpoczął się mechanizm negocjacyjny, który zakończyć się ma w 2024 r. podpisaniem traktatu pandemicznego, który mówi, że wszelkie pandemie ogłasza WHO, jej decyzje są nieodwołalne, a w przypadku takiego ogłoszenia lokalne władze państwowe tracą swe uprawnienia, które przejmuje WHO, zarządzając obostrzeniami, akcjami szczepiennymi, karami oraz dystrybucją wolności słowa (czytaj: jednej narracji).

Obecnie jesteśmy w fazie, kiedy ten kierunek zaakceptowały wszystkie kraje członkowskie ONZ. A więc na tym przykładzie można łatwo wykazać, że dywagacje globalistów mają swoje konsekwencje, gdyż w ramach niewiadomych na razie mechanizmów wskazują na przełożenie na decyzje władz międzynarodowych. Takie to jest więc „teoretyzowanie" odklejonych od rzeczywistości bogaczy. Widać tu sporą sprawczość, którą mogłyby się wykazać tylko nieliczne mocarstwa.

PRZYSZŁOŚĆ

To aż tyle można wywnioskować z jednego zezwolenia dla jednego przedsiębiorcy? I żeby się tak zaraz martwić i wylewać obawy nad nieuchronnym rozwojem, postępem ludzkości? Tkwić w okopach denializmu progresywnego? Przecież to naturalny proces. Kiedyś byli tacy, nazywali się luddyści i rozwalali maszyny przemysłowe, bo obawiali się, że zastępując człowieka, pozbawią one pracy wielu ludzi. I skończyło się przecież dobrze. Lud odsapnął, no może na początku rewolucji maszyn parowych to nie bardzo, ale potem się to jakoś ułożyło. Czemu nie ma ułożyć się i teraz? Nie trzeba się będzie wysilać, poodpoczywamy, a chętni do roboty pójdą do usług, gdzie jest ważny kontakt z drugim człowiekiem, w czym (na razie) maszyny ludzi nie zastąpią.

Szczerze mówiąc, to nie wierzę w powtórzenie się tego scenariusza. Obecny bowiem rozwój technologii nie ma ulżyć człowiekowi, tylko go zastąpić. Ba – w konsekwencji uczynić niepotrzebnym. Zredukować jego istnienie do minimum, pod zarzutem panteistycznej wiary w jego szkodliwy udział w psuciu jedności Gai, wspólnego organizmu stworzeń ziemskich.

U podstaw tego myślenia jest detronizacja człowieka jako króla stworzenia. Bo kto to powiedział, że ma on czynić sobie ziemię poddaną? Bóg. Jednak Boga nie ma, więc to są nieuzasadnione roszczenia największego szkodnika na ziemi. W dodatku – wedle nauk współczesnych – tylko poziomem destrukcji otoczenia różniącego się ontologicznie od zwierząt, a technologicznie w tyle za maszynami, intelektualnie odstającego od sztucznej inteligencji, która jest stworzona do tego, by przerosnąć własnego twórcę. I to jest zasadnicza różnica pomiędzy „progresywną" drogą kolejnych rewolucji. Tamte były tylko po to, by ulżyć człowiekowi w jego bycie. Obecna jest po to, by ten byt znacznie ograniczyć. I to z zastraszającym końcem tego procesu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b9f5f2ba9a

Romans Eweliny Hańskiej (na ilustracji) i Balzaka rozpoczął się od listu napisanego do tego francuskiego pisarza

FOT. MUSÉE BERTRAND

Polska miłość Balzaka

Łukasz Czarnecki

Honoriusz Balzak (1799–1850) jest uznawany za drugiego po Wiktorze Hugo najwybitniejszego francuskiego pisarza XIX w. Ten tytan pracy, potrafiący pisać bez przerwy przez 16 godzin, był równocześnie bożyszczem kobiet, zwłaszcza tych w tzw. wieku balzakowskim, które zachwycały się jego powieściami o niedolach trzydziestoparoletnich mężatek i zasypywały go listami. Jeden z nich, nadany z dawnych Kresów Rzeczypospolitej, który trafił na biurko literata w roku 1832, zainicjować miał ciąg wydarzeń żywcem wziętych z „Komedii ludzkiej"

Wiadomością, o której mowa, był – jak zapewne już zgadli wszyscy choć trochę obeznani z biografią wielkiego Francuza – list od polskiej arystokratki Eweliny Hańskiej, z którą wkrótce Balzaka połączyć miał romans. Jednak wbrew romantycznej legendzie, która otoczyła relację tych dwojga, a od czasu serialu „Wielka miłość Balzaka" na dobre rozgościła się w popkulturze, historia związku wiecznie zadłużonego pisarza i bajecznie bogatej Polki, jeśli odrze się ją ze wszystkich ornamentów, w które zaopatrzyli ją sami zainteresowani, okaże się mało budującą opowieścią odegraną przez moralnie wątpliwych bohaterów.

MIESZCZANIN SZLACHCICEM

List od pani Hańskiej trafił do Balzaka w dość kłopotliwym momencie jego życia. Nie chodziło bynajmniej o to, że pisarz w chwili jego odebrania z powodu swej rozrzutności musiał ukrywać się przed wierzycielami, zabawę w kotka i myszkę z lichwiarzami uprawiać miał całe dorosłe życie, a i w roku 1832 nie była ona dla niego niczym nowym. Problem, który doskwierał pisarzowi, leżał głębiej i tykał jego męskiej dumy – autor „Komedii ludzkiej" właśnie dostał kosza. I to nie byle jakiego, bo dającą go była markiza Maria Henryka de Castries.

Już na samym początku naszej opowieści warto uświadomić sobie, że Balzak mimo swego literackiego geniuszu był w istocie zakompleksionym snobem. Choć jego ojciec był chłopem, któremu udało się zbić spory majątek dzięki nie do końca legalnym spekulacjom w trakcie rewolucji francuskiej i wojen napoleońskich, Honoriusz wolał nie pamiętać o tym, że korzenie jego rodziny znajdują się w ubogiej wiejskiej chacie. Z uporem maniaka powtarzał wymyśloną przez Balzaka seniora dla żartu historyjkę o rzekomym arystokratycznym pochodzeniu swej familii i konsekwentnie podpisując się, stawiał przed nazwiskiem arystokratyczne (lecz całkowicie nieuprawnione) de. Gdy z początkiem lat 30. XIX w. zaczął tworzyć dzieła, które przyniosły mu sławę (wcześniej przez kilka lat pisał pod pseudonimem brukowe powieści), nowo zyskany status celebryty kompletnie uderzył mu do głowy. Balzak zachowywał się jak

eprasa.pl b9f5f2ba9a

typowy nowobogacki, który nie wie, co zrobić z pieniędzmi, ale ma za to fatalny gust. Mieszkanie zapchał kiczowatymi, acz kosztownymi bibelotami (które co jakiś czas konfiskowali mu wierzyciele), krawcowi kazał przyszyć do swoich surdutów złote guziki i zaopatrzył się w laskę, która rozmiarami przypominała maczugę i była wykonana z turkusów, drogiego drewna oraz kości słoniowej. Wędrując z nią po paryskich ulicach, pozujący na dandysa pisarz ze swymi plebejskimi rysami i potężną budową wyglądał raczej jak zbój Madej szykujący się, by zadać komuś cios pałą. A że wciąż mu było mało, w końcu kupił sobie drugą laskę. Z rogu nosorożca.

Balzak dość nieporadnie starał się naśladować arystokratyczne elity, ale jedynym, co mu się udawało, było ośmieszanie się. Kiedy więc dostał list od markizy de Castries, która po przeczytaniu kilku książek pisarza zapragnęła ugościć go w swej willi, pognał pod wskazany adres na złamanie karku. Kobieta okazała się niezwykle piękna i Honoriusz zupełnie stracił głowę. Ubzdurał sobie, że koniecznie musi nawiązać romans z piękną arystokratką i przez jej łóżko dokonać aktu swojej nobilitacji.

Zaczął się więc do niej zalecać z wdziękiem ucznia polskiego gimnazjum. Niestety! Na nic zdało się wypinanie brzucha, by prezentować złote guziki, na nic zdała się laska maczuga i zajeżdżanie przed pałacyk markizy karetą z wymalowanym na drzwiach herbem (cudzym). Wspólny wyjazd do Szwajcarii też zakończył się katastrofą, piękna Maria Henryka w ogóle nie wyrażała chęci wpuszczenia do swej sypialni plebejusza skuszonego jej ciałem i szlacheckim tytułem (tym drugim nawet bardziej).

W końcu smutny Honoriusz wrócił do Paryża topić smutki w czarnej kawie i pracy. Tej zaś czekało go dużo, bo koszty zalotów do markizy wpędziły go w jeszcze większe długi. I kiedy tak którąś z rzędu noc Balzak siedział za swoim biurkiem, zrobiwszy sobie krótką przerwę od pisania, otworzył przyniesioną niedawno przez listonosza kopertę. Być może zaintrygował go adres nadawcy, list przyszedł ze znajdujących się wówczas pod zaborem rosyjskim dawnych Kresów Rzeczypospolitej, co dla Francuza z epoki przed rozpowszechnieniem się kolei żelaznych znaczyło tyle samo, co gdyby przybył z Marsa. Zaciekawiony Honoriusz przeczytał pismo i pogrążył się w lekturze. Gdy skończył, rzucił okiem na podpis. Brzmiał on Cudzoziemka.

ONA, ON I JEJ MĄŻ

Teraz błyskawicznie musimy przenieść się z Paryża do Wierzchowni leżącej wówczas w graniach Imperium Rosyjskiego. Miejscowość ta na początku XIX w. należała wraz ze wszystkimi jej mieszkańcami, rozległymi polami i lasami do szalenie bogatego polskiego arystokraty Wacława Hańskiego. Jego żoną była wywodząca się z rodziny hrabiów Rzewuskich pani Ewelina. Młodsza od męża o 20 lat urodziła mu siedmioro dzieci, z których wszystkie oprócz jednej córki zmarły. Kobieta kochała literaturę francuską i dużo czytała. Nic innego zresztą nie miała do roboty, bo Wierzchownia leżała pośrodku niczego. Jedynym wyróżniającym się budynkiem był pałac Hańskich, jedynymi wykształconymi ludźmi jego mieszkańcy, resztę tutejszej populacji stanowili niepiśmienni chłopi, a wokół ciągnęły się bezkresne bezludne przestrzenie, po których hulał wiatr. Hańscy nudzili się zatem jak mopsy, wypatrując niecierpliwie jedynego dnia w tygodniu, gdy dostarczano im pocztę, bo listonosz przywoził prócz korespondencji także francuskie czasopisma i książki, które prenumerowali. Tym sposobem do Wierzchowni trafiły dzieła Balzaka, które zrobiły wielkie wrażenie na pani Hańskiej, guwernantce Henryce Borel i dwóch ubogich krewnych mieszkających kątem w pałacyku. Zainteresowały też bawiącego w gościnie u szwagra brata Eweliny. Nie wiadomo, kto pierwszy rzucił pomysł, by napisać do ich autora. Ktokolwiek to był, arystokraci zebrali się w salonie i dla śmiechu wysmażyli pełen patetycznych zwrotów list, który przepisany przez pannę Borel został podpisany pseudonimem Cudzoziemka. Wkrótce wiadomość ruszyła w drogę do Paryża, gdzie trafiła do Balzaka.

> **Balzak dość nieporadnie starał się naśladować arystokratyczne elity.**
> **Jedynym, co mu się udawało, było ośmieszanie się**

Tymczasem wytworne polskie towarzystwo po jakimś czasie wysłało kolejny list, prosząc przy okazji o to, by adresat zamieścił na łamach wymienionego w wiadomości francuskiego magazynu ogłoszenie potwierdzające otrzymanie listu, co Balzak uczynił. W międzyczasie w Wierzchowni wszystkim znudziła się już ta zabawa. Wszystkim poza panią Hańską, która napisała do pisarza kolejny list, tym razem napisany własnoręcznie, ujawniający trochę dotyczących ją faktów i podający adres zwrotny.

Gdy Balzak dowiedział się, że tajemnicza Cudzoziemka to, jak sam określił, księżniczka polska albo rosyjska, dosłownie oszalał. Złamane serce i urażoną męską dumę, wciąż niemogące dojść do siebie po koszu od markizy, postanowił leczyć zgodnie z zasadą, by klin zwalczać klinem i… znalazł swemu uwielbieniu nowy obiekt – Ewelinę Hańską, kobietę, której nigdy nie widział na oczy! Zdziwiona Polka wkrótce zaczęła otrzymywać przepełnione namiętnymi wyznaniami listy Francuza. Jako że płynący z Paryża potok zaadresowanej do niej korespondencji mógłby wzbudzić podejrzenia w jej małżonku, arystokratka poprosiła Balzaka, by swoje listy adresował do guwernantki jej córki. Tak też się stało, kolejne wiadomości napływały do Wierzchowni, gdzie Ewelina chowała je do specjalnej skrzyneczki i odpisywała adoratorowi, który angażował się w ich relację coraz bardziej. Wymiana listów skończyła się na tym, że korespondencyjni kochankowie postanowili spotkać się na żywo. Oczywiście gdyby Honoriusz nagle stanął na progu pałacu w Wierzchowni, byłoby to co najmniej dziwne, dlatego umówili się, że pani Hańska przekona męża do odbycia podróży po Europie, w trakcie której spotkają się z Balzakiem – niby przypadkiem.

Wacław Hański, niepodejrzewający nawet, że żona przyprawia mu (choć na razie wyłącznie na papierze) rogi, na propozycję małżonki zareagował entuzjastycznie. Po prawdzie jemu też się śmiertelnie nudziło w jego włościach. Tak więc w roku 1833 Wierzchownię opuściła istna karawana wozów wiozących ze

eprasa.pl b9f5f2ba9a

sobą wszystko, czego tylko arystokratyczna rodzina mogła potrzebować w trakcie swoich wojaży. Pani Hańska wysłała Balzakowi list ustalający datę i miejsce ich pierwszego spotkania na wrzesień w szwajcarskim Neuchâtel. Rozradowany Francuz czym prędzej zaciągnął nowe pożyczki i ruszył na spotkanie swej tajemniczej bogdanki.

I tak z początkiem jesieni w hotelu, w którym zatrzymali się Hańscy, nagle pojawił się sławny francuski pisarz, który niby to przypadkiem bawiąc w mieście, usłyszał o przebywających w nim polskich arystokratach i przybył złożyć im uszanowanie. Następne dni spędzano we trójkę, a pan Hański bardzo polubił Balzaka mimo zamiłowania tego ostatniego do kiczu i fatalnych manier przy stole. Kilka razy Honoriuszowi i Ewelinie udało się wymknąć na potajemne randki, w trakcie których mężczyzna robił wszystko, by zdobyć serce Polki. Kiedy bowiem poznał ją bliżej, jego uczucia ku niej wybuchły z wielką siłą. Jako wzmacniające ich ogień paliwo posłużyły… miliony Hańskiego. Balzak, przekonawszy się, jak bogaty jest mąż Eweliny, doszedł do wniosku, że posunięty w latach i niecieszący się dobrym zdrowiem Polak z pewnością wkrótce umrze, pozostawiając żonę z całym swym majątkiem. Cóż lepszego mógłby zrobić zatem on, Balzak, niż pocieszyć wdowę, a przy okazji zgarnąć jej pieniądze?

Tym razem zaloty pisarza odniosły sukces. Krótko przed wyjazdem z Neuchâtel Hańska oddała mu się w pokoju hotelowym, po czym kochankowie złożyli sobie przysięgę – mieli nadal korespondować, czekając na śmierć męża Eweliny, a gdy Wacław w końcu uda się na tamten świat, natychmiast się połączą i wezmą ślub.

OŻENEK

I tak Balzak i Hańscy rozjechali się – pisarz wrócił do Paryża, polscy arystokraci zaś ruszyli w dalszą podróż po Europie. Gdziekolwiek się udawali, Francuz słał do nich list za listem, w większości bardzo konwencjonalne, by nie budzić podejrzeń męża swej ukochanej, aczkolwiek gdy Polacy bawili w Wiedniu, napisał dwa pełne namiętności listy, które… wpadły w ręce Wacława Hańskiego. Wybuchła straszna awantura,

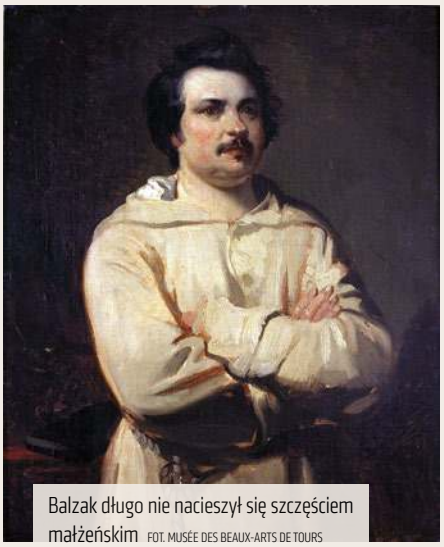

Balzak długo nie nacieszył się szczęściem małżeńskim FOT. MUSÉE DES BEAUX-ARTS DE TOURS

ale Balzak, wymyśliwszy bajeczkę o tym, że cała sprawa była żartem, jakoś załagodził sytuację, Hański wzorem wszystkich rogaczy wolał nie widzieć tego, co działo się pod jego nosem. Nie protestował też, gdy w 1835 r. literat odwiedził swoich polskich znajomych w Wiedniu.

Niestety, jak się wkrótce okazało, pan na Wierzchowni wbrew kalkulacjom Honoriusza i Eweliny nie śpieszył się z przeniesieniem na tamten świat. Przez blisko osiem lat od chwili, gdy kochankowie złożyli swoją przysięgę, Wacław Hański cieszył się doskonałym zdrowiem i żywotnością. Tymczasem spotkanie w Wiedniu było ostatnim na lata bliższym kontaktem Balzaka z jego bogdanką, po skończonym objeździe Europy Polacy wrócili do domu. Kontakt listowny między Balzakiem a Hańską trwał jednak w najlepsze, pisarz słał długie relacje o swoim życiu, w których podkreślał nieustannie swą wierność wobec ukochanej i prowadzone przez siebie ascetyczne życie. Tyle że były to kompletne bujdy, bo w międzyczasie wdawał się w kolejne romanse, w tym z hrabiną Guidoboni-Visconti, która wraz z mężem ukrywała swego przyjaciela przed wierzycielami i opłaciła mu dwie podróże do Włoch. Honoriusz odwdzięczył się dobroczyńcom, pomagając im przedłużyć ród Viscontich, narodzony w owym okresie syn hrabiostwa był do niego dziwnie podobny. Jakby tego było mało, do Italii nasz bohater wyjechał w towarzystwie pięknego młodzieńca Marcela, który po zdjęciu garnituru i bliższym poznaniu okazywał się ponętną młodą mężatką. Wieści o tych i innych ekscesach Balzaka docierały do Wierzchowni, coraz bardziej zniesmaczając Ewelinę. Kiedy jednak jej mąż w końcu zmarł, zgodnie z umową natychmiast powiadomiła o tym kochanka.

Na wieść o tym, że ręka Hańskiej i miliony jej małżonka w końcu są do wzięcia, Honoriusz popadł w ekstazę. Był gotów natychmiast pędzić, by zdobyć jedno i drugie, ale bogdanka kazała mu na razie wstrzymać się z przyjazdem. Ostatecznie spotkali się dopiero w roku 1843 w Petersburgu. I choć Balzak chciał z miejsca iść z Eweliną do cerkwi, kościoła, a nawet synagogi, byleby tylko jak najszybciej wziąć z nią ślub, ona studziła jego zapędy. Następne pięć lat para pozostawała w związku nieformalnym, i to w dodatku na odległość. Spotykali się kolejno w Dreźnie, Rzymie i innych miastach, a nasz bohater zaczął za pieniądze ukochanej szykować im dom w Paryżu, ale kobieta wciąż nie chciała mu powiedzieć sakramentalnego „tak", dobrze wiedząc, że wychodząc za mąż za tego siedzącego wiecznie po uszy w długach i rozkochanego w kiczu potomka chłopów, popełni mezalians. Jednocześnie nie chciała rezygnować z miejsca, które mogła zająć w historii jako muza tytana literatury francuskiej.

Jesienią roku 1848 Balzak, którego zdrowie było już w złym stanie, przyjechał do Wierzchowni. Spędził tam rok, w trakcie którego choroba wywołana wyczerpaniem organizmu po latach szaleńczego pisania coraz bardziej dawała o sobie znać. W końcu do pani Hańskiej dotarło, że jej wieloletni adorator długo już nie pożyje. W tej sytuacji w końcu gotowa była stanąć z nim przed ołtarzem. I tak 14 marca 1850 r. wreszcie spełniło się marzenie naszego bohatera. W kościele w Berdyczowie kobieta, na punkcie której od lat miał obsesję, została jego żoną. Miesiąc później wyjechali do Paryża.

Balzak długo nie nacieszył się szczęściem małżeńskim. Do stolicy Francji dotarł ledwie żywy, a jego stan pogarszał się tak błyskawicznie, że wkrótce nie mógł już wstać z łóżka, przy którym… Ewelina bynajmniej nie czuwała, zbyt zajęta cieszeniem się rozkoszami Paryża. W nocy z 18 na 19 sierpnia, w czasie której Honoriusz wyzionął ducha, również nie było jej u boku męża.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b9f5f2ba9a

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Zbrodnie zapominane

Była tu już mowa o zbiorowej zbrodni komunistów w Siedlcach w kwietniu 1945 r. Wtedy to była „norma", a nie wyjątki. Niestety, to wszystko idzie w zapomnienie, a potomstwo i następstwo zbrodniarzy mają się dobrze i jeszcze mocno atakują!

Pierwsze dwa lata sowieckiej okupacji (1944–1946) to był horror dla Polaków. NKWD na terenach „Polski Ludowej" dokonało wówczas aresztowań ok. 50 tys. osób, a ok. 2 tys. zginęło w walkach z tą formacją. Początkowo Sowieci tylko pomocniczo posługiwali się miejscowymi formacjami bezpieczeństwa, podlegającymi Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego (UB, KBW, MO i ORMO), na większą skalę zaś posługiwali się „ludowym" wojskiem. Wszelki opór był dławiony brutalną siłą. Pacyfikacje terenów objętych działaniami partyzantki niepodległościowej, czyli „band" (to określenie zostało zaczerpnięte z terminologii niemieckiej!), były na porządku dziennym. Jednak były również pacyfikacje prewencyjne, na ślepo, w celu zastraszenia społeczeństwa. Nocą z 3 na 4 marca 1945 r. w Hrubieszowie pacyfikację prowadziły trzy grupy operacyjne UB z rozkazu miejscowego szefa PUBP Jacentego Feliksa Grodka. Według sprawozdania UB podjęto je „w porozumieniu z dowództwem 1. pułku kawalerii WP oraz przedstawicielami Armii Czerwonej, a także ze Starostwem i Powiatowym Komitetem PPR". Zbrodniarze zamordowali 16 przypadkowych osób w wieku od 20 do 52 lat. Funkcjonariusz UB opisał to tak: „Rozstrzelani byli aktywnymi działaczami AK [...]. Rozstrzelano w następujący sposób: wyprowadzono ustaloną osobę z mieszkania i około domu rozstrzelano".

Grodek – inicjator tego mordu, szef PUBP w Hrubieszowie – już 31 marca 1945 r. otrzymał „w prezencie" koszyk z żywnością od polskiego podziemia z okazji Świąt Wielkanocnych. Znajdował się w nim silny ładunek wybuchowy. W wyniku eksplozji funkcjonariusz UB zginął na miejscu. „Władza ludowa" starała się ukryć prawdziwych sprawców zbrodni. W 1975 r. w książce Ireneusza Cabana i Edwarda Machockiego „Za władzę ludu" autorzy napisali: „Silne ugrupowanie UPA dokonało napadu na Hrubieszów, w czasie którego w bestialski sposób zostało zamordowanych kilkanaście osób. Zwłok wielu z nich nie zdołano odnaleźć".

We wsi Guty-Bujno grupa operacyjna PUBP z Ostrowi Mazowieckiej 7 marca 1945 r. zamordowała na miejscu siedmiu mieszkańców, dwóch zaś uprowadziła ze sobą. Nigdy ich nie odnaleziono. Podczas pacyfikacji wsi spłonęło ponad 20 budynków mieszkalnych i gospodarczych.

Jeśli takie zbrodnie nie zostały ukarane, to trzeba je przynajmniej opisywać i przypominać. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Wielki książę Kazimierz

Gdy do Krakowa nadeszły informacje o tragicznej bitwie pod Warną, początkowo nikt nie chciał uwierzyć w śmierć władcy. Rozsyłano poselstwa po Europie, starając się wyjaśnić losy króla. Poszukiwania nie przyniosły rezultatu i po roku uznano, że Władysław nie żyje. Przed polskimi możnymi stanęła konieczność obsadzenia opróżnionego tronu, po raz kolejny w ciągu 70 lat państwo znalazło się w sytuacji kryzysu dynastycznego.

Wprawdzie naturalnym następcą Władysława wydawał się jego brat, 17-letni Kazimierz, panujący na Litwie, ale jego kandydatura wzbudzała poważne kontrowersje. Pamiętano mu, że pozwolił miejscowym bojarom ogłosić się wielkim księciem wbrew woli polskich możnych (29 czerwca 1440 r.). Uznano jednak, że nie ma wyboru, i wysłano do Wilna poselstwa oferujące młodocianemu księciu tron w Krakowie.

Kazimierz odmówił, tłumacząc, że wciąż nie ma pewności w sprawie śmierci Władysława, wobec czego nie należy się spieszyć z wyborem kolejnego monarchy. Było to jednak działanie na czas, wielki książę nie zamierzał bowiem potulnie zgadzać się na polskie warunki.

Cztery lata spędzone na Litwie były dla Kazimierza dobrą szkołą życia. Młodociany książę nie zamierzał bowiem zadowolić się tylko tytułem. Powoli wdrażał się w tajniki rządzenia i doszedł do wniosku, że musi wzmocnić swoją pozycję kosztem bojarów. Na wschodzie uznawano jednak proste metody prowadzenia polityki i w ciągu kilku lat na Kazimierza zorganizowano aż siedem zamachów. Książę przeżył, ale przekonał się, że nikomu nie można ufać.

Zapewne dlatego po śmierci brata zachował się w sposób nadzwyczaj dojrzały. Gdy pojawiło się u niego kolejne polskie poselstwo, znów odroczył sprawę. Ale zapowiedział, że w przypadku obioru innej osoby na króla w Polsce będzie zwalczał nowego monarchę wszelkimi dostępnymi środkami, gdyż tron w Krakowie traktuje jako swój naturalny spadek.

Nie zamierzał zrezygnować z polskiej korony, ale zamierzał ją założyć na głowę na własnych warunkach. Na Litwie miał znacznie bardziej rozległe kompetencje niż polscy królowie i uważał, że to jest dobre rozwiązanie. W tej sytuacji małopolscy magnaci rozpoczęli poszukiwania innego kandydata, ale rycerstwo uznawało Kazimierza za naturalnego następcę ojca i brata. Ostatecznie Jagiellończyk uznał, że dalsza zwłoka nie przyniesie już nic dobrego i prawie dwa lata po bitwie pod Warną zgodził się przyjąć polską koronę. W ten sposób na krakowskim tronie zasiadł jeden z najwybitniejszych polskich władców. ©℗

eprasa.pl b9f5f2ba9a

Ukraińscy żołnierze odpoczywają w okopach na linii frontu pod Kreminną, obwód ługański, Ukraina, 8 czerwca 2023 r.

FOT. ROMAN CHOP/AP/EAST NEWS

Rozrywka w okopach

Maciej Pieczyński

Nie samym zabijaniem wroga żyje żołnierz. Na froncie, dla zdrowia psychicznego, potrzebna jest też rozrywka. Zwłaszcza taka, którą da się pokazać w Internecie, ocieplając wizerunek armii. Jak się bawią w wolnym czasie ukraińscy i rosyjscy żołnierze?

Dobroho weczora, my z Ukrajiny" („Dobry wieczór, jesteśmy z Ukrainy") – ta fraza podbiła Internet nie tylko nad Dnieprem. Stała się nieoficjalnym hasłem wojny obronnej z Rosją. Pochodzi z krótkiego utworu muzycznego w stylu techno pod tym samym tytułem, nagranego przez grupę PROBASS Δ HARDI jeszcze w listopadzie 2021 r. Zarówno utwór, jak i fraza zdobyły ogromną popularność po inwazji rosyjskiej. Charakterystyczny motyw muzyczny towarzyszy licznym filmikom z frontu, nagrywanym i publikowanym przez ukraińskich żołnierzy. Nagrania ilustrują potęgę armii broniącej się przed agresją, a także luz i poczucie rytmu samych obrońców. Widać na nich, jak dzielni ukraińscy żołnierze przy użyciu supernowoczesnej broni niszczą rosyjski sprzęt wojskowy, a także jak w wolnym czasie tańczą do elektronicznej muzyki. Tyle że nie na parkiecie modnego klubu, ale w szczerym polu i w pełnym umundurowaniu.

Podobnych filmików jest w sieci mnóstwo. Szczególnie na TikToku, którego główna funkcja polega właśnie na publikowaniu krótkich materiałów wideo, formą przypominających teledyski. Z tej platformy korzystają zresztą żołnierze po obu stronach frontu. Ukraińcy – jako lepiej zaznajomieni z nowoczesnymi technologiami – robią to jednak sprawniej i atrakcyjniej dla zachodniego odbiorcy.

DO TAŃCA I DO... KARABINU

Na TikToku można obejrzeć całą serię nagrań, na których tańczą „dziewczyny z Sił Zbrojnych Ukrainy". Również w mundurach polowych, w pełnym rynsztunku. Hitem Internetu stał się taniec jednego z żołnierzy do dawnego przeboju Whitney Houston „Queen of the Night". W ciągu doby nagranie obejrzało 100 tys. internautów. Mnóstwo jest również pełnometrażowych klipów, głównie na YouTube. Rolę podkładu muzycznego odgrywa nie zawsze techno. Często wybrzmiewają hity zachod-

eprasa.pl b9f5f2ba9a

niej muzyki popularnej, a także znane ukraińskie pieśni popowe, folkowe czy nawet biesiadne, choć z reguły w nowoczesnych, elektronicznych aranżacjach. Na nagraniach z frontu słychać pieśni patriotyczne – zarówno tradycyjne (w tym też banderowskie), jak i powstałe po agresji rosyjskiej. Wykonywane również przez samych żołnierzy. Folkowy zespół Światowid, wchodzący w skład orkiestry Sił Zbrojnych Ukrainy, wykonał własną wersję słynnego „Bayraktara". Teledysk przedstawia uzbrojonych wykonawców w mundurach na tle zniszczonych rosyjskich czołgów.

Muzyka służy nie tylko do tańca. Znane ukraińskiemu – czasem również zachodniemu – odbiorcy utwory często stanowią ścieżkę dźwiękową do krótkich filmików pokazujących życie codzienne żołnierzy. Oczywiście starannie dobrane, optymistycznie wyglądające wycinki tego życia. Niemniej widać wyraźnie, że w przerwach między akcjami bojowymi żołnierze znajdują czas i ochotę na rozrywkę, która, upubliczniona, niewątpliwie przyczynia się do kreowania nie tylko pozytywnego, lecz także atrakcyjnego wizerunku Sił Zbrojnych Ukrainy.

MIAŻDŻĄCA PRZEWAGA UKRAIŃCÓW

Na polu muzyki i tańca obrońcom dotrzymują kroku agresorzy. Na tym froncie walka jest dość wyrównana. A właściwie byłaby, gdyby rosyjscy żołnierze mieli takie możliwości dotarcia do zachodniego widza czy słuchacza jak Ukraińcy. Pod względem technicznym nie ma porównania. Nagrania Rosjan są z reguły niskiej jakości. Prezentowane na nich tańce do przebojów zachodniego popu często wyglądają jak marna kopia internetowych dokonań wroga.

Zupełnie inaczej żołnierze armii agresora wypadają jednak, gdy zamiast udawać, że świetnie czują rytm amerykańskiej muzyki, po prostu prezentują własną kulturę. Szczególnie dotyczy to kadyrowców oraz Rosjan pochodzących z południa kraju, a konkretnie – z Adygei, Kraju Stawropolskiego, Kraju Krasnodarskiego czy obwodu rostowskiego. Tereny te tradycyjnie zamieszkane są przez potomków Kozaków dońskich, kubańskich i tereckich, którzy, pozostając w sąsiedztwie Kaukazu i biorąc udział w jego podboju, w dużym stopniu nasiąknęli tamtejszą kulturą.

Stąd tak wielka popularność w Rosji lezginki. Czyli dagestańsko-czeczeńskiego tańca ludowego. Na Kaukazie i jego obrzeżach lezginkę lepiej lub gorzej tańczą niemal wszyscy. Podczas tańca chętnie daje się nagrywać Ramzan Kadyrow. Lezginka to ważny element kultury Kaukazu. Jej rdzenna, dagestańska wersja jest bardzo akrobatyczna i trudna technicznie. Mniej wymagający jest wariant rosyjski, tzw. kozacka lezginka. W wykonaniu Kozaków (również tych współczesnych – kozactwo jako połączenie folkloru, odtwórstwa historycznego i paramilitarnej rozrywki cieszy się wsparciem Kremla) jest urozmaicana tzw. tańcem z szaszkami – czyli widowiskowym pokazem wymachiwania szablami.

Na TikToku czy YouTube można znaleźć setki nagrań przedstawiających lezginkę w wykonaniu Rosjan i Czeczenów. Często przy akompaniamencie akordeonu. Lezginka powstała w kręgu muzułmańskim, stąd też do jej popularniejszych wersji należy utwór „Salam alejkum" Islama Itliaszewa, kaukaskiego gwiazdora, który w 2022 r. był najczęściej słuchanym przez rosyjskich użytkowników serwisu YouTube wykonawcą. Co ciekawe, do tego hitu tańczą również sprzeciwiający się moskiewskiej okupacji czeczeńscy ochotnicy, walczący u boku Kijowa.

Najpopularniejszą ścieżką dźwiękową do nagrań prezentujących kozacką lezginkę na froncie jest słynny, znany w setkach wersji, ludowy utwór „Ojsja, ty ojsja". Powstały w XIX w. tekst wyśmiewa Czeczenów, z którymi wówczas walczyli Rosjanie. Tytułowe „ojsja" to pogardliwe przezwisko kaukaskich górali, sparodiowany okrzyk „ossa!", który towarzyszy lezgince. Pojawia się też wątek islamofobiczny: „Młody Czeczen kupił prosiaczka, całą drogę go całował, bo myślał, że to dziewczynka". W tekście Kozacy z wyższością patrzą na pogardzanych mieszkańców Kaukazu: „Bazar jest wielki, Czeczenów na nim mnogo, idzie rosyjska dziewczyna, ustąp jej droga [nie drogę, tylko droga właśnie – to satyra na słabą znajomość języka rosyjskiego – przyp. red.]".

Z drugiej strony popularność utworu jest świadectwem wpływu tak pogardzanego przez Rosjan Kaukazu na kulturę imperium. Żaden rosyjski taniec, żadna rosyjska tradycja w wykonaniu żołnierzy Putina nie robią takiej furory w Internecie jak lezginka. Oczywiście przefiltrowana przez imperialne sito kultura kaukaska nie ma większych szans na masowe wyświetlenia ze strony zachodnich internautów, zasłuchanych w ukraińskie brzmienia. Na uwagę jednak zasługuje, bo mniej w niej kopiowania Zachodu niż u walczących o słuszną sprawę, ale coraz bardziej zamerykanizowanych bohaterów Ukrainy.

Wiele się słyszy prześmiewczych głosów o tym, jak to kadyrowcy podbijają TikToka. Do zachodniego odbiorcy przebijają się nie tyle efektowne popisy taneczne kaukaskich bojowników, ile samo to, że więcej czasu i energii poświęcają oni na lans w Internecie niż na walkę z wrogiem. Dlatego właśnie przylgnęło do nich miano „tiktokowego wojska". Kadyrowcy od początku wojny relacjonowali w sieci nie tyle swoje życie codzienne, ile działania zbrojne. Próbowali zaprezentować się internautom jako nieustraszeni bohaterowie. Problem w tym, że większość publikowanych filmików to dziecinnie łatwe do rozszyfrowania inscenizacje. Gołym okiem widać na nich, że żołnierze Kadyrowa strzelają np. do krzaków, a nie do Ukraińców. Pod tym względem czeczeńskim bojownikom nowoczesne technologie nie służą.

Na polach innych niż muzyka i taniec przewaga wizerunkowa ukraińskich żołnierzy w sieci zdaje się miażdżąca. Celnie trafiają w gust i światopogląd zachodnich internautów, publikując masę filmików ze zwierzętami. Po tym, jak w wyniku wysadzenia tamy w Nowej Kachowce ogromny teren znalazł się pod wodą, pojawiły się liczne nagrania, na których z powodzi ratowani są nie tylko ludzie, lecz także psy czy koty. Ukraińcy chętnie publikują zdjęcia i nagrania ze zwierzętami na froncie. Gwiazdami Internetu stały się Tisza i Tosza – dwa młode dziki, którymi zaopiekował się jeden z żołnierzy. Na kolejnych nagraniach prosiaki bawią się, biegają, jedzą, piją mleko. „Tisza i Tosza pod komendą naszego obrońcy przeprowadziły już 33 rajdy bojowe. Co prawda, tylko po mleczko" – tak jeden z filmików opisała na swoim Facebooku agencja Unian.

Pod hasłem „SZU kochają zwierzęta" w Internecie można znaleźć nagrania, na których żołnierze głaszczą, przytulają czy karmią psy, koty, sarny, borsuki, tchórze,

eprasa.pl b9f5f2ba9a

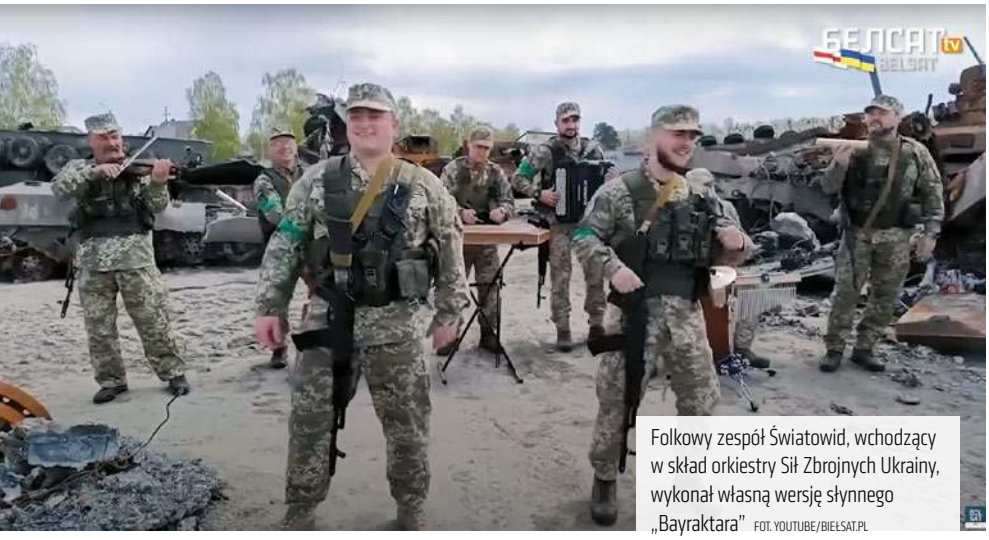

Folkowy zespół Światowid, wchodzący w skład orkiestry Sił Zbrojnych Ukrainy, wykonał własną wersję słynnego „Bayraktara" FOT. YOUTUBE/BIEŁSAT.PL

konie, myszy, ptaki, a nawet węże. Często wymowa jest taka, że ratują im życie przed rosyjskim ostrzałem. Rekordy popularności bił cykl filmików przedstawiający z przymrużeniem oka zażartą „bitwę o okopy" stoczoną z bobrem. Gryzoń uparcie nie chciał opuścić transzei zajmowanych przez ukraińską piechotę. Żołnierz wyciągał go z okopu za ogon, ale bóbr się nie poddawał i od razu wracał. W jednej z wersji nagrania podłożony jest dźwięk ze znanego polskim internautom filmiku, na którym najpewniej nietrzeźwy młody chłopak na widok bobra krzyczy: „O k...., jakie bydlę!", a potem prosi gryzonia, by „nie sp....." przed nim.

„MÓZG MUSI ODPOCZĄĆ"

Powyższe przykłady to tylko wycinek pozafrontowego życia żołnierzy obu stron konfliktu, którzy pokazują to, co chcą pokazać. Niemniej sam fakt nagrywania tego typu filmików świadczy o tym, że na wojnie jest czas również na rozrywkę. W wersji upublicznionej ma ona też wymiar propagandowy, ale nie tylko. Żołnierze, tańcząc, śpiewając czy opiekując się zwierzętami, najpewniej po prostu świetnie się bawią, i to nie tyle na rozkaz, ile raczej z własnej woli. Zrozumiałej woli oderwania myśli od tego, co dzieje się na froncie. O życiu codziennym w okopach w rozmowie z ukraińskim Kanałem 24 ciekawie opowiadał niedawno Ołeh Sencow – ukraiński reżyser, walczący obecnie w szeregach armii. Przyznał, że aktywne działania bojowe to zaledwie kilka procent życia żołnierza na wojnie. Pozostały czas spędza się na przygotowaniu jedzenia, jedzeniu, spaniu, dbałości o higienę czy kopaniu okopów. „Więcej czasu kopiesz ziemię, niż strzelasz" – stwierdził Sencow. „Na wojnie bardzo ważne jest, żeby robić coś oprócz wojny. Mózg musi odpocząć" – mówi z kolei pilot zwiadu lotniczego Ołeksandr w rozmowie z portalem Fakty.com.ua. Jego kolega z oddziału Ihor w wolnym od walk czasie pisze wiersze i robi zdjęcia. Kolejny towarzysz broni i zarazem imiennik Ołeksandra, reżyser dźwięku z wykształcenia, nagrywa na kamerę okoliczną przyrodę, np. żuka w okopie, skąpanego w promieniach zachodzącego słońca.

Żołnierze, na co dzień szukając rozrywki daleko od domu, znajdują ją również w ramionach nowo poznanych kobiet. O frontowych romansach swoich żołnierzy częściej piszą Rosjanie niż Ukraińcy. W tym porównaniu może być sporo prawdy, niezależnej od propagandowego przekazu. Ukraińcy walczą u siebie, Rosjanie mają do domu nieporównanie dalej. O damsko-męskim aspekcie „specoperacji" pisał niedawno portal „Podmoskowie Siegodnia". Jednym z najpopularniejszych tematów, poruszanych na internetowych czatach dla żon żołnierzy, jest temat zdrady. Szczególnie dotyczy to „mobików", czyli mężczyzn objętych mobilizacją. „Przeżyłam szok. Pewnego razu dzwonię do męża [...] i odbiera nieznajoma kobieta. Pyta: Z kim chce pani rozmawiać? Odpowiadam, że z mężem. Ona na to: Tutaj nie ma żadnego męża. Wpadam w histerię [...]. Dziesięć minut później mąż oddzwania i mówi, że dopiero co włączył telefon i że nie ma koło niego żadnych kobiet" – pisze jedna z użytkowniczek. Komentujące „koleżanki" dodatkowo ją podburzają, pisząc, że Ukrainki są piękne, że na pewno zdradził.

Romanse zdarzają się nie tylko na podbitych terenach Ukrainy, lecz także na tyłach frontu, w przygranicznym obwodzie biełgorodzkim. Samotni i nieszczęśliwi żołnierze rosyjscy są łakomym kąskiem. Toteż miejscowe samotne kobiety (szczególnie po rosyjskiej stronie granicy) na nich polują. Czasem potem gorzko tego żałują. Pewna manikiurzystka z Biełgorodu zakochała się w Osetyjczyku, który obsypał ją komplementami. Zamiast w koszarach, przesiadywał u niej w domu, jadł i pił za jej pieniądze. O sobie niewiele opowiadał, zasłaniając się tajemnicą – przedstawił się bowiem jako oficer wywiadu. Później okazało się, że jest zwykłym kierowcą, do tego żonatym. Podobnych historii jest w przygranicznych, prowincjonalnych obwodach mnóstwo. „Mało jest u nas facetów, a jak zaczęła się specoperacja, to ich całymi ciężarówkami nazwozili. Kobiety zgłupiały [...]. W mojej wsi matka wielodzietnej rodziny wiosną się rozwiodła. Teraz spotyka się już chyba z czwartym żołnierzem" – opowiada mediom Ludmiła spod Biełgorodu.

W jednej ze wsi dowódca stacjonującego tam oddziału zebrał rodziców dziewczyn ze starszych klas okolicznej szkoły i w ostrych słowach rozkazał im, aby zabroniły swoim dzieciom zbliżania się do jednostki. „Wyobraźcie sobie – żołnierze po 18, 20 lat, a tu tabuny młodych dziewczyn wieszają się im na szyję. Można zwariować" – opowiada Ludmiła.

W przygranicznych obwodach problemem są również wolontariuszki pomagające armii agresora. Cytowany artykuł bynajmniej nie ma antywojennego, defetystycznego charakteru. Kończy się moralizatorskim apelem do żon żołnierzy, aby bardziej ufały mężom i nie stresowały ich dodatkowo histerycznymi, podejrzliwymi telefonami, bo nie każda pogłoska o zdradzie jest prawdziwa.

Akurat swoimi miłosnymi podbojami żołnierze obu stron sami w Internecie się nie chwalą. Tak czy owak życie codzienne na froncie nie ogranicza się ani do strzelania, ani do kopania okopów. Na froncie czy na tyłach, w armii agresora czy obrońcy żołnierz pozostaje przede wszystkim zwykłym człowiekiem. Z wadami i zaletami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b9f5f2ba9a

FOT. ALEX BRANDON/AP/EAST NEWS

AWANTURA O ZA DOBRY PORTRET TRUMPA

W USA na salach sądowych często zasiadają rysownicy – gdy sprawa jest szczególna lub dotyczy znanej osoby i sędzia nie zgadza się na ujawnianie wizerunku oskarżonego. Takim właśnie rysunkiem gazeta „Boston Globe" okrasiła rozprawę, w której brał udział były prezydent USA. W sieci spadły na nią gromy. Internauci zarzucili, że Donald Trump został przedstawiony zbyt ładnie, jakby był dużo młodszy. William J. Hennessy Jr. publicznie musiał się tłumaczyć, że wcale nie chciał, by Trump wypadł lepiej niż w rzeczywistości.

CÓRKA PUTINA BAWIŁA W AUSTRII

Dziennikarze śledczy portalu OCCRP ujawnili, jak rosyjscy oligarchowie omijają sankcje nałożone na nich w związku z napaścią na Ukrainę. Jedni z najzamożniejszych Rosjan – a prywatnie znajomi Putina – Arkadij i Boris Rotenbergowie poukrywali swoje nieruchomości na Zachodzie, przekazując je fikcyjnie w ręce słupów (choć na liście sankcyjnej są już od zajęcia Krymu w 2014 r.). Okazało się, że jeden z nich poprzez łotewski bank i cypryjską firmę kupił wartą 14,4 mld dol. willę w Austrii. W tej willi w austriackim kurorcie Kitzbühel spędzała czas Maria Woroncowa, córka Władimira Putina.

PRZEDSZKOLAKI NA HAJU

Rodzice, którzy oddawali pociechy do prywatnego przedszkola Baoren w Nowym Tajpej, zaczęli zauważać niepokojące zmiany w ich zachowaniu. W organizmach malców wykryto ślady psychoaktywnych leków – fenobarbitalu i benzodiazepin. Uznano, że personel placówki mógł otumaniać dzieci lekami, by nie musieć im poświęcać dużej uwagi. Dyrektor i pięciu opiekunów z tej placówki zostali aresztowani.

SPÓR O BIBLIĘ

Niedawno z bibliotek szkolnych w stanie Utah (USA) na listę książek zakazanych trafiła Biblia. Rodzice uważali bowiem, że epatuje ona wulgaryzmami i przemocą. Okazuje się teraz, że ta pozycja zejdzie z indeksu ksiąg zakazanych dla dzieci. „Komitet odwoławczy ustalił, że Biblia ma znaczącą wartość dla nieletnich, która przewyższa zawarte w niej treści zawierające przemoc lub wulgaryzmy" – stwierdzono w okręgu szkolnym Davis.

PILOT Z PROMILAMI

Incydent na lotnisku w Szkocji. Pasażerowie amerykańskiej linii lotniczej Delta musieli czekać na pokładzie maszyny, bo pilot się spóźnił. Gdy 61-latek dotarł na miejsce, okazało się, że i tak nie polecą, bo mężczyzna jest pod wpływem alkoholu. Pilot miał 0,42 promila alkoholu w organizmie. Został zatrzymany i będzie odpowiadał przed sądem. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Tylko dla wybranych

Jeśli ktoś miał jeszcze jakiekolwiek wątpliwości, o co chodzi, gdy przedstawiciele krajów UE ogłosili, że od 2035 r. ma obowiązywać zakaz rejestracji nowych samochodów spalinowych, to postulat sformułowany przez Światowe Forum Ekonomiczne (WEF) powinien pozbawić go złudzeń.

Nie chodzi o żadne globalne ocieplenie czy którąś z lewackich teorii, które wymyślono głównie po to, aby z ciężko pracującej klasy średniej wydusić jeszcze więcej podatków, danin czy opłat za wjazd do miast etc. Wiadomo bowiem, że nawet jeśli wszyscy Polacy, Czesi czy Litwini zdecydowaliby się karnie wdrożyć najbardziej ambitny program redukcji dwutlenku węgla, latem nie włączaliby ani wiatraczka, do pracy jeździliby wyłącznie rowerami, a za litr paliwa płaciliby średnią pensję, to świat i tak praktycznie by tego nie odczuł.

Największymi trucicielami są bowiem Chiny, USA, Indie, Rosja i Japonia, które to pseudoekologów mają w głębokim poważaniu, bo chcą się nadal rozwijać i bogacić. Ich mieszkańcy bardzo źle znieśliby kretynizmy rodem z „Fit for 55".

Okazuje się jednak, że ekoterrorystom nie wystarczy plan zmuszenia ludzi do przesiadki z oszczędnych aut spalinowych do drogich pojazdów elektrycznych, których baterie trzeba będzie szybciej niż później gdzieś zutylizować. Klimatyczni autokraci ze Światowego Forum Ekonomicznego zaapelowali do światowych rządów o redukcję prywatnej własności samochodów o 75 proc. (!) do 2050 r. Wszystkich aut, w tym tych elektrycznych. Motłoch ma siedzieć w miastach i jeździć zbiorkomem. Zgodę na dalekie podróże dostaną tylko wybrani... ©℗

eprasa.pl b9f5f2ba9a

Konserwatyści wszystkich krajów, łączcie się!

Olivier Bault z Budapesztu

Gdy fala międzynarodowego neomarksizmu zalewa świat zachodni, gdy propagatorzy ideologii woke i LGBT posługują się siłą amerykańskiej gospodarki i dyplomacji oraz międzynarodowymi instytucjami wszelkiej maści, aby narzucić własną wizję świata i postępu zgodnego z „kierunkiem historii", obrońcy wartości i tradycji wszystkich krajów zwierają szeregi i przygotowują się do kontrataku

Problem, gdy Ameryka nie podąża właściwą ścieżką, polega na tym, że nie tylko staramy się rozpiep.... nasz własny kraj, ale próbujemy rozpiep.... wiele innych krajów. [...] Ameryka [...] próbuje Wam mówić, jak powinniście wychowywać Wasze dzieci, próbuje Wam powiedzieć, że Wasza wiara jest staromodnym dziedzictwem, że musicie odłożyć stare ubrania i założyć nowe [...], poprzez przekupywanie Was i ciągłe ataki za pośrednictwem mediów – mówił na początku maja w stolicy Węgier Matt Schlapp, przewodniczący American Conservative Union (amerykański związek konserwatywny), jednocześnie zapewniając uczestników międzynarodowego zjazdu konserwatystów, w tym i premiera Viktora Orbána, że opisana postawa Stanów Zjednoczonych nie odzwierciedla „serca i ducha amerykańskiego narodu".

Po złej dla lewicy passie naznaczonej dojściem do władzy Donalda Trumpa w Stanach Zjednoczonych oraz Mattea Salviniego, który objął stanowisko wicepremiera i ministra spraw wewnętrznych we Włoszech, nie mówiąc już o wygranej zwolenników brexitu w referendum z 2016 r. w Wielkiej Brytanii (to wszystko miało wydarzyć się oczywiście za sprawą Putina), lewicowo-liberalne media i politycy odetchnęli z ulgą: uniknięto najgorszego w wyborach do Parlamentu Europejskiego, włoskiej lewicy udało się, dzięki zakulisowym targom, uniknąć przyspieszonych wyborów i objąć władzę już bez Ligi Salviniego, Trump przegrał wybory z Joe Bidenem i demokraci odzyskali kontrolę nad Kongresem. Zwieńczeniem tego procesu była przegrana prawicowego „populisty", czyli konserwatysty Jaira

eprasa.pl b9f5f2ba9a

– Jesteśmy teraz zaangażowani w historyczną bitwę z marksistowskimi globalistami i komunistami na całym świecie – stwierdził Donald Trump w wystąpieniu wideo na CPAC Hungary 2023 FOT. TIBOR ILLYES/EPA/PAP

Bolsonaro w Brazylii na rzecz lewicowca Luli. Fala „prawicowych populistów" została zatrzymana. Po kilku latach płonnych nadziei Orbán i Kaczyński zostali, tak jak wcześniej, sami na placu boju po stronie reakcji. Odcinając im dostęp do funduszy europejskich, odizolowane rządy Węgier i Polski można będzie zapewne niedługo ujarzmić lub, jeszcze lepiej, zmienić.

SKRĘT W PRAWO

Czyżby? Od ubiegłego roku w zachodnim i lewicowym przekazie medialnym znów słychać rosnący niepokój, a obóz konserwatystów po obu stronach Atlantyku cechuje coraz większa pewność siebie i poczucie, że prawicowa fala tylko przybiera na sile i że tym razem nikt i nic jej nie zatrzyma.

W ubiegłym roku we Włoszech do władzy wróciła prawica, tym razem bez lewicowego koalicjanta i pod wodzą już nie, jak kiedyś, centroprawicy Berlusconiego ani nawet nie Ligi Salviniego, ale najbardziej prawicowej i konserwatywnej partii tej trójstronnej koalicji: Braci Włoskich Giorgii Meloni. Jednocześnie w Stanach Zjednoczonych Biden stracił większość w Izbie Reprezentantów i większa część amerykańskich wyborców wątpi w jego sprawność intelektualną, a to on ma być kandydatem demokratów w wyścigu do Białego Domu jesienią przyszłego roku.

We Francji Emmanuel Macron co prawda zwyciężył po raz drugi w wyborach prezydenckich z Marine Le Pen, ale z mniejszą przewagą, a na dodatek nie udało mu się zapewnić sobie większości w Zgromadzeniu Narodowym. Partia jego rywalki stała się po raz pierwszy w swej kilkudziesięcioletniej historii największym ugrupowaniem opozycji parlamentarnej i główną siłą na prawicy, a niektóre sondaże przeprowadzone w tym roku pokazały, że Le Pen mogłaby teraz wygrać drugą turę z Macronem.

Ba, nawet w – zdawałoby się – lewicowej do szpiku kości Hiszpanii wybory do miast i wspólnot autonomicznych (regionów) z 28 maja dały zwycięstwo liberalnej centroprawicy przy dużym wzroście konserwatywnej partii Vox. Partia socjalistycznego premiera Sánchezа nie tylko straciła głosy, lecz także jego skrajnie lewicowy koalicjant został zmieciony ze sceny politycznej. Przy tym w sześciu wspólnotach autonomicznych centroprawicowa Partia Ludowa, jeśli dalej chce rządzić, będzie musiała odejść od polityki kordonu sanitarnego wobec Vox (i tak osłabionego wspólnymi rządami PP z Vox w regionie Kastylii y León – od ubiegłego roku) i dogadać się z partią Santiago Abascala. Prawdopodobne jest, że tak też będzie na poziomie krajowym po przyspieszonych wyborach zwołanych na 23 lipca przez premiera nazajutrz po porażce jego obozu politycznego.

Pewność siebie obozu konserwatystów dobrze oddaje wypowiedź wiceprzewodniczącego Vox Jorge Buxadé, z którym rozmawiałem na konferencji CPAC Hungary na początku maja.

– Istnieje część hiszpańskiego społeczeństwa, która jeszcze nie zdała sobie sprawy, że Partia Ludowa to nic innego jak Partia Socjalistyczna kilka lat wstecz. My, jako Vox, nadal się rozwijamy, a w najbliższych wyborach samorządowych i regionalnych pod koniec maja 2023 r. Vox będzie partią, która odnotuje największy wzrost w Hiszpanii – powiedział.

I tak też się stało: w stosunku do wyborów samorządowych z 2019 r. Vox podwoił liczbę swoich wyborców z ponad 800 tys. do ponad 1,6 mln, powiększając liczbę radnych w samorządach z 530 do 1687. Na dodatek partia, która została założona dopiero 10 lat temu przez grupę konserwatystów z Partii Ludowej i najsłabiej zawsze wypada w wyborach samorządowych, jest teraz obecna w parlamentach wszystkich 17 wspólnot autonomicznych kraju. Od ostatnich wyborów do hiszpańskich Kortezów Generalnych w 2019 r. Vox jest także trzecią siłą polityczną na poziomie krajowym.

CPAC HUNGARY 2023

Europejskie spotkanie corocznej konferencji konserwatystów amerykańskich CPAC nie przypadkiem odbywało się po raz drugi z rzędu w Budapeszcie, a nie np. w Warszawie. Zresztą w przeciwieństwie do Fideszu – na czele z węgierskim premierem Viktorem Orbánem i szefem MSZ Péterem Szijjártó – PiS nie był tam oficjalnie reprezentowany wśród mówców i panelistów. Jedynie Janusz Kowalski, wiceminister rolnictwa i rozwoju wsi z ramienia Suwerennej Polski, przemówił do uczestników dzięki połączeniu wideo. Wśród polskich organizacji obecnych na CPAC Hungary 2023 było natomiast Ordo Iuris, a jego prezes, mec. Jerzy Kwaśniewski, znalazł się w gronie mówców i osób zaproszonych na wspólny obiad oraz rozmowę z premierem Orbánem.

Poza węgierskim obozem rządzącym byli za to reprezentowani przez deputowanych, eurodeputowanych i/lub partyjnych liderów hiszpański Vox, Bracia Włoscy i Liga, francuskie Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen i Rekonkwista Erica Zemmoura (w osobie Marion Maréchal, wiceprzewodniczącej partii Zemmoura i siostrzenicy Marine Le Pen) oraz „populistyczna prawica" z Austrii, ze Słowenii (były premier Janez Janša), z Czech (były premier Andrej Babiš i były prezydent Václav Klaus), Szwajcarii, Belgii, Holandii, Danii itp., itd. W konferencji uczestniczyła także, zarówno bezpośrednio na miejscu, jak i dzięki połączeniu wideo, silna reprezentacja prawicowego skrzydła amerykańskiej Partii Republikańskiej, w tym były prezydent Donald Trump.

eprasa.pl b9f5f2ba9a

Jeśli chodzi o europejskich polityków, to byli to w większości przedstawiciele partii skupionych w dwóch grupach Parlamentu Europejskiego na prawo od Europejskiej Partii Ludowej: Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy, do której należą m.in. Prawo i Sprawiedliwość, Bracia Włoscy i Vox, oraz Tożsamość i Demokracja, do której należą m.in. Liga, Zjednoczenie Narodowe, FPÖ oraz Alternatywa dla Niemiec (AfD). Warto odnotować, że AfD nie była w żaden sposób reprezentowana w dniach 4–5 maja w Budapeszcie.

Konferencje CPAC odbywają się corocznie w Stanach Zjednoczonych od lat 70. XX w. Skrót CPAC oznacza „Conservative Political Action Conference", czyli „konferencja konserwatywnej akcji politycznej". Przyciągają one nie tylko amerykańską prawicę, lecz także znanych konserwatystów z zagranicy. Przykładem jest Giorgia Meloni, która nie będąc jeszcze premierem Włoch, przemówiła w amerykańskiej edycji CPAC pod koniec lutego ubiegłego roku, kiedy to stanęła jednoznacznie w obronie Ukrainy w obliczu rosyjskiej inwazji (choć niedoinformowani złośliwcy i lewicowa propaganda niesłusznie zarzucają jej, że dopiero niedawno i pod presją, w czasie trwania wojny na Ukrainie, przestała popierać Rosję Putina).

Za granicą idea tych spotkań zapoczątkowanych przez American Conservative Union przyjęła się w takich krajach jak Meksyk, Brazylia, Japonia czy właśnie Węgry od ubiegłego roku. Współorganizatorami europejskiego wydania na Węgrzech są American Conservative Union oraz węgierskie Centrum Praw Podstawowych (Alapjogokért Központ), organizacja współpracująca m.in. z polskim Ordo Iuris w ramach europejskiej koalicji dla obrony wartości konserwatywnych. Jedną z organizacji tej europejskiej koalicji jest wpływowy włoski think tank Nazione Futura, który również uczestniczył w tegorocznej konferencji CPAC w węgierskiej stolicy. Dyrektor Nazione Futura, Francesco Giubilei, zwrócił mi uwagę, że konserwatyzm w krajach łacińskich różni się od tego w krajach Europy Środkowej, który z kolei jest inny niż w krajach anglosaskich, i że idea konserwatyzmu jest mocno zakorzeniona w specyfice narodowej. Można natomiast znaleźć wspólny mianownik, który młody przewodniczący francuskiego Zjednoczenia Narodowego, Jordan Bardella, bardzo trafnie określił w rozmowie ze mną dla anglojęzycznego portalu Remix News w taki oto sposób: „Konserwatyzm nie kojarzy się Francuzom dobrze. Nie jest to termin używany we francuskiej debacie publicznej ani przez francuskich intelektualistów. Bronimy jednak aspiracji do suwerenności i myślę, że jawimy się dziś jako strażnicy granic w obliczu dzikiej, nieokiełznanej, nieograniczonej, ultraliberalnej globalizacji, w obliczu utraty naszej tożsamości z powodu demografii ewoluującej wraz z kolejnymi falami migracji, a także w obliczu kwestionowania podstaw, na których opiera się nasze społeczeństwo, w obliczu ideologii woke i cancel culture".

WALCZYĆ Z WOKEIZMEM

Walka z ideologią woke była centralnym tematem tegorocznej edycji CPAC na Węgrzech. Przed wejściem do centrum kongresowego Bálna (Wieloryb) zawieszono duży napis „No Woke Zone" (Strefa wolna od wokeizmu). Bardella widzi pewien rodzaj „amerykanizacji naszych zagrożeń" w szybkim rozprzestrzenianiu się tej ideologii totalitarnej, którą popularny we Francji kanadyjski socjolog Mathieu Bock-Côté definiuje jako „obalenie męskości i kobiecości, demonizację białego człowieka, absolutyzację subiektywizmu, wstręt do samych fundamentów zachodniej cywilizacji" oraz „sakralizację mniejszościowego punktu widzenia". Bardella dodaje jednak: „Wokeizm, który wywodzi się z anglosaskiego ruchu kulturowego, jest dziś importowany przy wsparciu Unii Europejskiej, np. poprzez zmianę naszego języka, poprzez wprowadzenie pisma inkluzywnego, poprzez promowanie islamskiej chusty w instytucjach UE, poprzez zniesienie naszych granic, poprzez chęć zniszczenia naszych pomników i zaprzestania nauczania niektórych rozdziałów francuskiej historii".

– Prowadzimy tę samą walkę – mówił mi eurodeputowany z Vox Hermann Tertsch. – Musimy zawierać sojusze między ludźmi podzielającymi wspólne wartości: republikanami w USA, a także wszystkimi konserwatystami w Ameryce Południowej, zdominowanej obecnie przez Forum São Paulo, które jest połączeniem ruchu komunistycznego z przestępczością zorganizowaną. Handel narkotykami jest w rękach Forum de São Paulo i Grupo de Puebla, czyli ruchu komunistycznego. To Lula w Brazylii, Petro w Kolumbii, Maduro w Wenezueli, Evo Morales w Boliwii, Correa w Ekwadorze i Díaz-Canel na Kubie. Wszyscy ci ludzie są totalitarystami i jako tacy są naszymi wrogami. Ameryka Łacińska to także Zachód i jest to ogromna siła, którą musimy mieć po swojej stronie.

– Jesteśmy teraz zaangażowani w historyczną bitwę z marksistowskimi globalistami i komunistami na całym świecie – stwierdził Donald Trump w wystąpieniu wideo. – Walczymy z barbarzyńcami, którzy chcą zniszczyć naszą wolność, nasze tradycje i wszystko, co jest nam drogie.

Dla większości obecnych na konferencji CPAC Hungary 2023 Viktor Orbán jest naturalnym europejskim liderem ruchu konserwatywnego. Nie przypadkiem stosunki między USA i Węgrami były bardzo dobre w czasie prezydentury Trumpa w odróżnieniu od tego, co działo się za czasów Baracka Obamy i dzieje się teraz.

– Imigracja, gender, wokeizm: to tylko warianty tego samego wirusa – przestrzegł węgierski premier, występując przed zgromadzeniem konserwatystów z obu stron Atlantyku. – Ruch woke i ideologia gender są dokładnie tym, czym kiedyś były komunizm i marksizm: sztucznie dzielą naród na mniejszości, aby podsycać niezgodę między grupami.

Dlatego też, chcąc dać odpór skoordynowanej akcji zwolenników współczesnych ideologii neomarksistowskich, konserwatyści wszystkich krajów starają się dziś łączyć swoje siły. W ich oczach głównym zagrożeniem dla świata zachodniego nie musi być rosyjski imperializm, co nie znaczy, że jest on ignorowany. W odczuciu wielu konserwatystów amerykańskich i europejskich zgromadzonych w Wielorybie w dniach 4–5 maja największym niebezpieczeństwem czyhającym na nas dziś jest postępująca m.in. pod wpływem amerykańskim dekadencja społeczeństw zachodnich, której towarzyszy wyraźny, totalitarny dryf demokracji liberalnej. Ze swoją ideą demokracji nieliberalnej, czyli demokracji wolnej od tego wypaczenia, Viktor Orbán jawi się dziś jako przywódca godny naśladowania i jeden z głównych liderów międzynarodówki konserwatystów, co wybrzmiewało w Budapeszcie w ustach wielu uczestników z Europy i Ameryki.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b9f5f2ba9a

Zapraszamy na nowy, cotygodniowy program w Telewizji Republika.
Redaktor Aleksander Wierzejski sprawdzi dla Państwa,
jak o bieżącej sytuacji w Polsce piszą najważniejsze media
naszych sąsiadów.
REPUBLIKA
Przegląd Prasy Niemieckiej
DAS PROGRAMM WIRD VON ALEKSANDER WIERZEJSKI MODERIERT
sed do eiusmod tempor incididunt ut labore et dolore magna aliqua.
So sieht eine gute TV-Show aus
WAS IN DER DEUTSCHEN PRESSE
POLEN UND POLEN GESCHRIEBEN
NEUE RUHR ZEITUNG
DÜSSELDORF
piątek
19:45
RepublikaTV
@RepublikaTV
Telewizja Republika
@RepublikaTV
Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

AfD drugą siłą Niemiec?

FOT. ANTONIO MASIELLO/GETTY IMAGES

Jan Bogatko

Niepokonana jeszcze do niedawna niemiecka lewica traci poparcie. Nie wstrzymują tej tendencji głośne akcje Last Generation. A zdaniem komentatorów nawet ją przyśpieszają

Rutynowe pytanie, postawione przez instytut badania opinii publicznej FORSA, brzmiało: „Którą partię wybraliby państwo, gdyby w niedzielę (18 czerwca) odbywały się wybory do Bundestagu?". To „niedzielne pytanie" stanowi ważny instrument badania nastrojów społecznych w Niemczech. Po trwającym od tygodni wzroście poparcia dla partii AfD (Alternatywa dla Niemiec) wyniki sondażu nie zaskakują wprawdzie nikogo, ale wielu zawodowych polityków poważnie niepokoją. A oto one: na CDU głosowałoby 29 proc. Niemców. Trzecią siłą w Republice Federalnej okazałaby się SPD, popierana przez 18 proc. wyborców. Ustąpienie przez socjalistów drugiego miejsca na podium znienawidzonej przez polityczny establishment i znajdującej się pod nadzorem Urzędu ds. Konstytucji, czyli policji politycznej, partii Alternatywa dla Niemiec (AfD) to świadectwo upadku dawnej partii Willy'ego Brandta. Od tygodni AfD poprawia notowania na wyborczej giełdzie, a teraz padł kolejny rekord: partia ta może liczyć na 19 proc. Daleko za Alternatywą są Zieloni – 14 proc., a FDP (aktualny członek koalicji rządowej pod egidą Olafa Scholza z SPD) – 7 proc. Komuniści (Die Linke) za burtą: 4 proc. nie wystarczyłoby spadkobiercom stalinowskich władców NRD na pokonanie pięcioprocentowego progu wyborczego. Tyle FORSA. Z kolei INSA daje AfD nawet 19,5 proc., ale nie wyrzuca socjalistów z drugiego miejsca na podium (20 proc. poparcia).

CHCIANA NIE CHCIANA AFD

Do wyborów parlamentarnych w Niemczech jeszcze sporo wody w Sprewie upłynie. Przecież dopiero 26 października 2021 r. rozpoczęła się ostatnia (20.) kadencja Bundestagu. A zatem kolejne wybory, które odbyć się muszą (jak nakazuje ordynacja wyborcza) w niedzielę lub w święto, mogą zostać zorganizowane albo 31 sierpnia, albo 7, 14, 21 lub 28 września lub też 3, 5, 12, 19 czy ostatecznie 26 października 2025 r.

Kto je wygra? Wiele wskazuje na koalicję CDU/CSU/SPD. Czyli siły umiarkowanej lewicy, do której trzeba zaliczyć przynajmniej dwie pierwsze partie. Arytmetycznie łatwiej mogłaby powstać koalicja CDU/CSU/AfD, gdyby politykę dało się sprowadzić do operacji na liczydle. Jednak takiej woli ze strony byłych chrześcijańskich demokratów brak. CDU to dziś lewicowa partia, a „C" w jej nazwie nie ma praktycznie żadnego znaczenia – uważa Martin Lohmann, komentator i pisarz katolicki, autor książki „Das Kreuz mit dem C. Wie christlich ist die Union? (Krzyż pański z tym „C". Na ile chrześcijańska jest CDU/CSU?). CDU do AfD odnosi się z odrazą. To dla niej skrajnie prawicowi populiści. W Niemczech prawica znaczy tyle co naziści. Lata lewicowej propagandy i rewolucja '68 zrobiły swoje.

Szef partii CDU, za czasów Angeli Merkel polityk wyraźnie przez nią marginalizowany, Friedrich Merz, poproszony o komentarz na temat wysokich notowań w sondażach Alternatywy dla Niemiec (AfD), zdecydowanie sprzeciwił się

eprasa.pl b9f5f2ba9a

współpracy z konserwatystami. Niedawno w programie wieczornym stacji ZDF „Heute-Journal" Merz zapewnił: „Dopóki będę szefem partii CDU, dopóty nie będzie współpracy z tą partią". Polityk dodał, że AfD jest partią wrogo nastawioną wobec cudzoziemców i antysemicką, unikając wszakże szczegółów. Jego przekaz: „Nie mamy nic wspólnego z tymi ludźmi".

Tymczasem Polacy w Görlitz (bastionie AfD), których mieszka tam wielu, nie odczuwają raczej wrogości. W wyborach komunalnych (w roku 2019) na AfD głosowało prawie 31 proc. mieszkańców miasta nad Nysą. Na CDU tylko 22 proc., prawie o 11 punktów procentowych mniej niż w 2014 r. SPD tu się całkiem nie liczy.

Merz mówi, że o sile AfD decyduje słabość rządzącej w Berlinie koalicji (SPD, Zieloni, FDP). „Jeśli mielibyśmy dobrze operujący i politycznie działający rząd, to AfD nie uzyskałaby 18 proc." – powiedział przed niedzielnym politycznym trzęsieniem ziemi.

Najbardziej dostało się Zielonym. „Niemcy nie cierpią takiego ubezwłasnowolnienia. I teraz dają to odczuć" – podkreśla szef CDU. Jego zastępczyni, Karin Prien, też obwinia opozycję za sukces opozycji, ale inaczej rozkłada akcenty: „Naturalnie polityka rządu wpływa na wyniki sondażu, ale my w CDU nie powinniśmy grać na złości Niemców". Miała ona na myśli, jak się wydaje, głos Merza na Twitterze: „Każdy program informacyjny w genderowskim stylu zapewnia dodatkowo kilkaset głosów AfD".

Nie wszyscy politycy CDU podzielają, na razie w skrytości ducha, opinię szefa. Zwłaszcza na szczeblu lokalnym. Mimo że CDU wyklucza jakąkolwiek współpracę z Alternatywą dla Niemiec, burmistrz Waltershausen (Turyngia), Michael Brychcy, nie unika rozmów z AfD. „Musimy przywyknąć do rozmów ze wszystkimi" – mówi przewodniczący związku miast i gmin w Turyngii. Uważa on, że nie wszyscy wyborcy czy członkowie AfD to „ultrasi". Brychcy współpracuje z radnymi z Alternatywy dla Niemiec w kwestiach lokalnych.

Jednak ta otwartość burmistrza nie wszystkim się podoba. „Thüringer Allgemeine", lokalny dziennik, zamieszcza list otwarty kilkudziesięciu obywateli miasta do Brychcego, głównie z kręgów lewicy, protestujących przeciwko burmistrzowi. Gazeta „Mannheimer Morgen" zamieściła ankietę sondażowni Civey, z jednym pytaniem: „Jak duże jest prawdopodobieństwo, że w najbliższych wyborach do Bundestagu oddadzą państwo głos na AfD?". Odpowiedzi przerażają polityczny establishment: ponad 30 proc. respondentów wybrałoby AfD.

Nie dziwi to w sytuacji, kiedy zaledwie 20 proc. Niemców uważa rząd Olafa Scholza za dobry (w porównaniu z majem 2023 r. oznacza to spadek o osiem punktów procentowych). Zatem tylko co piąty! Siedemdziesiąt dziewięć procent Niemców, rozczarowanych polityką rządu lewicy (z listkiem figowym w postaci FDP), wiesza na nim psy. Civey zapytał też Niemców, co sądzą o wszczęciu postępowania delegalizacyjnego wobec Alternatywy dla Niemiec. Czterdzieści jeden procent uważa to za słuszne lub raczej słuszne, 54,3 za zdecydowanie lub raczej za błędne. Niemcy są podzieleni i granica podziału wcale nie pokrywa się z byłą granicą RFN/NRD.

POWODY ZMIANY NASTROJÓW

Pewnie socjalistyczny kanclerz Olaf Scholz wolałby, żeby Niemcy za nim i jego koalicyjnym rządem przepadali, ale jako wytrawny polityk lewicy jest przekonany, że pomstując na niego, sami są sobie winni. W Niemczech skręt na prawo? – pyta Scholz na imprezie lewicowego tygodnika „Die Zeit" w Hamburgu. I sam sobie odpowiada na postawione pytanie: „A czy w innych państwach jest inaczej? Wszędzie „prawicowi populiści" zyskują na sile". Zdaniem Scholza to „partie humorzastych" (że niby ich siłą napędową są ludzie wiecznie niezadowoleni). Mówi, że żyjemy w epoce przełomowej, nasyconej licznymi problemami, wymieniając wśród nich pandemię, agresję Rosji na Ukrainę i zmiany klimatyczne.

Współprzewodnicząca AfD, Alice Weidel (dla przyjaciół „Lille"), odrzuca zarzut Scholza, jakoby Alternatywa dla Niemiec była partią wiecznie niezadowolonych. „Po prostu obywatelom nie jest wcale do śmiechu" – mówi Weidel, która obroniła doktorat z prawa z najwyższym wyróżnieniem summa cum laude na uniwersytecie w Bayreuth. Replika Weidel była ostra: „To [wzrost poparcia dla AfD – przyp. J.B.] nie wynika z rzekomej histerii AfD, lecz gry trupy komediantów, która codziennie w gabinecie rządowym odgrywa żałosny kabaret polityczny".

„Jeśli Scholz – mówiła dalej współszefowa partii – nazywa AfD partią stale niezadowolonych, przemawiającą wyłącznie do wiecznie wczorajszych, to wystawia sobie świadectwo osoby całkowicie wyobcowanej i pozbawionej krzty realizmu". „AfD – ciągnęła dalej Weidel – w przeciwieństwie do rządzącej koalicji ma przyszłościowe koncepcje w dziedzinie polityki energetycznej, spraw socjalnych i migracji. I to widzą wyborcy jedynej partii opozycyjnej, niedający się zbić z tropu przez niezdarne zniesławianie" – odpowiada kanclerzowi Scholzowi Alice Weidel.

TEST PRZY URNACH

W tym i w przyszłym roku w pięciu krajach związkowych RFN odbędą się wybory do landtagów. W Bawarii (8 października), tego samego dnia w Hesji. W roku 2024 – najpierw w Brandenburgii, 22 września, następnie jesienią roku 2024 (terminy jeszcze nieustalone) w Saksonii i w Turyngii. Wyniki wyborów do lokalnych parlamentów wpłyną na kształt Bundestagu.

Trudno jest przepowiedzieć ich wynik, ale wiele wskazuje na to, że Alternatywa dla Niemiec wyjdzie po nich wzmocniona. Nie jest to dobry prognostyk dla rządu w Berlinie. Jest mało prawdopodobne, by zmienił ustawę grzewczą (trzy czwarte Niemców uważają, że rząd ich źle informuje w tej kwestii). Boją się, że na ratowaniu klimatu wyjdą jak Zabłocki na mydle. Mało prawdopodobne jest i to, by zmienił prawo azylowe (połowa Niemców jest zdania, że Niemcy staczają się w dół). Migranci to jedna z głównych przyczyn niepokoju. W jego rozwianiu rola oświaty politycznej jest drugorzędna. Zaufanie Niemców do liberalnej demokracji ewidentnie spada, co wykazują dane instytutów badania opinii publicznej, informacje z gmin, od burmistrzów i starostów.

Może nadszedł czas na demokrację bezprzymiotnikową?

Zachęcona wzrostem poparcia AfD chce na kolejne wybory do Bundestagu (najprawdopodobniej jesienią 2025 r.) wystawić własnego kandydata na kanclerza. Współszefowa AfD, Alice Weidel, zapytana przez stację RTL/ntv, czy jej partia ma takie plany, odparła krótko: „Naturalnie". Jednak – dodała – decyzja musi zapaść na ogólnoniemieckim zjeździe partii: „Nie zadecydujemy o tym sami, lecz nasi członkowie".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b9f5f2ba9a

Z Yasunorim Ogawą, prezesem firmy Epson
rozmawia Jacek Przybylski

Nowa rewolucja przemysłowa już trwa

FOT. EPSON

JACEK PRZYBYLSKI: Wszyscy dziś mówią o ChatGPT i jego konkurentach, którzy mają przynieść rewolucję w komunikacji i nie tylko. Jaka jest pana opinia na temat nowych, coraz potężniejszych możliwości sztucznej inteligencji (AI)? I w jaki sposób Epson wykorzystuje dziś nowe technologie, takie jak sztuczna inteligencja, uczenie maszynowe czy tzw. Internet rzeczy?

YASUNORI OGAWA: W naszej firmie już od pewnego czasu używamy narzędzi wykorzystujących sztuczną inteligencję, niedawno wdrożyliśmy rozwiązania rodem AI do procesów produkcyjnych. Wykorzystujemy ją m.in. do sprawdzania wysokiej jakości naszych produktów.

Jednocześnie intensywnie rozważamy możliwości wdrożenia algorytmów sztucznej inteligencji w innych obszarach naszej działalności. Jestem przekonany, że AI będzie odgrywać w przyszłości coraz ważniejszą rolę, np. przy obsłudze klienta.

Światowy przemysł zmieniają również roboty przemysłowe, zdolne do wykonywania zadań powtarzalnych lub wymagających dużej precyzji. Czy biorąc pod uwagę niedawne postępy w dziedzinie sztucznej inteligencji oraz automatyzacji, można powiedzieć, że jesteśmy świadkami kolejnej rewolucji przemysłowej?

Bez wątpienia tak. Rzeczywiście można stwierdzić, że nowa rewolucja przemysłowa właśnie ponownie się rozpoczęła. Nie spodziewałbym się jednak drastycznych zmian z dnia na dzień. Wdrożenie najnowszych rozwiązań będzie bowiem wymagało czasu.

Nasza firma jest na świecie wiodącym dostawcą dla wielu gałęzi przemysłu wytwórczego, w tym motoryzacyjnego, medycznego, elektronicznego, produktów konsumenckich i przemysłowych. Produkujemy wiele rodzajów niewielkich, niezwykle precyzyjnych robotów. Pilnie sprawdzamy, jak można zaimplementować sztuczną inteligencję, aby usprawnić ich działanie. Chcemy oczywiście produkować coraz mądrzejsze maszyny, ale – jak już wspomniałem – dopracowanie odpowiednich technologii jeszcze potrwa.

Rozmawiamy w Mediolanie, światowej stolicy mody, gdzie podczas targów odzieżowych Epson zaprezentował swoje najnowsze drukarki do ubrań z serii Monna Lisa. Według przedstawicieli pańskiej

eprasa.pl b9f5f2ba9a

firmy potrafią one zapewniać produktywność i poziom szczegółowości, który nigdy wcześniej nie był możliwy do osiągnięcia w druku bezpośrednio na tkaninach i dzianinach. Jak drukarki do odzieży mogą zmienić światową branżę mody?

Wdrożenie technologii druku cyfrowego na bawełnie, lnie i innych materiałach z włókien naturalnych może zupełnie odmienić branżę modową i odzieżową. Szybkie, bezbłędne drukowanie z użyciem różnego rodzaju atramentów, zerowe przestoje umożliwiają firmom nie tylko bardziej ekologiczną działalność, lecz także zmniejszenie kosztów.

Współpracujemy już z wiodącymi projektantami, jak choćby z [japońskim projektantem – przyp. red.] Yuimą Nakazato, którzy udowadniają, że dzięki wykorzystaniu drukarek do ubrań można tworzyć wspaniałe kreacje, jednocześnie zmniejszając niekorzystny wpływ branży na środowisko naturalne.

Mini Monna Lisa to drukarka do ubrań przeznaczona np. do studiów znanych projektantów FOT. JACEK PRZYBYLSKI

Na czerwcowych targach w Mediolanie Epson pokazał nie tylko sprzęt dla producentów ubrań, lecz także mniejsze modele, dzięki którym najwięksi światowi projektanci mogą drukować nowe kolekcje we własnych pracowniach, oszczędzając pieniądze i redukując ryzyko, że przed którymś ze słynnych pokazów ich kreacje zostaną podkradzione przez konkurentów. Zastanawiam się, czy rozwój mniejszych drukarek oznaczać będzie, że w niedalekiej przyszłości klient nie będzie musiał szukać ulubionego wzoru po różnych salonach wybranej marki, ale będzie mógł ją wydrukować w najbliższym centrum handlowym.

Pierwsze tego typu sklepy już istnieją. Można w nich np. wybrać wzór koszulki z komputera i błyskawicznie odebrać świeżo wydrukowany T-shirt. Prognozujemy jednak, że produkcja odzieży na masową skalę nadal odbywać się będzie w fabrykach, a nie w butikowych sklepach. Dlatego skupiamy się na maszynach drukujących do odzieży, które oferują nie tylko wysoką jakość, lecz także dużą wydajność.

Jestem pewny, że taka firma jak Epson musi analizować również nowe trendy na światowych rynkach pracy. Cały świat przejdzie teraz na coraz popularniejszy w USA i w Europie czterodniowy tydzień pracy?

Rozważamy, jak bardzo skrócenie tygodnia pracy zwiększyłoby produktywność naszych pracowników w pozostałe dni tygodnia. Nie sądzę jednak, aby w najbliższym czasie na świecie realne było przejście na czterodniowy tydzień pracy. Nie tylko w Japonii i nie tylko w naszej firmie. Jestem jednocześnie przekonany, że pracodawcy będą robić coraz więcej, aby pracownicy byli zadowoleni, bardziej zrelaksowani i zdrowsi, bo dzięki temu mogą pracować jeszcze wydajniej. W naszej centrali w Japonii wprowadziliśmy specjalny program, którzy zachęca wszystkich zatrudnionych do częstszych spacerów oraz ćwiczeń. Sam się do niego zapisałem. Niestety, same spacery w moim przypadku okazały się niewystarczające. Muszę więc znajdować czas, aby w zaciszu własnego domowego ogrodu pograć nieco w piłkę nożną. Uczę się żonglerki w piłce, a więc odbijania piłki bez opuszczania jej na ziemię. Gdy byłem młodszy, podczas meczów piłkarskich najlepiej czułem się na pozycji pomocnika. W ramach firmowego programu Epsona zacząłem również grać na ukulele.

Wdrożenie technologii druku cyfrowego może zupełnie odmienić branżę modową i odzieżową

Może do wdrożenia czterodniowego tygodnia pracy jeszcze daleko, ale przyzna pan, że pandemia mocno zmieniła model pracy w wielu krajach świata. Wielu pracowników zaczęło pracować tylko zdalnie lub w trybie hybrydowym. Czy sądzi pan, że taki model pracy utrzyma się w przyszłości?

Tak. Zwłaszcza model hybrydowy okazał się bardzo skuteczny i wydajny. Znacząco ograniczył konieczność podróży podczas pracy nad międzynarodowymi projektami, co jest bardzo przydatne również w naszej firmie. Wykorzystujemy ten trend także w rozwoju naszej oferty. Będąc czołowym producentem projektorów na świecie, wprowadziliśmy np. intuicyjne w obsłudze interaktywne projektory o przekątnej obrazu wynoszącej nawet 100 cali, które gwarantują najwyższy poziom interakcji podczas spotkań on-line, umożliwiając jednocześnie łatwe udostępnianie materiałów ze smartfonów, tabletu czy laptopa.

Sądzę jednak, że przejście wyłącznie na pracę zdalną na dłuższą metę nie byłoby dobrym pomysłem. Spotkania face-to-face są bowiem czasem konieczne, aby dowiedzieć się, co ludzie naprawdę myślą.

Epson pochwalił się niedawno wytyczeniem czterech głównych trendów, które będą miały największy wpływ na biznes do roku 2030. O jakie trendy chodzi i który z nich uważa pan za najważniejszy?

eprasa.pl b9f5f2ba9a

Prezentowana w Mediolanie kolekcja ubrań zaprojektowanych przez Yuimę Nakazato, a wydrukowanych na urządzeniach Epsona FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Megatrendy, o które pan pyta, to zrównoważony rozwój, wirtualna i fizyczna automatyzacja, współpraca i konieczność ciągłego uczenia się. Za najważniejszy uważamy zrównoważony rozwój. Jemu służyć może również rozwój drukarek do ubrań. Wykorzystanie naszych maszyn umożliwia bowiem decentralizację produkcji odzieży.

Ochrona środowiska to szczytna idea, ale konkurencja oraz akcjonariusze nie pozwalają na kierowanie się tylko pięknymi ideałami. Czy można jednocześnie dbać o planetę i zarabiać pieniądze?

Wielu naszych klientów zwraca uwagę na to, czy jesteśmy firmą, która dba o zrównoważony rozwój. Zaprezentowana innowacyjna technologia druku ubrań umożliwia odnalezienie równowagi między dbaniem o środowisko – m.in. znacząco redukując zużycie wody i zmniejszając ilość zanieczyszczeń – a sukcesem gospodarczym. Im więcej naszych drukarek z serii Monna Lisa trafi do przemysłu odzieżowego, tym mniejszy będzie negatywny wpływ branży na środowisku naturalne.

Wiele rozmawiamy o druku ubrań. A co z tradycyjnymi drukarkami? Czy w XXI w. będą one miały jeszcze rację bytu?

Tak się składa, że drukarki atramentowe to jedyny typ, który w przyszłości może liczyć na wyższą sprzedaż. Biznes nadal potrzebuje i będzie potrzebował drukarek. Innowacyjne drukarki atramentowe są bardziej ekologiczne, bo nie tylko mają mniej materiałów eksploatacyjnych, lecz także nie wymagają do druku użycia ciepła – umożliwiają więc oszczędzanie energii. Jednocześnie pandemia i praca hybrydowa zwiększyły popyt na nasze urządzenia w prywatnych domach. Tradycyjny druk ma więc przyszłość!

Jak ważny jest polski rynek dla Epsona?

Postrzegamy Polskę jako bardzo ważny kraj w Unii Europejskiej. Szczególnie doceniamy to, że kraj ten stał się jedną z najszybciej rozwijających się gospodarek Europy. Liczymy więc, że nasze produkty mogą ten wynik jeszcze polepszyć. Wiele w Polsce inwestujemy, prowadzimy również intensywne kampanie reklamowe, zwłaszcza promujące nasze drukarki EcoTank.

Jak mocno wojna na Ukrainie wpłynęła na działalność Epsona?

W bardzo niewielkim stopniu. Nasza globalna sprzedaż spadła zaledwie o kilka procent.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Drukarki do ubrań. Przełom na rynku mody?

Według szacunków analityków wartość globalnego rynku odzieży szacowana była w 2022 r. na ok. 1,53 bln dol., a do roku 2025 wzrośnie do ok. 1,84 bln (!) dol.

Nie jest to jednak łatwa branża do prowadzenia biznesu. Producenci muszą jednocześnie oferować klientom coraz większy wybór, by zaspokoić wszystkie gusta. Ponadto ci sami klienci w Europie czy w Stanach Zjednoczonych oczekują, że producenci ubrań dostosują się do wymagań zrównoważonego rozwoju, co nie jest proste, bo przemysł odzieżowy wciąż należy do największych trucicieli, zaraz po branży paliwowej.

Japońska firma Epson jest jedną z firm oferujących cyfrowe drukarki przemysłowe do tekstyliów. Seria o nazwie Monna Lisa zadebiutowała 20 lat temu. Urządzenia tego typu umożliwiają znaczące ograniczenie ilości zanieczyszczeń i odpadów, a także zmniejszenie ilości używanej w produkcji ubrań energii dzięki możliwości szybkiego druku bez konieczności stosowania ciepła. Nie są to jednak tanie urządzenia. Za najtańszy model trzeba zapłacić ok. 100 tys. euro (równowartość 444 tys. zł). Bardziej zaawansowane modele wyceniane są już na ok. 300 tys. czy nawet 800 tys. euro. Mimo to popyt utrzymuje się na stabilnym poziomie. A sprzedaż urządzeń w sektorze odzieżowym w ubiegłym roku odpowiadała za 17,8 proc. przychodów i 18,7 proc. zysku firmy Epson. W Mediolanie na największych międzynarodowych targach Technologii Tekstylnych i Odzieżowych ITMA 2023 przedstawiciele Epson Como Printing Technologies zaprezentowali m.in. premierowy hybrydowy model Monna Lisa ML-16000/Hy, wyposażony w 16 głowic drukujących z 64 dyszami i umożliwiający druk na dowolnej tkaninie np. złotego czy srebrnego wykończenia. W Mediolanie pokazano również kompaktową drukarkę Mini Monna Lisa – przeznaczoną dla studiów projektowych i uczelni kształcących przyszłych projektantów.

Uwagę zwracała również kolekcja Yuima Nakazato (na zdjęciu), prezentowana wcześniej podczas Paryskiego Tygodnia Mody Haute Couture, którego kreacje zostały wykonane w technologii Dry Fibre Technology (DFT), mającej według Epsona zrewolucjonizować produkcję tekstyliów.

Przedstawiciele Epsona podkreślali zaś, że na tak konkurencyjnym rynku jak obecny rynek odzieżowy na świecie druk cyfrowy daje szansę na odbudowę europejskich centrów produkcji, takich jak włoska Lombardia czy rejon łódzki w Polsce. *(jap)* ©℗

eprasa.pl b9f5f2ba9a

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Hurra! Rząd znów reformuje

Nic tak nie raduje, jak wiadomość, że rząd znowu wziął się za reformowanie państwa. A gdy wiadomość ta dotyczy nie byle jakiego rządu, a rządu Mateusza Morawieckiego, to tę radość śmiało można podnieść do kwadratu albo i – kto wie – do trzeciej potęgi.

Niestety, z powodu kilku drobniutkich wpadek, takich jak np. Polski Ład 1.0 czy Polski Ład 2.0, które wszelako przeszły przecież niemal całkiem niezauważenie, teraz już się tych reformatorskich zamiarów z takim przytupem nie rozgłasza. Po Polsce nie krąży już rządobus, wiadomości telewizyjne nie zaczynają się i nie kończą od informacji o właśnie rychtowanej, kolejnej przełomowej reformie naszego rządu, której już zazdrości nam cały świat, ani też niemal całej Polski nie przysłaniają nam informujące o tej szykowanej pilnie reformie billboardy słusznej wielkości. Nawet sam szef rządu stara się – z niewyjaśnionych powodów – jakoś ten temat omijać.

Tak że wytropienie informacji, że rząd jednak szykuje się do kolejnej reformy – a może nawet, kto wie, jest już w jej trakcie – stało się ostatnio znacznie trudniejsze, stanowiąc nie lada wyzwanie. Ba, wymaga naprawdę niezwykle głębokiej kwerendy, sięgnięcia do gazet i portali, a nawet do specjalistycznych źródeł, no – jednym słowem – działań na poły detektywistycznych.

Wszelako, jak wiadomo, dla chcącego nic trudnego, takoż więc i mnie udało się jakimś cudem ustalić, że rząd gotuje się właśnie do kolejnej reformy systemu podatkowego, ponieważ – jak wyjawił w jednym z branżowych czasopism Artur Soboń, sekretarz stanu w Ministerstwie Finansów – „premier Mateusz Morawiecki widzi potrzebę dalszego upraszczania systemu podatkowego". No i w tej sytuacji – sami państwo rozumieją! Po czym uchylił rąbka tajemnicy, że „z pewnością jednym z tegorocznych priorytetów jest największa od lat nowelizacja ordynacji podatkowej".

Jak wiadomo, po przeczytaniu takiego njusa wszystkim podatnikom, w tym zwłaszcza przedsiębiorcom – bo to im szczególnie mocno zapadły w pamięć ostatnie reformatorskie reformy naszego reformatorskiego superrządu – cierpnie skóra na całym ciele i ciarki zaczynają przechodzić po plecach.

Ale cóż – skoro mus, to mus. Przecież – z drugiej strony – trudno się dziwić reformatorom, którzy reformowanie wyssali z mlekiem matki i teraz mają je po prostu we krwi, a może nawet zamiast krwi, że chcą i muszą ustawicznie coś reformować. A że – pech chciał – akurat znaleźli się na czele nawy państwowej, to reformują, co mają pod ręką, czyli państwo. I to – tak się przy tym składa – nasze państwo. Polskę. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Zróbmy to referendum!

Awantura o unijny pakt migracyjny opiera się na wielu manipulacjach i przekłamaniach, więc przynajmniej dwa z nich od razu wyjaśnijmy.

Po pierwsze – nie jest to powtórzenie tego, co chciano ustanowić w latach 2014–2015. W obecnym systemie ma istnieć możliwość nieprzyjmowania migrantów w zamian za uczestnictwo finansowe w tzw. mechanizmie solidarnościowym. To jest niezależne od jakichkolwiek uznaniowych decyzji jakiegokolwiek organu i po tę alternatywę państwo może sięgnąć zawsze.

Problem polega na tym, że władzy sprawa migrantów spadła jak z nieba i jest bezwzględnie wykorzystywana jako argument przed wyborami

Po drugie – jest to mimo wszystko mechanizm przymusu, w którym prawo do wielu arbitralnych decyzji przyznano Komisji Europejskiej. To m.in. ona ma decydować, czy państwo znajduje się pod presją migracyjną (określenie z rozporządzenia) i w związku z tym może być zwolnione z uczestnictwa w mechanizmie solidarnościowym. Jeśli zatem dzisiaj – są takie głosy – ktoś stwierdza, że Polska na pewno będzie z tego mechanizmu zwolniona ze względu na obecność ponad miliona ukraińskich uchodźców, to manipuluje, nie może tego bowiem po prostu wiedzieć. Musiałby być profetą. Wziąwszy zaś pod uwagę relacje między Warszawą a Brukselą, można mieć wręcz ogromne wątpliwości.

Problem polega na tym, że władzy sprawa migrantów spadła jak z nieba i jest bezwzględnie wykorzystywana jako argument przed wyborami. Taki też wydźwięk ma plan przeprowadzenia referendum. Nie zmienia to jednak tego, że jego wynik mógłby być argumentem w sporze z komisją. Tylko argumentem, bo oczywiście o niczym nie mógłby decydować, a referendum miałoby jedynie charakter konsultacyjny.

W takim jednak razie sensowny wydaje się pomysł Konfederacji, żeby poddać obywatelom pod rozwagę kilka innych unijnych pomysłów, głównie związanych z „Fit for 55". Premier Morawiecki, jak wiadomo, „FF55" poparł w grudniu 2020 r., ale dziś retorycznie władza sprzeciwia się wynikającym z niego regulacjom. Dlaczego w takim razie nie dać w i tych sprawach głosu Polakom? ©℗

eprasa.pl b9f5f2ba9a

FOT. ADOBE STOCK

Chrystus z góry Corcovado

Radosław Wojtas

Jeden z symboli Brazylii i jeden z najbardziej rozpoznawalnych pomników na ziemi. Cristo Redentor. Międzynarodowy projekt, w którego historii wybrzmiewa także polski akcent

Nasz wakacyjny cykl, w którym będziemy rozglądać się za polskimi śladami na świecie, rozpoczynamy w Ameryce Południowej. W kraju futbolu, samby i wybornej kawy. Zaczynamy tę podróż w mieście, w którym dumnie wznosi się Maracanã, stadion, na którym 125 tys. kibiców było świadkami zdobycia przez Pelego tysięcznego gola w karierze. W mieście karnawału, plaży Copacabana, ale także faweli. W mieście kontrastów, nad którymi swe ręce rozpościera monumentalna statua Chrystusa Zbawiciela. W Rio de Janeiro.

Te Chrystusowe ręce mają rozpiętość 28 m. Wysokość pomnika to 30 m, ustawiony jest na ośmiometrowym cokole. Monument spogląda na miasto z góry Corcovado (710 m n.p.m.) od 1931 r. Zaprojektował go francuski rzeźbiarz polskiego pochodzenia – Paul Landowski.

WILEŃSKIE KORZENIE

Kiedy 1 czerwca 1875 r. w Paryżu przychodzi na świat szóste dziecko Edwarda Landowskiego, szczęśliwy ojciec ma przed sobą zaledwie siedem lat życia. Umrze 6 listopada 1882 r. w Algierze. To właśnie w Algierii Edward, lekarz i antropolog, spędził ostatnie lata życia. Na Czarny Ląd przeniósł się w 1879 r., by otworzyć tam pierwszy prywatny zakład hydroterapeutyczny dla osób chorych na gruźlicę oraz dla ozdrowieńców. Prowadził tam działalność naukową, pracował nad terapią gruźlicy i górnych dróg oddechowych. Był pionierem klimatoterapii, która stała się podstawą leczenia uzdrowiskowego.

Edward Landowski przyszedł na świat w Wilnie w rodzinie lekarskiej. Jego ojciec, Vincenz Landowski, był znanym medykiem wojskowym. Edward ukończył szkołę średnią dla medyków w Łęczycy i Lublinie. Medycynę studiował najpierw we Wrocławiu, a później w Warszawie. Kiedy wybuchło powstanie styczniowe, Edward nie miał jeszcze 25 lat. Angażował się w działalność konspiracyjną już przed narodowym zrywem, a podczas samego powstania działał w podziemiu, był naczelnikiem III sekcji żandarmerii narodowej. Tuż przed zakończeniem powstania Landowski wyjechał na Zachód z misją zakupu broni dla walczących. Nie wrócił przed upadkiem insurekcji.

Najpierw przebywał w Szwajcarii, ale na stałe związał się z Francją. Na Sorbonie uzyskał tytuł doktora nauk medycznych. W czasie wojny z Prusami był lekarzem w armii francuskiej. Działał

eprasa.pl b9f5f2ba9a

w stowarzyszeniu lekarzy polskich. Ułożył sobie życie z Julią Vieuxtemps, córką belgijskiego skrzypka i kompozytora Henriego Vieuxtempsa. Tak zawiązała się rodzina, w której przyszedł na świat Paul.

Szóste, ostatnie dziecko Landowskich niedługo cieszyć się mogło rodzicami. Zostało sierotą w wieku siedmiu lat. Trafiło pod skrzydła stryja – Pawła Landowskiego. Też – jak rodzice chłopca – lekarza, też – jak ojciec – powstańca styczniowego.

ODZYSKANY WZROK

Mały Paul wychowuje się więc w paryskim domu przesiąkniętym polską tradycją wolnościową. W okresie dorastania interesuje się filozofią oraz literaturą. Sięga po klasyków – Szekspira, Ajschylosa, Flauberta. Na artystyczną ścieżkę wkracza na dobre, gdy osiąga pełnoletniość i rozpoczyna pobieranie nauki w prywatnej szkole malarstwa Académie Julian. Rzeźby uczy się w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Pięknych w Paryżu pod okiem Louisa-Ernesta Barriasa, znanego paryskiego artysty, którego prace upiększają wnętrza Opery Paryskiej czy Hôtel de la Païva na Polach Elizejskich.

W obu szkołach Paul rozwija talent, który przejawia od dziecka. Zresztą w tym kontekście często przytaczana jest efektowana opowieść o tym, jak to w wieku pięciu lat chłopiec na krótko utracił wzrok. Ponoć to w czasie tej – krótkotrwałej na szczęście – niepełnosprawności przyszły rzeźbiarz rozwijał artystyczne zdolności i ćwiczył palce, m.in. lepiąc figurki z chleba. Czy tak było w istocie? Oczywiście mógł zajmować sobie w ten sposób czas, pewnie jednak więcej w tej historii romantyzmu. Ale i dla niego zróbmy miejsce.

Bezsporne jest natomiast to, że Landowski w rzeźbie czuje się świetnie i szybko zdobywa uznanie. Podobnie do swojego nauczyciela rzeźby Paul zostaje laureatem nagrody Prix de Rome (francuskiego stypendium dla najzdolniejszych młodych artystów) i wyjeżdża na kilka lat do Rzymu. Drogę do Italii otworzyła Landowskiemu rzeźba „Dawid walczący z Goliatem".

Po powrocie coraz częściej bywa na paryskich salonach, coraz więcej ma okazji do prezentacji swoich prac. Rozgłos przynosi mu rzeźba „Synowie Kaina", jeszcze

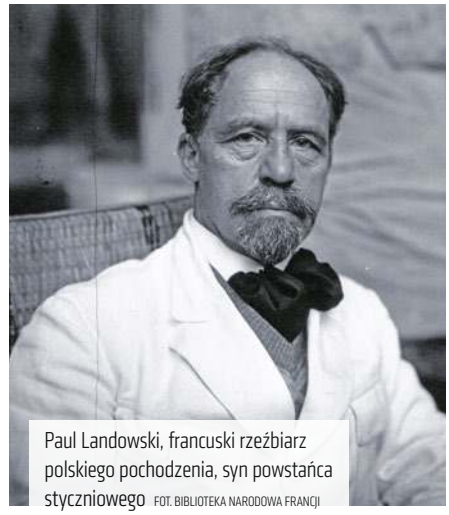

Paul Landowski, francuski rzeźbiarz polskiego pochodzenia, syn powstańca styczniowego FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA FRANCJI

większy – dzieło zatytułowane „Artystom, których imię zaginęło", a dokładniej – umieszczenie go pod kopułą paryskiego Panteonu w 1909 r. Tworzy lub współtworzy monumentalne dzieła. Jak odsłonięty w 1917 r. długi na 100 m i wysoki na 5,5 m pomnik Reformacji w Genewie, który jest wspólnym dziełem Landowskiego oraz Henriego Bouchardema. Albo jak rzeźba patronki Paryża św. Genowefy, która stanęła przy wejściu na most Pont de la Tournelle. Lub też jak „Widma", czyli pomnik drugiej bitwy nad Marną z czasów pierwszej wojny światowej. Landowski sam doświadczył grozy wojny. Był na froncie, co wspominał jako najgorszy koszmar. Brał udział w bitwie nad Sommą i nawet został za to odznaczony francuskim Krzyżem Wojennym.

DZIEŁO ŻYCIA

Jednak Paul Landowski przeszedł do historii przede wszystkim jako projektant Statui Chrystusa Zbawiciela (port. Cristo Redentor, Chrystus Odkupiciel). Takie dzieło to – rzecz oczywista – praca zespołowa, a zespół ten był międzynarodowy. Współautorem projektu jest brazylijski architekt Heitor da Silva Costa, który wespół z francuskim inżynierem Albertem Caquotem nadzorował budowę figury. Polak odpowiada za charakterystycznie rozłożone ręce Chrystusa, za to twarz Zbawiciela jest dziełem rumuńskiego rzeźbiarza, Gheorghe'a Leonida. Statua zbudowana jest ze zbrojonego betonu oraz ze steatytu, rzadkiej skały metamorficznej. Przy swoich wymiarach – przypomnijmy je: 30 m wysokości, 28 m rozpiętości ramion – waży ponad 600 ton! Tworzenie tego kolosa trwało dziewięć lat. Landowski nie musiał w tym czasie ruszać się z Paryża, gdyż figura powstawała w stolicy Francji. Stąd po ukończeniu transportowano ją drogą morską do Brazylii.

Statuę odsłonięto 12 października 1931 r. Jednak pierwotnie plany były inne. Po pierwsze, inne były założenia co do przedstawienia postaci Chrystusa. Wedle jednej z rozważanych koncepcji zamiast rozpościerać szeroko ręce, miał On trzymać w dłoni kulę ziemską. Pomnik miał być też gotowy znacznie wcześniej, na stulecie odzyskania niepodległości przez Brazylię, które przypadało w roku 1922. Nie udało się to z powodów zarówno finansowych, jak i proceduralnych. Gdyby jednak sięgnąć jeszcze głębiej do korzeni idei ustawienia pomnika na ziejącej pustką górze Corcovado, to trzeba by się cofnąć do lat 50. XIX w. Wtedy taką koncepcję przedstawił ks. Pierre-Marie Bos.

Spektakularny charakter miała ceremonia odsłonięcia pomnika. Dokonał jej poprzez włączenie oświetlenia Guglielmo Marconi, włoski fizyk, laureat Nagrody Nobla, a także projekt oświetlenia pomnika w Rio. Uczynił to z pokładu jachtu przycumowanego w porcie we włoskiej Genui. Podobna uroczystość odbyła się ponownie po modernizacji oświetlenia. Wtedy honory pełnił papież Paweł VI. Kolejny raz włączenia dokonywał Jan Paweł II w 50. rocznicę odsłonięcia pomnika. Rok wcześniej, przed pierwszą pielgrzymką Jana Pawła II do Brazylii, w ramach przygotowań do tej wizyty Chrystusa Odkupiciela dokładnie wyczyszczono. Jak podawały wówczas media, zużyto do tego pół miliona litrów wody i kilka ton środków czystości. W końcu to piąty najwyższy pomnik na świecie.

I zdecydowanie jeden z najbardziej rozpoznawalnych. Chrystus z Rio rozkładający miłosiernie ręce, pochylający głowę nad miastem to jeden z symboli Brazylii. Każdego roku u jego stóp melduje się ok. 2 mln turystów, by zobaczyć go na własne oczy. O ironio – nigdy nie dotarł tam Paul Landowski, choć miał na to 30 lat. Dożył sędziwego wieku, umierając w swoim domu w Boulogne-Billancourt 31 marca 1961 r. Dziś mieści się tam jego muzeum. Oprócz rzeźb, posągów czy obrazów pozostawił po sobie także dzienniki. Część z nich została opublikowana.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b9f5f2ba9a

AUDI RS E-TRON GT

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (2X)

3,3 sekundy. Tylko tyle testowany bolid potrzebuje na przyspieszenie od zera do 100 km/h. Nie ma przy tym żadnego wycia silnika, strzałów z wydechu czy czekania na pełen moment obrotowy. Ta zabawka to bowiem... sportowe auto elektryczne, a dokładniej sportowe auto z dwoma silnikami elektrycznymi o łącznej mocy 440 kW. Gdyby takie były wszystkie „elektryki", to żadnych rządowych dopłat by nie było...

Oczywiście bicie rekordów tuż po przesiadce z innego samochodu nie jest wcale takie proste. Nie wystarczy szybko przełączyć się w komputerze na tryb dynamiczny i żwawo wcisnąć gaz. Gdy jednak najsłabsze ogniwo tego auta (czytaj:. kierowca) przerobi instrukcję, jak sterować sprawnym startem tej rakiety, a następnie nabierze trochę wprawy, audi RS e-tron GT jednocześnie wciska w fotel i zdziera przed sobą asfalt. Uśmiech na twarzy pojawia się za każdym razem.

Seksownie wyglądający, aerodynamiczny elektryk to wymarzony samochód na krótki letni wypad (na dłuższy nie pozwala maleńki kufer). Bardzo nisko położony środek ciężkości i rewelacyjny układ kierowniczy umożliwiają pokonywanie wszelkich zakrętów tak, jakby auto było przyklejone do łuku. Radość sprawia też błyskawiczne wyprzedzanie czy odkrywanie na kolejnych prostych, że są jeszcze auta, którym wystarczy pokazać się we wstecznym lusterku, aby autostradowi szeryfowie potulnie opuścili lewy pas.

Akumulator o pojemności 83,7 kWh/netto pozwala na oficjalny zasięg (WLTP) wynoszący 472 km. I chociaż w realnym życiu trudno o taki wynik, to apetyt tego elektryka na energię naprawdę nie jest wcale tak wysoki, jak mogłoby się wydawać. Model ten wyposażono już również w możliwość szybkiego ładowania w krótkim czasie, dzięki czemu od 5 proc. do 80 proc. akumulator można podładować na trasie szybką ładowarką w nieco ponad 20 minut.

Tym samochodem nie trzeba zawsze tylko pędzić. Można nim też po prostu elegancko podróżować. Mnie najbardziej przypadł do gustu tryb komfortowy (dostępne są również tryby ekonomiczny, dynamiczny oraz indywidualny). Średnie „spalanie" podczas przepisowej jazdy na autostradzie wynosiło 23 kWh/100 km, a podczas podróży po zatłoczonym mieście bez trudu można zejść poniżej 21 kWh/100 km. Trzymanie takiego auta w zatłoczonym mieście jest jednak niemal tak bezduszne, jak hodowla charta whippeta w warszawskiej kawalerce.

Minimalistyczne wnętrze podkreśla dynamiczny charakter samochodu, Wszystko, co dzieje się wewnątrz tego auta, podporządkowane jest jednej osobie: kierowcy. Od świetnej kierownicy poczynając, a kończąc na sportowych siedzeniach, które są wygodne i dobrze podtrzymują ciało podczas wykonywanych z wysoką prędkością manewrów. W kabinie odnajdziemy też wiele akcentów stylistycznych charakterystycznych dla modeli RS, jak przeszycia czerwoną nitką czy plakietki z logo RS porozmieszczane po całym aucie.

Cena tego modelu zaczyna się od 636,4 tys. zł. ©℗

REALME 11 PRO+

Fantastyczny design, ekran AMOLED o częstotliwości odświeżania 120 Hz, obiektyw głównego aparatu o rozdzielczości aż 200 MP, superszybkie ładowanie, moduł 5G oraz świetny stosunek ceny do jakości – to największe zalety najnowszego smartfona ze średniej półki cenowej chińskiej firmy realme.

Model 11Pro+ wygląda dużo lepiej niż konkurenci, tacy jak Google Pixel 7a czy Samsung Galaxy A54. Plecki w beżowym wariancie wyglądają niczym pokryte skórą. I chociaż to skóra oczywiście nie jest, to mają nawet pośrodku przekonująco wykonane przeszycie. Obudowa jest też miła w dotyku i nie działa niczym magnes na odciski palców. To bardzo pozytywne zaskoczenie w przypadku telefonu, na który przeciętny zjadacz chleba nie musi pracować przez miesiąc albo dwa. Smartfon w tej wersji jest smukły (ma 8,7 mm grubości) i waży 189 g. W czarnej wersji (nieudającej skóry) jest minimalnie lżejszy i szczuplejszy, ale konia z rzędem temu, kto jest w stanie naprawdę poczuć tę różnicę.

Zaletą testowanego modelu jest również 6,7-calowy lekko zakrzywiony wyświetlacz AMOLED o częstotliwości odświeżania 120 Hz i rozdzielczości FHD+ (2412 x 1080 pikseli). Kolory są świetne. Czerń czarna, a wysoka jasność maksymalna sprawia, że z telefonu można korzystać również w słońcu.

Sercem urządzenia jest ośmiordzeniowy procesor MediaTek Dimensity 7050, który współpracuje z 12 GB pamięci RAM. Na dane producent przeznaczył 512 GB pamięci. Aplikacje działają płynnie. Nic się nie wiesza.

Matryca aparatu głównego ma rozdzielczość aż 200 MP. Zdjęcia zrobione przy dobrym świetle są pełne szczegółów i właściwie oddają kolory. Dzięki przesłonie f/1.69 nasycone detalami są również fotografie zrobione w gorszych warunkach oświetleniowych, choć oczywiście szumów jest więcej niż w piękny, słoneczny dzień. Aparat szerokokątny mógłby być nieco lepszy. Z kolei aparat do selfie ma rozdzielczość 32 MP i jest ewidentnie najsłabszym elementem fotograficznego zestawu w tym modelu.

Plusami realme 11 Pro+ są bateria o pojemności 5000 mAh oraz możliwość naprawdę szybkiego ładowania za pomocą dołączonej w zestawie ładowarki 100 W. Testowany model ma też moduł 5G, NFC oraz Bluetooth 5.2.

Wady? Wprawdzie producent w zestawie daje darmowe silikonowe etui, ale na smartfon trzeba uważać bardziej niż na niektórych konkurentów. Nie ma tu bowiem ani markowego Gorilla Glass, ani ratingu potwierdzającego odporność na wodę. Mimo to stosunek ceny do jakości testowanego modelu jest bardzo dobry. Za realme 11 Pro+ trzeba zapłacić 2399 zł. ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl b9f5f2ba9a

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Turcy w Przemyślu

Przywykliśmy już, że wszystkie wojny Rzeczypospolitej z Turcją toczyły się na dalekich, południowo-wschodnich kresach państwa – na Podolu, Ukrainie, w Mołdawii i na Wołoszczyźnie. Tymczasem przynajmniej jeden raz wojska sułtana wtargnęły na ziemie, które i dziś znajdują się w granicach Polski. Mówimy o Turkach, poddanych sułtana Bajazyda II, którzy w 1498 r. złupili Przemyśl i kilka miasteczek na Rusi Czerwonej.

Wydarzenie pokazuje fresk w nawie kościoła św. Marii Magdaleny w Przemyślu przedstawiający pohańców ścinających franciszkanów przed ratuszem na rynku. Niestety, obraz, który powstał w XVIII w., jest źle datowany i opisany. Z zachowanych inskrypcji wynika, że przedstawia on najazd Wołochów księcia Stefana Wielkiego 20 lipca 1495 r., podczas gdy historycznie takiego ataku wówczas nie było. Miał on miejsce w roku 1498, a napastnikami byli Turcy (nie Tatarzy!) pod wodzą beja Sylistrii, którym towarzyszyły zapewne posiłki wołoskie.

Tragedia była pokłosiem nieudanej wyprawy króla Jana Olbrachta do Mołdawii rok wcześniej. W 1484 r. Turcy zajęli bowiem mołdawskie porty nad morzem Czarnym – Kilię i Białogród, przez które przechodził handel ruski ze Lwowa. W następstwie tych wydarzeń hospodar Stefan III złożył hołd królowi Kazimierzowi Jagiellończykowi. Kiedy jednak jego następca Jan Olbracht rozpoczął w 1497 r. wielką wyprawę, książę wołoski zerwał hołd lenny i wystąpił przeciwko Polsce. Kiedy Janowi Olbrachtowi nie udało się zdobyć Suczawy, zaatakował jego wojska pod Koźminem na Bukowinie, zadając im dotkliwą klęskę. Stąd właśnie wzięło się powiedzenie „za króla Olbrachta wyginęła szlachta”. Po powrocie do kraju król był załamany, a Korona nieprzygotowana do obrony. Tymczasem nowy suweren Mołdawii, sułtan Bajazyd II, w kwietniu 1498 r. wysłał w odwecie wspomnianego baszę Sylistrii na czele potężnej armii na Podole i Ruś Czerwoną. Turcy podeszli pod Kamieniec Podolski, nie udało się im jednak go opanować – wówczas skierowali się na Lwów i 13 maja podjęli próbę zdobycia miasta, które jednak okazało się dobrze przygotowane do obrony. Wówczas turecki wódz skierował się na zachód, chcąc zmusić armię królewską do bitwy w otwartym polu.

Obroną południowo-wschodnich kresów dowodził kasztelan lwowski Stanisław Chodecki, który miał pod rozkazami zaledwie 1,5 tys. jazdy. Widząc przygniatającą przewagę wroga, wycofał się pod Przemyśl, gdzie zamierzał ściągnąć pospolite ruszenie z całej Rusi. Tymczasem Turcy ruszyli pod Busk, gdzie rozdzielili się na dwa zagony – jeden skierował się na Sambor i Drohobycz, a następnie do Sanoka. Drugi ruszył na Radymno, na północ od Przemyśla, potem na Jarosław, Przeworsk i Łańcut, potem na Kańczugę i Pruchnik, dochodząc od północy do miasta. I tutaj napotkał nieliczną grupę jazdy Stanisława Chodeckiego podejmującą rozpaczliwą próbę obrony linii Sanu – w okolicach mostu, który znajdował się wówczas pod zamkiem starościńskim. Najprawdopodobniej stan umocnień miasta, otoczonego drewniano-ziemnym wałem, był bardziej niż tragiczny, mimo że mieszczanie posiadali kilka moździerzy, taraśnic i hakownic. Dlatego kasztelan zdecydował się na desperacką próbę stoczenia bitwy w oparciu o rzekę, a nie obronę na wałach.

Starcie skończyło się tragicznie – siły polskie zostały pobite, Chodecki wprawdzie ocalał, ale Turcy wpadli na most, zdobyli i złupili miasto, spalili zamek. Bitwa miała miejsce na północnym brzegu Sanu, nieco na zachód od obecnej kładki pieszej i rowerowej.

Przemyśl nie został zrównany z ziemią, choć poniósł spore straty. Z wydarzeniami tymi związany jest jeszcze jeden ciekawy zabytek, który można odwiedzić – są to podziemia, w których prawdopodobnie schroniło się wówczas wielu mieszczan i obrońców miasta. Podobne lochy znajdują się w innych miasteczkach regionu, np. w Rzeszowie i Kańczudze, gdzie stanowiły schronienie w razie najazdu Tatarów. Tak czy owak Turcy uprowadzili z terenów ówczesnego województwa ruskiego ok. 10–20 tys. jasyru i wycofali się, pozostawiając pamięć o niezwykłym najeździe, który niesłusznie przypisuje się Wołochom. ©℗

RYS. OBA

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl b9f5f2ba9a

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Lepsza kapusta...

O kapuście krążą przysłowia, legendy i ciekawe historie. Jedna z nich mówi, że w alpejskim miasteczku nieopodal Innsbrucka organizowany jest coroczny festiwal Dnia bez Kapusty. Tego dnia mieszkańcy miasteczka nie mogą rozmawiać ani wspominać o kapuście, nie mogą jej jeść, nie mogą wypowiadać słowa „kapusta". Festiwal kończy się przed północą wystąpieniem włodarzy miasta. Impreza organizowana jest na pamiątkę odparcia ataku Saracenów w 1245 r. W Polsce również organizowane są festiwale kapusty, jesienią w Charsznicy czy Wojsławicach na Śląsku.

Młoda kapusta to królowa warzyw. Jej szczególne wartości doceniła dr Jadwiga Górnicka, nasz autorytet w dziedzinie zdrowia. Pani doktor uważa, że młoda kapusta to najbardziej przydatne dla zdrowia warzywo. Kapusta jest niskokaloryczna, ma ok. 40 kcal na 100 g, i zawiera prawie cztery razy więcej witaminy C niż jej ukiszona wersja, zawiera również witaminę A i E, czyli tzw. silne antyoksydanty, oraz witaminy K i B, natomiast w ciemnozielonych liściach młodej kapusty znaleźć możemy dużą ilość kwasu foliowego oraz żelaza. Zaliczana jest też do tzw. piętnastki czystych warzyw, czyli takich, które zawierają najmniej pestycydów. Kapusta ma właściwości przeciwzapalne i odkażające, a jej liście stosuje się do okładów obolałych stawów, uśmierzają ból.

Młodą kapustą możemy już się zajadać od wiosny. My najczęściej jadamy surówkę z młodej kapusty z pomidorami, sosem majonezowym i świeżym koperkiem. Popularny w naszym domu jest też bigos z młodej kapusty z dodatkiem kiełbaski, wędzonego boczku, z pomidorami i ze świeżym koperkiem. Natomiast jeśli robimy detoks warzywny, to wyciskany sok z kapusty jest obowiązkowy podczas oczyszczania organizmu. A zupa kapuściana z warzywami poprawia przemianę materii i wspiera odchudzanie. Kto nie powinien jeść za dużo kapusty? Osoby z chorobami tarczycy, a szczególnie z chorobą Hashimoto, powinny ograniczać spożywanie warzyw krzyżowych, do których kapusta właśnie się zalicza. My dziś zachęcamy, aby raz na jakiś czas przygotować danie z kapusty.

Steki z młodej kapusty

• 1 dość duża główka kapusty • sól, pieprz • 2 łyżki oliwy z oliwek

Kapustę kroimy na dwucentymetrowe plastry, układamy na papierze do pieczenia, posypujemy solą i pieprzem, skrapiamy oliwą i wkładamy do piekarnika nagrzanego do 170–180 st. C na 25–30 min, aż się pięknie przypieką.

Sos na bazie soku z cytryny i tahini

• sok wyciśnięty z całej cytryny • 1 łyżka miodu • 1 łyżka sosu sojowego ciemnego • 1 łyżka gorącej wody • 2 łyżki tahini • 1/3 szklanki oliwy z oliwek • sezam do posypania

Składniki sosu energicznie mieszamy. Kawałki kapusty wykładamy na talerz, polewamy sosem i posypujemy sezamem. ©℗

FOT. ADOBE STOCK (X2)

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Kolor ma znaczenie

Kolor samochodu nie ma znaczenia. Czyżby? Nigdy nie byłam zadowolona z koloru mego auta i zawsze uważałam, że inni trafili lepiej. Nie to, żeby zrujnowało to moje życie, ale zawsze przyjemnie wsiadać do auta w kolorze, który się lubi.

Miałam dwa fiaty 126p, oba białe. Biały jest na pewno elegancki, ale w błotnym i mokrym klimacie środkowoeuropejskim mało praktyczny. A w wydaniu pociesznego fiacika, który udaje samochód, mało efektowny. Kiedy nastawał szczęśliwy dzień odbioru wylosowanego samochodu (odbywało się to w hali PZMot przy ulicy 1 sierpnia, starzy mieszkańcy Warszawy być może pamiętają), okazywało się, że innego niż biały koloru nie ma. Nie ma i już. W hali odbioru stały wprawdzie niebieskie (mówiono na to kolor ZOMO), czerwone, żółte („poznaj chama po yellow bahama, cytując porzekadło ludowe z lat 70.), ale wszystkie one były już „zarezerwowane", „sprzedane" albo coś takiego. Mogę wybrać dowolny kolor, byle był to biały.

W Polsce gierkowskiej samochód był symbolem statusu, najwyższy status miał samochód czerwony. Rzucał się w oczy i widać było, że u właściciela pieniądze są. Potem wraz z utratą rangi symbolu kolor samochodu przestał się liczyć i czerwony przestał być modny. Czasy się zmieniły, dziś nie losuje się samochodów na loterii książeczek oszczędnościowych. Jednak nadal kupując auta, wpadałam na ograniczenia. „Są tylko czarne i grafitowe, bo, proszę pani, na beżowy to czeka się trzy miesiące i jest dopłata". Tak samo na niebieski. W ten sposób z białego przesiadłam się na kolor grafitowo-czarny, bynajmniej nie metallic. „Metallic, proszę pani, jest za dopłatą".

Niech będzie. W końcu kolor nie ma znaczenia. Zresztą i tak, jak podają pisma motoryzacyjne, szary, czarny i biały pozostają najczęściej wybieranymi lakierami aut. Jestem zatem w mainstreamie. Jednak gdy przyjrzeć się nowym autom, widać, że są kolory modne i modniejsze, np. niespotykana wcześniej głęboka niemetaliczna szarość oznacza auta z zeszłego lub z tego roku. Tylko poważne marki. Więc kolor jednak ma nie tylko znaczenie, lecz także ścisły związek z wiekiem auta. Oprócz nowych szarości obecnie na topie są ciemne zielenie od głębokiego butelkowego do wojskowego zgniłozielonego. Też dla dużych marek. Mniejsze autka, fiaciki, micry, citroeny nie boją się błysnąć upierzeniem żółtojajecznym. „Poznaj chama po yellow bahama" już nie obowiązuje. ©℗

eprasa.pl b9f5f2ba9a

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Kopernik nielegalny

Toczą się prace nad traktatem pandemicznym, o którym wiadomo, że dąży do oddania Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) całości władzy nad światem na wypadek pandemii. Międzyrządowy Organ Negocjacyjny (INB), czyli zespół negocjatorów jeżdżących po świecie i zbierających akceptacje dla tego dokumentu, od czasu do czasu daje znać, jak mu idzie. Warto więc patrzeć w tamtą stronę nie tylko dlatego, by zobaczyć, co nas czeka, lecz także by widzieć, jak opierają się poszczególne państwa. A widać, że się opierają.

W czasie tych konsultacji zostało stępione nieco ostrze samowładzy WHO. W dotychczasowych materiałach miała ona w przypadku pandemii zarządzać działaniami każdego z państw sygnatariuszy ponad głowami lokalnych rządów. Teraz wspomina się już o uszanowaniu suwerenności danych polityk państwowych. Wielu się podoba, że nie będzie tak ostro, ale jestem tu nieufny, gdyż pojęcie suwerenności i jej zakresu jest tak rozciągliwe jak unijna interpretacja praworządności, która stała się nagle wielopojęciowym kijem do okładania Polski.

Definicja pandemii w traktacie uległa ewolucji i nie jest to już powszechna choroba o śmiertelnych skutkach, ale samo szerokie występowanie choroby. A więc może być to i katar, wystarczy tylko, że „przeciąży służbę zdrowia" – jak mówi nowa definicja. Samo „przeciążanie" służby zdrowia widzieliśmy w covidowej pigułce trzyletnich miotań od ściany do ściany. System przeciążył sam siebie. W rezultacie zmniejszyło się (w pandemii!) o jedną trzecią wykonanie szpitalnych procedur, ludzie zaś umierali po domach, nie wspominając o zaciągniętym na lata długu zdrowotnym. W ten sposób choroba o śmiertelności 0,15 proc. rzeczywiście „przeciążyła" służbę zdrowia.

No i mamy nowotwór językowy, który mówi wszystko o intencjach regulatorów – infodemia. W czasie pandemii ujawniono bowiem epidemię dezinformacyjną i w nowej rzeczywistości to WHO będzie decydowała, kogo uciszyć. To ciekawy aspekt, zwłaszcza w kontekście ostatnich rewelacji, kiedy to się okazało, że na podstawie podobnych – wtedy jeszcze nietraktatowych – działań na styku władze – media, w tym szef Facebooka, blokowały treści jako szkodliwe, te zaś okazały się później naukowo potwierdzoną prawdą. Czyli władza będzie mogła blokować treści, które nie odpowiadają jej wersji prawdy naukowej ukutej na daną chwilę; czyli będziemy mieli do czynienia z kontynuacją procesu uwidocznionego w pandemii, odpowiedzialnego za kres nauki jako dziedziny wciąż podającej w wątpliwość swój dorobek. Dziś Kopernik wedle tych reguł utraciłby prawo wykonywania zawodu astronoma z zakazem patrzenia w niebo. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Ideologia na pasach

W podwarszawskim Józefosławiu 14 czerwca na przejściu dla pieszych pod koła autobusu wpadły dwie 12-latki. Jedna z dziewczynek zmarła. Mimo że upływają dwa lata od wprowadzenia w przepisach zmian przyznających pieszym pierwszeństwo na przejściach, statystyki śmiertelnych wypadków nadal są wysokie. Próby oceny skuteczności nowych regulacji obciążone są błędem wynikającym z nieporównywalności lat pandemii. Nałożenie na kierowców obowiązku ustępowania pierwszeństwa przechodniom już wtedy, gdy ci zbliżają się do przejścia, w intencjach miało zwiększyć bezpieczeństwo pieszych, ale nadal dochodzi do tragedii. Wśród ofiar sporą grupę stanowią właśnie nastolatki.

Nieoficjalnie dowiedziałem się, że zmarła dziewczynka czuła się tak pewnie, że wkraczając na pasy, zajęta była telefonem. Znamienne jest, że w miejscu wypadku ulice są wąskie, osiedlowe ciągi komunikacyjne podzielone rondami, więc autobusy poruszają się tam stosunkowo wolno. Te okoliczności pozwalają przypuszczać, że jedną z przyczyn tragedii był właśnie ów nowy przepis. Przeświadczenie o posiadanym pierwszeństwie sprawiło, że nastolatki uwierzyły w swoje bezwzględne prawo, tracąc elementarny instynkt samozachowawczy.

Podobnych wypadków jest więcej. Piesi wchodzą nieraz wprost pod koła nadjeżdżających samochodów, nie dając szans kierowcom na skuteczne zatrzymanie. Gdy na komisjach sejmowych procedowano zmianę przepisów, przedstawiciele Wojewódzkich Ośrodków Ruchu Drogowego protestowali. Niestety, członkowie komisji szli w zaparte, nie chcąc słuchać głosu rozsądku. Dziś, mimo że krwawe statystyki nadal są alarmujące, decydenci są głusi. Świadczy o tym zignorowanie interpelacji posła Artura Szałabawki do Ministerstwa Infrastruktury o modyfikacje przepisów.

Ten nowy przepis wpisuje się w szerszy, ideologiczny trend. Pierwszeństwo dla pieszych jako najsłabszych, a więc dyskryminowanych uczestników ruchu rymuje się ze zwężaniem ulic w centrach miast, tworzeniem stref bez samochodów. Marksistowska walka klas została przeniesiona na ulice miast. Samochody truciciele versus przechodnie. Mamy tu lewicową zbitkę religii klimatycznej i polityki antydyskryminacyjnej.

Jest jednak coś, co najlepiej charakteryzuje lewicę. Ideologiczna fiksacja, która ignoruje prawdę i rzeczywistość. Przepis, w imię przyznania większych praw słabszym uczestnikom ruchu drogowego, próbuje unieważnić prawa fizyki. Tylko że ważącego kilkanaście ton autobusu, jadącego nawet z niewielką prędkością, nie da się osadzić w miejscu. Ale skoro fakty dowodzą, że nie mieliśmy racji, tym gorzej dla faktów. ©℗

eprasa.pl b9f5f2ba9a

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Widmo niebytu

Bardzo destrukcyjne bywa cierpienie. Stop. Na przykład jak patrzę na dziennikarza TVN Piotra Jaconia, to mi się zaraz przypominają dwa wiersze o cierpieniu Andrzeja Bursy. Stop. Wiem, że znają państwo, więc zacytuję fragmenty. Stop. „Wsiedli nieprawidłowo / niosąc boleść po tatusiu / konduktor ani nie pisnął / zablokowali pół wozu / nikt ani nie mrugnął / boleść po tatusiu / wielka rzecz / po tatusiu boleść" i drugi „Poeta cierpi za miliony / od 10 do 13.20 / O 11.10 uwiera go pęcherz". Stop. Cierpienie redaktora Jaconia jest prawdziwe, poważne i ma podłoże rodzinne oraz LGBT. Stop. Na pewno nie można z niego żartować ani w satyrycznym programie telewizyjnym, ani w satyrycznym tekście, bo ze wszystkiego można żartować, ale z tego nie można, bo nie. Stop. Do tej pory prawdopodobnie także z powodu tego cierpienia ze „Szkłem kontaktowym" w TVN rozstali się komentujący Krzysztof Daukszewicz, Robert Górski i Artur Andrus. Stop. Jest pewna obawa, że jak cierpienie będzie się przedłużać, to format „Szkła..." może powitać się z niebytem. Stop.

Dla Polaków nie ma rzeczy niemożliwych. Stop. Przekonał się o tym trener polskiej reprezentacji kopaczy o imieniu Fernando, który po porażce z Mołdawią 2:3 uczy się pełnego tekstu pieśni Zenona Martyniuka „Jak do tego doszło, nie wiem". Stop. Kończąc ten żałosny temat, podpowiem trenerowi radę pewnego kibica, którą tenże mówiąc o piłkarzach kadry, upowszechnił w mediach społecznościowych: „Niech oni się nażrą tych pieniędzy, tych apartamentów, wyrzucić na zbity pysk i wziąć młodych, którym będzie się chciało walczyć". Stop. Jest to jakiś pomysł. Stop.

Warto odnotować, że po przegranej z Mołdawią stanowiska w polskim rządzie straciło czterech wicepremierów. Stop. Przypadek? Stop. Nie sądzę.

Stare polskie przysłowie mówi, że prawdziwych przyjaciół poznaje się, startując do Senatu. Stop. Roman Giertych powiedział publicznie, że sobie zastartuje, a tu marszałek Senatu Tomek Grodzki zrobił dystans. Stop. Rzekł marszałek, że Giertych łamie pakt senacki i że z okręgu, z którego chce startować, jest bardzo dobra senatorczyni i że nie ma powodu, żeby ją zamieniać. Stop. Czy to nie podłość? Stop. Przecież razem z senatorowaniem dostaje się immunitet, a ten jest teraz mecenasowi Giertychowi niezwykle potrzebny, gdyż przebywa on na wygnaniu, a przyjazd do Polski bez immunitetu zakończyć mógłby się pochwyceniem go przez prokuraturę. Stop.

Po nazwaniu władzy „seryjnymi mordercami kobiet" Donald Tusk chwilowo się nie rozwinął. Stop. Swoją drogą ciekawe, w którym kierunku pójdzie z brutalnym demaskowaniem krwawego reżimu. Stop. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Ul ruszył w drogę

Ciekawe rzeczy zaczynają dziać się w „Programowym Ulu" partii rządzącej. Pracowici działacze, którzy w połowie maja zebrali się w Łodzi, teraz zdecydowali się na jeszcze odleglejszą wyprawę. Jak poinformował nowo wybrany szef sztabu wyborczego PiS, Joachim Brudziński, w połowie czerwca pracowici jak pszczółki politycy wyruszą do położonej na Dolnym Śląsku Bogatyni. Nowa będzie też formuła spotkania – zamiast uczestniczyć w konwencji, działacze zaproszeni zostali do udziału w „wiecu". Zmiana miejsca spotkania uzasadniona została skłonnością partii rządzącej do „bycia blisko ludzkich spraw i blisko problemów Polaków". Jak można się domyślać, w Bogatyni jest tych problemów więcej niż w Łodzi.

Zjawisko czerwcowego „rojenia się" pszczół jest zjawiskiem normalnym. Właśnie wtedy mają one w zwyczaju opuszczać dotychczasowe ule i wyruszać w dalekie podróże. Wyprowadzkę poprzedza z reguły stan nazywany „nastrojem rojnym" w ulu. Ze względu na współczesne analogie warto opisać go nieco bliżej.

„Rójka" nie jest zjawiskiem pożądanym przez pszczelarzy. Oznacza ona mniejszą produkcję miodu, a wyrojone pszczoły narażone są na rozliczne niebezpieczeństwa. Mogą one odlecieć, narażając hodowcę na straty. Dlatego też pszczelarze obserwują uważnie ule w poszukiwaniu oznak nadciągającego kryzysu.

Jednym z nich jest wylęganie się trutni. Rosnąca liczba trutni, malejąca składanych larw, coraz starsza królowa i coraz mniej chętnych do pracy robotnic to niechybne oznaki, że w ulu dojść może zmian. W szczycie „nastroju rojnego" trutnie i nieliczne złożone larwy aż pławią się w pszczelim mleczku, robotnice natomiast oddają się błogiemu nieróbstwu. Robi się gorąco, pojawiają się ciasnota i zaduch.

Wyrojone pszczoły wędrują z reguły pod przywództwem dotychczasowej królowej. Mogą one przelecieć pokaźne odległości, podczas gdy w opuszczonym ulu wylęgają się już nowa królowa albo też kilka pretendujących do tego tytułu kandydatek. Jeśli jest ich wiele, to stoczą pomiędzy sobą morderczą walkę. Zwolenniczki starej władczyni szukać będą w tym czasie nowych, obfitych w pokarm terytoriów. Mają na taką okazję zapasy – ich koszyczki pełne są zgromadzonych skarbów, nazywanych fachowo „wziątkiem". Niestety, odlatujące pszczółki lwią część zgromadzonego „wziątku" zostawić muszą koleżankom.

Dawni pszczelarze zwykli byli używać dzwonków, którymi zatrzymywano i przywabiano wędrujące roje. Ich dźwięk skłaniać miał pszczoły do powracania na ziemię. Na wiecu w Bogatyni też nie zaszkodzi podzwonić. ©℗

eprasa.pl b9f5f2ba9a

ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Mistrzowie Mowy Polskiej

Chamstwo szukające prawa obywatelstwa na salonach mowy polskiej to smutne zjawisko. Wychluśnięty na widok publiczny stek prymitywnych, niewyszukanych w swym chamstwie przekleństw, przez artystę scen polskich skierowany w charakterze swoistej „nauki" do młodego człowieka, stał się jednym tylko z wielu ostatnio przykładów zborsuczenia naszej mowy.

Otrzymawszy niedawno nominację do zaszczytnego tytułu Mistrza Mowy Polskiej (jest taki konkurs, organizowany społecznie od 23 lat), zastanowiłem się nad pytaniem, kto istotnie i za co zasługuje na ów tytuł. Pierwsze skojarzenie, naturalne u historyka, prowadzi w stronę tego, kto pierwszy ułożył polskie zdanie. Kto jest pierwszy, ten jest mistrzem. Wedle źródeł był nim osadnik z Czech imieniem Bogwał. Służył on księciu Bolesławowi Wysokiemu na Śląsku, gdzieś u schyłku XII w. Polska żona Bogwała mełła na żarnach. Jak zapisał autor łacińskiej oczywiście kroniki dóbr klasztoru w śląskim Henrykowie, ów Bogwał, współczując jej, mówił: „Daj, ać ja pobruszę, a ty poczywaj". Tak brzmi pierwsze zdanie, które autor „Księgi henrykowskiej" określił jako „polskie". Nie spierajmy się, czy to już polszczyzna czy z czeszczyzny wyłaniający się dopiero jej zalążek. Literackiego wzorca jeszcze wtedy nie było. Cieszyć się możemy, że tak pięknie się zaczyna przygoda polskiej mowy: od oferty pomocy słabszej osobie, kobiecie, żonie.

Długo trwało dojrzewanie tej mowy do artystycznego piękna. Aż nagle, jak Atena w pełnej zbroi wyskoczyła z głowy Zeusa, tak w historii naszej wspólnoty kulturowej pojawił się Jan Kochanowski. „Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary? / Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary? / Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie, / I w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie. / Złota też, wiem, nie pragniesz, bo to wszytko Twoje, / Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje. / Wdzięcznym Cię tedy sercem, Panie, wyznawamy, / Bo nad to przystojniejszej ofiary nie mamy". Do dziś przecież śpiewamy te słowa i wiemy, że piękniej nie da się wyrazić naszej wdzięczności. Choć będą potem Skarga, Mickiewicz, Słowacki, Leśmian, Lechoń, Miłosz, Herbert czy Rymkiewicz – to oni wszyscy już z niego, z Jana z Czarnolasu. Każdy z nich, i wielu innych twórców, wzbogaca jeszcze nasz język, ale formę doskonałą osiąga on już tutaj: w dodanym do poematu „Zuzanna" i wydanym w Krakowie w roku 1562 hymnie Kochanowskiego.

Życzliwość wobec drugiego człowieka – w pierwszym zdaniu, a teraz wdzięczność, wobec Boga czy wobec innych ludzi również, którym zawsze przecież, poczynając od rodziców, mamy coś do zawdzięczenia – oto, co wyraża, co powinna wyrażać najpierw nasza mowa. Ale Kochanowski dodaje do tego, także w doskonałej postaci, inne znaczenia. Jak choćby w tej dwuwersowej fraszce „O miłości": „Próżno uciec, próżno się przed miłością schronić, / Bo jako lotny nie ma pieszego dogonić?". Nie da się już zwięźlej i celniej wysłowić siły miłosnej. Tak jak nie można prześcignąć tego wyrazu ludzkiego żalu, straty, bólu, który zawiera choćby tren czwarty: „Zgwałciłaś, niepobożna śmierci, oczy moje, / Żem widział umierając miłe dziecię swoje. / Widziałem, kiedyś trzęsła owoc niedordzały, / A rodzicom nieszczęsnym serca się krajały…". To wszystko, co ważne, mowa polska potrafi tak wspaniale wyrazić, już od wieków: pomoc drugiemu, wdzięczność, miłość, ból spowodowany stratą.

Kilkadziesiąt lat po Kochanowskim angielski poeta i dramatopisarz, Szekspir, w jednej ze swych ostatnich sztuk, „Burzy", przedstawia inną możliwość użycia języka. Taką właśnie, którą dziś realizują ci, którym w odruchu nienawiści usta sznuruje „osiem gwiazdek", którzy ekspresję języka czują najpełniej tylko w przekleństwie. Mają swego patrona w „Burzy" właśnie, w postaci Kalibana. To prymityw, który dziś przedstawiany jest jako ofiara kolonializmu, ale dla Szekspira był tragikomiczną ofiarą własnego barbarzyństwa. Prospero, który w owej sztuce jest jakby prawodawcą kultury także, nauczył Kalibana mowy. Ten jednak używa jej tylko do miotania przekleństw. I przeklina kulturę, przeklina jej język. Chce zostać przy swoim bluzgu i bełkocie. Do Prospera, tak jak nasi barbarzyńcy do Kochanowskiego i kolejnych mistrzów mowy polskiej, zwraca się tymi słowy: „Mowę mi dałeś; cała z tego korzyść / Że kląć dziś mogę; niech za to na ciebie / Zaraza padnie, że mi dałeś mowę!".

Czy tak się skończy nasza sztuka? Zapytam o to słowami innego mistrza, Leśmiana: „Nic – tylko płacz i żal i mrok i niewiadomość i zatrata! / Takiż to świat! Niedobry świat! Czemuż innego nie ma świata? […] I była zgroza nagłych cisz! I była próżnia w całym niebie! / A ty z tej próżni czemu drwisz, kiedy ta próżnia nie drwi z ciebie?". ©℗

eprasa.pl b9f5f2ba9a

BORAT

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

W Ameryce komedyja za komedyją. Gdybym był Ruskiem lub Chińczykiem, tobym się pokładał ze śmiechu. Puszczałbym sobie amerykańską telewizję, żeby się pośmiać z bandy idiotów. Posłuchajcie…

Prezydent USA zakończył przemówienie słowami: „Boże chroń Królową" („God save the Queen"). Co miał na myśli? Właśnie o to chodzi, że w tym momencie nie miał na myśli NIC – w głowie demencja, jakieś oderwane fragmenty z przeszłości latają po pustej kopule czaszki i wylatują z ust w porządku przypadkowym – jak śmiecie lub nietoperze z jaskini.

Takich śmieci… (w USA mówi się o tym „sałatka ze słów") dostajemy od Joe Bidena tyle CODZIENNIE, że Biały Dom już nawet nie komentuje. Na pytanie, co prezydent miał na myśli, gdy wypowiadał dzisiejszą „sałatkę ze słów", przedstawiciele Białego Domu odpowiadają: Nie wiemy. Oficjalnie do kamery powiedzieli: „Nie mamy bladego pojęcia, co prezydent ma na myśli, gdy mówi czasami te dziwne rzeczy. No… po prostu taki styl". I rozkładają ręce.

Nikt już nie pyta o sens wypowiedzi, tylko wszyscy się śmieją lub machają ręką z LEKCEWAŻENIEM.

Lekceważenie wobec niepoczytalnych zachowań faceta, który ma przy sobie walizkę z kodami do silosów atomowych i jest w stanie jednoosobowo odpalić armagedon. Łał!

***

Gdybym Państwu puścił amerykańską telewizję dzisiejszą, ale 20 lat temu, mieliby Państwo wrażenie, że to jest film „Borat" albo „Rejs", albo jakiś Mrożek. Wtedy (20 lat temu) dzisiejsza norma wydawałaby się nam absurdem.

Ujęcia kamer: prezydent idzie po schodach do samolotu i spada trzy razy przy wchodzeniu pod górę. Taka scena pasuje do Borata, bo jest niemożliwa w życiu, przerysowana. A jednak zdarzyło się to w realu. Normalni ludzie spadają ze schodów w dół, a Biden potrafi spadać w górę. I powtórzył ten swój wyczyn w Polsce, i to Państwo widzieli w TVP. Duda macha na pożegnanie w czasie transmisji na żywo, a Biden nagle ŁUPS – pada. Duda wciąż macha w kierunku jedynego gwaranta naszego bezpieczeństwa („NATO być może podetrze sobie nami tyłek i dogada się z Ruskimi w Jałcie, ale Biden nas wtedy obroni" – myśli Duduś.)

Kolejna scena pasująca do Borata i kompletnie nierealna zdarzyła się na wycieczce rowerowej. Jedzie Biden rowerem. Zatrzymuje się, żeby pogadać z narodem, i… spada z roweru, gdy już stoi. Normalni ludzie spadają z roweru w trakcie jazdy. Biden potrafi spaść w trakcie postoju.

***

Kolejna scena z transmisji na żywo: Borat mógłby się nie orientować, że na oficjalnej imprezie w ogrodach Białego Domu nie wypada łapać zaproszonej gwiazdy za cycki i ciągnąć jej do siebie na oczach kamer. Biden też się nie orientuje i tę właśnie scenę można było oglądać w amerykańskiej telewizji w zeszłym tygodniu. Babeczka złapana za cycki wyrywa się, a Biden ciągnie. Nie złapał jej od przodu, ale złapał w tym miejscu, gdzie kończą się miseczki biustonosza, a zaczyna pasek idący na plecy. Babeczka odrywa łapki prezydenta od swoich cycków, a Biden nie wie, o co jej chodzi. Babeczka oddaje prezydentowi jego własne ręce, a Biden nadal nie wie, o co chodzi.

***

Żona Bidena też chyba nie wie, o co chodzi. Pół roku temu we wszystkich amerykańskich telewizjach widzieliśmy na żywo scenę mokrego pocałunku usta w usta. Biden wygłaszał w Kongresie „Orędzie o stanie państwa". Jego żona siedziała w loży honorowej po sąsiedzku z żoną wiceprezydenta. To zawsze było normalne, ale wiceprezydentem jest w tej chwili Kamala H., czyli kobieta, więc stanowisko żony wiceprezydenta piastuje facet. I nagle wstaje facet (mąż wiceprezydenta USA) i całuje w usta żonę prezydenta USA. Usta pierwszej damy pieszczą usta drugiego męża. FUJ! Kamery całego świata skierowane w ten jeden punkt i transmitują, a oni całują się usta-usta. W tym momencie film „Borat" przestaje być komedią i zamienia się w wizjonerski film dokumentalny.

***

Zejdźmy piętro niżej w hierarchii. Scena w Kongresie USA. Wypowiada się pani reprezentująca amerykańskie Wyspy Dziewicze i mówi, że Trumpa trzeba zastrzelić. Nazwisko tej pani to Stacey Plaskett, a jej wypowiedź można sobie wyszukać w sieci.

Trump jest wiodącym kandydatem strony republikańskiej. Ma przewagę 30 punktów procentowych nad rywalami, a przedstawiciel strony przeciwnej stwierdza, że trzeba go zastrzelić. Republika bananowa USA.

***

Zejdźmy jeszcze jedno piętro niżej. Ponieważ Joe Biden ma ewidentną demencję i jest producentem „sałatek ze słów", dlatego po stronie demokratów pojawiają się kandydaci alternatywni. Między innymi RFK Jr. (Robert Francis Kennedy Junior – syn senatora Roberta F. Kennedy'ego oraz bratanek prezydenta Johna F. Kennedy'ego). RFK to prawdziwy demokrata starych czasów, a nie karierowicz podobny do Hillary Clinton. Bardzo oczytany, wykształcony i elokwentny – nie zagniesz go na niczym. Od wielu lat wygłasza publicznie różne „teorie spiskowe" i na razie każda z nich okazuje się prawdą, czyli niespiskowa. Trzeba tylko odczekać.

W ramach trwającej w USA kampanii wyborczej RFK udzielił wywiadu i ten wywiad został zablokowany przez YouTube jako „siejący dezinformację". W USA coś takiego jest (było!) niebywałe, aby ograniczać swobodę wypowiedzi kandydatom w trwającej kampanii wyborczej.

***

Gdy Państwo słuchają doniesień na temat USA w polskich mediach (tych głównych), nie dowiadują się Państwo niczego. To dlatego, że korespondenci zagraniczni to albo głupki, albo lenie, albo cyniczni propagandyści, skoro nie podają Państwu wiadomości np. o tym, że Joe Biden jako wiceprezydent przyjmował milionowe łapówki od Ukraińców, Ruskich, Chińczyków, Rumunów... ©℗

eprasa.pl b9f5f2ba9a

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

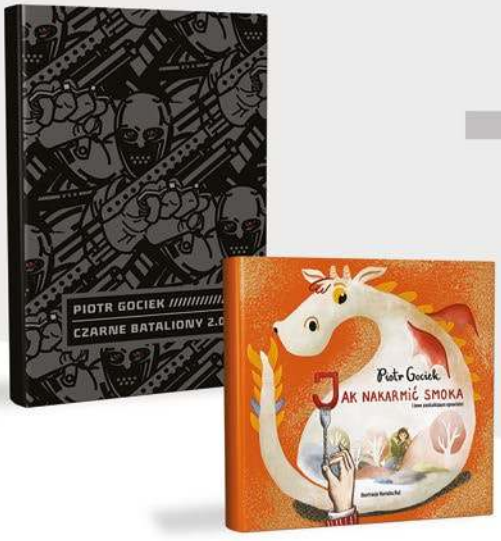

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

PIOTR GOCIEK:
„CZARNE BATALIONY 2.0"
i „JAK NAKARMIĆ SMOKA"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~983~~ZŁ

345,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 638ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl b9f5f2ba9a

KIBICUJMY RAZEM POLSKIEJ REPREZENTACJI

POLSKA

KRAKÓW MAŁOPOLSKA EG2023 3rd EUROPEAN GAMES

#JESTEŚMY JEDNĄ DRUŻYNĄ

SPONSORZY I PARTNERZY PKOl I POLSKIEJ REPREZENTACJI

ORLEN — Sponsor Strategiczny

LOTTO — Sponsor Generalny

Polski Cukier — Sponsor

GRUPA LUXMED — Główny Partner Medyczny

eprasa.pl b9f5f2ba9a